

- Ostatnie posiedzenie KK „Solidarności” — str. 4
- Chore płuca wielkiego miasta — str. 6
- Pogrzeb na wąskim torze — str. 12
- Czy można żyć bez Głupoty? — str. 13



Nr indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Lódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NUMER 42 (1490) ROK XXIX

18 PAŹDZIERNIKA 1986 ROKU

CENA 20 ZŁ

ANDRZEJ KAROLCZAK

... prywatne przekonania nie mają nic do rzeczy, na lekcjach nie ma podziału na wierzących i niewierzących...

Kto się boi religioznawstwa?

Sprawa jest całkiem nowa a i z posmaczkami nowatorstwa: religioznawstwo jako przedmiot szkolny. Jak każda nowość budzi zainteresowanie i nieuchronnie kontrowersje. Tu szczególnie, bo rzecz dotyczy delikatnej materii uczuć i poglądów młodych ludzi. Ba, akurat uczniów klas maturalnych, siedemnasto-, osiemnasto- i dwunastoletników — tych właśnie, którym „niebo staje w płomieniach”, których trawi gorączka poznawania prawdy i dokonania całego szeregu życiowych wyborów: obok wyboru zawodu, orientacji politycznej, filozofii życiowej i jeszcze paru, z wielką ostrością staje przed nimi wybór orientacji światopoglądowej. Doświadczenie życiowe uczy, że ten właśnie wybór bywa ostateczny, raz na całe życie — zmienia się zawody, zmienia poglądy polityczne — wyznania się raczej nie zmienia, pozostaje się przy wyborze dokonanym w wieku młodzieńczym. Zostaje się katolikiem czy agnostykiem, protestantem czy deistą, spirytualistą bądź materialistą. Wierzącym bądź ateistą, i już — poza nielicznymi wyjątkami — do końca życia. A przynajmniej sprawy wiary bądź niewiary w Boga przestają spędzać sen z powiek: myśli się o rzeczach dalece bardziej przyziemnych — jak zarobić na samohód, jak wychować dzieci, jak zaspokoić swoje ambicje zawodowe. Jak się zabawić i jak „pożyć”.

Zrozumiałe zaniepokojenie wywołało wprowadzenie religioznawstwa w kręgach kleru katolickiego. Zaniepokojeniu temu dał wyraz

GŁOS KSIĘDZA PRYMASA

Kardynał Glemp w kazaniu wygłoszonym 15 sierpnia 1986 roku na Jasnej Górze użył przeciw wprowadzeniu religioznawstwa jako przedmiotu do szkół średnich trzech argumentów. Trzeba sobie jasno powiedzieć, że nie są to argumenty najmocniejsze: dwa pierwsze mają charakter pozamerytoryczny. Brzmiały one:

— „Czy rzeczywistość religioznawstwa jest taką konieczną dyscypliną wiedzy, skoro nie ma ani podręczników, ani wykładowców?”

Można na ten argument odpowiedzieć: czy w przyszłości, gdy będą już podręczniki i wykładowcy (którzy, notabene, są) religioznawstwo nie będzie miało przeciwnika w hierarchii kościelnej?

— „Czy do przetańdowanych programów uczniowskich trzeba dodawać jeszcze jeden przedmiot?”

Kontrargumentacja jak wyżej: czy w przyszłości, gdy programy nie będą przetańdowane (i.t.d.).

Dopiero trzeci argument ma charakter merytoryczny:

— „Czy rzetelne uczenie kultury narodowej, a więc bogatej w humanizm literatury polskiej i nabrzmiałej zagadnieniami historii Polski i historii powszechnej, nie może formować Polaka kulturalnego i z poczuciem szacunku dla innych postaw?”

Jest to argumentacja (przy całym szacunku dla księdza kardynała) przypominająca leśnika z książki Melchiora Wańkowicza, który czytał wyłącznie pierwszy tom „Ogniem i mieczem”. Kiedy uswiadomiono mu, że powieść ma jeszcze długi dalszy ciąg, odpowiadał: — po co kusić Pęna Boga, kiedy dał coś dobrego? Niezaprzeczalne walory literatury ojczystej i bogate dzieje naszego i innych narodów mają niewątpliwie walory wychowawcze. Nie oznacza to wszak, że już niczym innym zajmować się nie warto...

Dopiero w dalszej części swego wywodu kardynał używa słów, które wszystko wyjaśniają: „...nie idzie o jakiejkolwiek poznanie naukowe, ale o poznanie marksistowskie”.

To jest koniec dyskusji. W tym miejscu adwersarze kłamią sobie i pozostają przy swoich zdaniach... i uprawiają swoje poletki katecheci swoje a święta szkoła swoje. Nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni różnią się poglądami i jest to całkiem naturalne. Tymczasem

WŁADZE OŚWIATOWE POCZYNAJĄ SOBIE OSTROŻNIE

nawet bardzo ostrożnie. Religioznawstwo jest wprowadzane do szkół w bieżącym roku szkolnym na zasadzie eksperymentu. Tylko w niektórych szkołach, w których rady pedagogiczne doszły do wniosku, że eksperyment ma szansę powodzenia (w których znalazł się nauczyciel hobbista, posiadający minimum wiedzy religioznawczej) i chęć do uczestniczenia w tym eksperymencie, tylko w maturalnych klasach, tylko jedna godzina w tygodniu. I bez stawiania oceny! Przedmiot jest wprowadzany, tam gdzie go wprowadzono, obowiązkowy, ale do uzyskania zaliczenia praktycznie wystarczy obecność na lekcjach.

W województwie łódzkim wprowadzono religioznawstwo w 22 szkołach (planowano w trzydziestu). Nie używano nacisku ani na dyrekcje, ani na wytypowanych nauczycieli. W dwóch wypadkach przyszli wykładowcy wycofali się jeszcze przed początkiem roku szkolnego.

5



Fotoreportaż pokazujący pracę Łódzkiego Ośrodka TVP — na stronie 10

Foto: Grzegorz Gałasiński

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113,
Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,

sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.
Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grzyźna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Andrzej
Karolczak, Roman Kubiak,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałasinski.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błaziejewski,
Krzysztof
Drzewiecki, Bohdan
Gadomski, Witold
Kasperkiewicz, J. Stanisław
Knypl, Marek Koprowski,
Włodzimierz
Krzemiński, Alfred
Lutrzykowski, Władysław
Malina, Marek Mamos,
Zenon J. Michalski,
Ryszard Nakonieczny,
Jerzy Panaszewicz, Karol
J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe RSW „Prasa”
— Książka — Ruch” 91-103 Łódź
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa” — Książka
— Ruch” Łódź, ul. Armii Czer-
wonej 28

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1 dla
Instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach wojew-
dzkich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa” —
Książka — Ruch” zamawiają
prenumeratę w tych oddziałach
— Instytucje i zakłady pracy
zlokalizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów
RSW „Prasa” — Książka —
Ruch” opłacają prenumeratę
w urzędach pocztowych i u dorę-
czyteli; 2 dla indywidualnych
prenumerat: osoby fizyczne
zamieszkające na wsi i w miejscow-
ościach, gdzie nie ma odd-
ziałów RSW „Prasa” — Książka
— Ruch” opłacają prenumeratę
w urzędach pocztowych i u
doreczyteli; osoby fizyczne za-
mieszkające w miastach — sędzi-
bach Oddziałów RSW „Prasa”
— Książka — Ruch” opłacają
prenumeratę wyłącznie w urze-
dach pocztowych nadawco-
odawczych właściwych dla miej-
sca zamieszkania prenumerato-
ra. Wpłaty dokonuje się używając
blankietu „wpłaty” na rachunek
bankowy miejscowego Oddziału
RSW „Prasa” — Książka —
Ruch”. 3 prenumerata za zlecen-
iem wysyłki za granicę pocztą
zawijać się droższą od prenume-
raty krajowej o 50 proc. dla
zleceń/odawców indywidualnych
i o 100 proc. dla placujących Insty-
tucji i zakładów pracy. Termin
przymiowania prenumeraty na
tytuł kraj i za granicę — do
dnia 10 listopada na I kwartał
i półrocze roku następnego oraz
cały rok następny — do dnia
1 każdego miesiąca — poprzed-
zającego okres prenumeraty
roku bieżącego.

Zam. 3101. B-5.

Przegląd prasy

Isaac Bashevis Singer — u-
rodzony w 1904 r. w Radzynie-
nie pod Warszawą w rodzinie
chasydzkiego rabina — jest
laureatem Literackiej Nagrody
Nobla za 1978 rok. Pisarz ten,
jak wiadomo, mieszkał w Pol-
sce aż do 30 roku życia. Inte-
resującą rozmowę z nim moż-
na przeczytać w miesięczniku
społeczno-kulturalnym „OD-
RA” (nr 7-8 i 9). Singer
przedstawia swoje poglądy na
temat Żydów, ludzkości i Boga.
Uważa on, że

NIEMAL WSZYSCY ŻYDZI

jako prawdziwi lub potencjalni
intelektualiści muszą w końcu
coś planować i robić. Sami nie
spiają i innym nie pozwalają
„Jest taka anegdota o Żydzie
— czytamy — który udał się
do Wilna i kiedy wrócił po-
wiedział: „Wilno to zupełnie
niezwykłe miasto. Nigdy nie
widziałem podobnego miejsca”.
Wtedy drugi spytał: „Co u
nim jest tak godnego uwagi?”.
A on: „Zobaczyłem tam Żyda,
który przez cały Boży dzień
planował, jak robić pieniądze i
stać się bogatym. Zobaczyłem
Żyda, który cały czas wyma-
chiwał czerwoną flagą i nawo-
tywał do rewolucji. Widziałem
takiego Żyda, który panował
nad każdą kobietą i takiego, który
był ascetą i stale głosił religię”.
Na to ten drugi powie-
dział: „Nie rozumiem, dlaczego
tak to ciebie dziwi. Wilno jest
dużym miastem i jest tam wię-
lu Żydów, wszystkie ich typy”.
„Ale — rzekł ten pierwszy —
to był ten sam Żyd. W pew-
nym sensie jest to ta historia —
trochę prawdziwa o tym Ży-
dzie świętym. Jego niepokój
jest tak wielki, iż jest on nie-
mal wszystkim naraz. Gdy za-
świada mu w głowie jakaś
myśl, to tak silnie, że zapomi-
na on o wszystkim innym.
Weźmy Żyda walczącego z in-
tentysem. Znajdzie on an-
tysemitę wszędzie, nawet
na bezludnej wyspie czy na
Saharze”.

Isaac B. Singer powiada, że
rozwojowi technologicznemu w
świecie współczesnym nie to-
warzyszy postęp moralny. Lu-
dzie są dziś bardziej niż daw-
nie rozczarowani i nieszcześli-
wi. Nie wiedzą po co żyć i
pracować. Pod wpływem nauki,
oświaty i całej kultury
człowiek staje się „produktem”
całkowicie pozbawionym wia-
ry w wolną wolę. Wszyscy
przyzwyczajeni są myśleć, że
to, co robia, jest wynikiem
przymusu, zewnętrznej koniecz-
ności. Przejawem wyrze-
czenia się wolnej woli może
być narkomania.

Z punktu widzenia żydostwa,
zdaniem Singera, w ostatnich
dwustu latach nastąpił regres.
Wiek dwudziesty nie był okre-
sem rozwoju moralnego czy
religijnego, choć Żydzi mieli
wielu uczonych, artystów i
premierów oraz odzyskali swo-
je państwo. „Notujemy dziś w
Izraelu — powiada — mate-
rialny postęp, ale nasze naj-
większe osiągnięcia w gruncie
rzeczy nie miały miejsca w
Izraelu, lecz na wygnaniu”.

Singer zgadza się z rozmów-
cą Richardem Burginem, że
stałe powraca w jego utwo-
rach motyw zdrady. Najbar-
dziej dręczy go to, że ludzie
zdradzają samych siebie. So-
cjaliści stają się stalinowcami,
Żydzi nie przestrzegają Tory,
chrześcijanie łamią przykazania
Nowego Testamentu. O tych
ostatnich mówi, że „głosili Ka-
zanie na Górze, a

POSTĘPOWALI CAŁKIEM PRZECIWNIE.

Nienawidzili, tworzyli inkwi-
zycje, prześladowali mniejszości
— wszystko w imię miłości.
Ludzie, którzy proklamowali
miłość, braterstwo i równość,
zdradzili samych siebie, ledwie
doszli do władzy”.

Pisarz żydowski ujawnia, że
wierzy w Boga, ale ma wątpli-
wości. Czasami przypuszcza
nawet, iż miał rację ateista
Ludwik Feuerbach. Podziela
pogląd Spinozy, że Bóg jest

naturą, lecz naturę uważa za
świadomą. Tak pojęty Bóg jest
mądry i wie, co czyni. Trudno
jednak nazwać Go miłosier-
nym. W świecie nie ma miło-
sierdzia i litości, najważniejsza
jest zasada przemocy i mordo-
wania. Bóg dręczy bezradnych
ludzi i na ich niedoli buduje
swoją chwałę. Przeciwno temu
Singer protestuje, nie popiera
Boga, ma głęboki do Niego u-
raz. Wydaje mu się, że Bóg
chce, żeby ludzie protestowali,
że znuzony jest już pochlebs-
tami.

O ludziach zakładających is-
tnienie Boga ciekawie pisze na-
lamach „ARGUMENTOW” (nr
41) dr Istvan P. Kerekgyartó.
Na podstawie badań węgier-
skich wskazuje na konieczność
rozróżnienia dwóch typów:
człowieka religijnego i człowie-
ka wierzącego. Pierwszy —
bierze udział w stereotypowych
praktykach kościelnych, ponie-
waż przywiązany jest do
zwyczajów i tradycji, ale w
życiu nie respektuje wzorów
chrześcijańskich. Drugi —
przede wszystkim stara się na-
śladować Jezusa, a mniej uwa-
ga poświęca rytuałom, ponie-
waż świadomie odkrył wiarę i
„nawrócił się”. Ludzie religijni
dominowali w większych
wspólnotach wyznaniowych,
natomiast wierzącymi są głów-
nie młodzi członkowie małych
wspólnot katolickich.

CZŁOWIEK WIERZĄCY

inaczej niż religijny związany
jest z Bogiem. Nie odczuwa
bojaźni czy strachu, lecz darzy
Boga zaufaniem. Poza tym
często bierze udział w bardziej
intymnych mszach i odmawia
własne modlitwy. „W ten spo-
sób — pisze religioznawca wę-
gierski — jawi się nam ideal-
ny typ chrześcijanina, do któ-
rego wielu młodych próbuje
się upodobnić. Wierzący katol-
lik sam wybiera sobie wiarę,
w jego życiu, w codziennych
decyzjach donosił rolę odgry-
wa właśnie wiara, dzięki któ-
rej odczuwa braterską solidar-
ność w stosunku do współ-
wierzających; oświadcza prze-
ciwnie z Bogiem, uzupełnia-
jąc je rytuałami nieco innym
niż tradycyjny. Od zakończe-
nia Soboru Watykańskiego II
w Kościele katolickim ożywiły
się ruchy katolików świeckich,
a wśród nich tzw. ruch ma-
łych wspólnot chrześcijańskich,
wspólnot podstawowych. Zja-
wiszka te obserwujemy także
na Węgrzech, a nasila je sy-
tuacja zwana kryzysem warto-
ści wśród młodzieży”. Autor
podaje, że w społeczeństwie
węgierskim dwie trzecie doro-
słych odczuwa potrzebę cere-
moni kościelnych, około poło-
wa przyjmuje istnienie Boga,
a najwyżej jedna piąta utrzy-
muje stały kontakt z kościo-
łem.

Od spraw kultury duchowej
przejdźmy do problematyki
gospodarczej i społecznej. Dwie
interesujące rozmowy na ten
temat opublikował tygodnik
„WPROST” (nr 41). W pierw-
szej — odpowiadając na pyta-
nia Piotra Grochmalskiego —
prezes Wielkopolskiego Oddzia-
łu PTE prof. Klemens Rataj-
czak bardzo krytycznie wypo-
wiada się o naszej polityce
ekonomicznej. Nie zna on inne-
go kraju wśród państw, do
których chcemy się zaliczać,
gdzie równie niekorzystnie jak
u nas wypada bilans możliwo-
ści rozwoju i osiąganych efek-
tów. Nie osiągnęliśmy jeszcze
poziomu dochodu narodowego
z 1978 roku. I wciąż „drecze-
my w siódle depresji i nie wi-
dząc oznak, które zapowiadały-
by fazę wzrostu”.

NASZ PODSTAWOWY BŁĄD

polegał na tym, że chcieliśmy
stworzyć model nadający się
do supercentralistycznego za-
rządzania. Przez to odebrano
inicjatywę podmiotom życia
gospodarczego i społecznego,
zdjęto odpowiedzialność ekono-
miczną z przedsiębiorstw i
przyzwyczajono ludzi do bra-
nia, a nie dawania z siebie.
Normalny rozwój wymaga dziś
wprowadzenia działania praw
ekonomicznych i zmiany post-
aw społeczeństwa. Niestety,
nawet działacze gospodarczy
nie wierzą w skuteczność re-
formy ekonomicznej i odwie-
kają jej wprowadzenie. Za-
miast mechanizmów ekono-
micznych, mamy rozmaite decy-
zje administracyjne.

Klasyycznym przykładem ad-
ministracyjnego podejścia do

problemów gospodarczych jest
atestacja stanowisk pracy. „Za-
miar szlachetny — mówi prof.
Ratajczak — bo ma przecież
służyć uzdrowieniu naszej gos-
podarki. Tylko że życie przez
czterdzieści lat udowodniło,
że tą drogą my gospodarki nie
zracjonalizujemy. Zresztą jest
to też przykład wskazujący,
że reforma nie w pełni fun-
kcjonuje. To ona bowiem po-
winna narzucić samym przed-
siębiorstwom dokonywanie cią-
głego przeglądu stanowisk, jako
wymogu racjonalnego gospodar-
owania ludzkimi zasobami”.

Taniósć naszej siły roboczej
powoduje, że nieopłacalny jest
postęp techniczny. Lecz koszt
siły roboczej zależy od stopy
życiowej społeczeństwa. Jeśli
rośnie stopa życiowa, wtedy
droższe siła robocza i zaczyna
się opłacać wprowadzenie pos-
tępu technicznego. Toteż nie-
uzasadnione i niebezpieczne
jest blokowanie wzrostu stopy
życiowej, któremu — zdaniem
Klemensa Ratajczaka — „słu-
żą wszystkie te układy pracy,
stawki, tabele płac. Proszę lu-
pić u nas na rynku siłę robo-
czą. Murarz żąda od pana
1000 zł za godzinę. Dlaczego?
Bo tam zadziałają już prawa
ekonomiczne, i tam ma pan
wyraz kosztów siły roboczej”.

W drugiej wspomnianej wy-
żej rozmowie biorą udział pro-
fesorowie Lucyna Frackiewicz,
Antoni Rajkiewicz i Andrzej
Tymowski, a ze strony redak-
cji tygodnika poznańskiego —
Janusz Michalak i Piotr Gro-
chmalski. Temat:

BLASKI I CIENIE POLITYKI SPOŁECZNEJ

Na wstępie prof. Frackiewicz
podaje, ile wynoszą w Polsce
świadczenia lecznicze. O toż
każdy statystyczny obywatel
dostaje rocznie od państwa 8
tys. złotych. W istocie jednak
ma on o tyle niższą pensję — i
to niezależnie od tego, czy le-
czy się, czy nie.

Według prof. Rajkiewicza o-
koło 300 tysięcy gospodarstw
domowych w naszym kraju ży-
je w biedzie. I mniej więcej
tyle samo znajduje się na
szczybie drabiny majątkowej.
Podobny procent biednych i
bogaczy występuje w więk-
szości rozwiniętych państw za-
chodnich. Słabością naszej po-
lityki społecznej są jednak
zbyt częste zmiany zasad. Przez
to narusza się niezbywalne
prawo każdego obywatela do
bezpieczeństwa socjalnego.

„Z kolei prof. Tymowski pod-
kreśla, że stan i jakość świad-
czeń socjalnych zależy od kon-
dycji gospodarki. Najpierw
musimy racjonalizować naszą
gospodarkę, żeby wyzwolić o-
gromne rezerwy środków na
poprawę opieki społecznej.
„Zupełną utopią jest wiara —
czytamy — że w ramach cho-
rej ekonomiki będzie można
stworzyć oazę racjonalnie fun-
kcjonującej polityki społecznej,
potrafiącej między innymi
właściwie motywować ludzi do
pracy”.

O polityce społecznej mówi
też prof. Henryk Rafalski w
tygodniku PRON „ODRODZE-
NIE” (nr 41). Z rozmowy, któ-
rą przeprowadził Stanisław
Mienkowski, dowiadujemy się,
że w podstawowej opiece ie-
karskiej 1 lekarz przypada na
ok. 4 tys. mieszkańców, a po-
winiem na 2-2,5 tys., 1 piele-
gniarka przypada na 3 tys. o-
sób, a powinna na 1,5 tys. osób.
Mamy 6 łóżek szpitalnych na
1 tys. mieszkańców, a powin-
no być 10. W ostatnich latach
służba zdrowia otrzymała ok.
30 proc. nowych obowiązków,
lecz bez dodatkowych środków.

Na koniec polecam naszym
Czytelnikom

NOWY MAGAZYN.

Jest to — redagowany przez
całe łódzkie środowisko dzien-
nikarskie — „SPORTOWY
EXPRESS ILLUSTROWANY”
który w objętości 8 stron ukazał
się w poniedziałek w kios-
kach. Warto wydać 15 zł, żeby
poczytać ciekawe artykuły o
życiu i funkcjonowaniu sportu.

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Starzy gniewni

Nie każdy interesuje się teatrem, toteż wyjaśnię, że reprezen-
tanci pewnego nurtu powojennej angielskiej dramaturgii, niepo-
godzeni z sytuacją swojego pokolenia, zbuntowani przeciwko te-
raźniejszości, którą stworzyli im starsi, zyskali nazwę „młodych
i gniewnych”.

Otóż wznowiła swoją nielegalną działalność polityczną grupa
osób, które mimo na ogół dość młodego wieku (niektórzy około
czterdziestki, niektórzy mniej), po starciu „gniewają się” na
ustroj socjalistyczny w Polsce i gdzie indziej, zajmując dziś po-
stawę bliską tej sprzed kilku lat, jakby czas stanął w miejscu.
A tymczasem do polityki chyba najlepiej odnosi się heraklitowska
teza, iż dwa razy nie wchodzi się do tej samej rzeki, gdyż woda,
w której się zanurzamy, jest już nie ta sama, co poprzednio.

Nie ta sama też co przed pięciu czy sześciu laty jest politycz-
na aura w Polsce, m. in. dlatego, że usunięto z naszego życia
wiele przyczyn, które wówczas skłaniały ludzi pracy do maso-
wych wystąpień, że mianowicie zrealizowano niejeden słuszny, a
zarazem wykonalny postulat w sferze reformowania życia społecz-
no-politycznego i ekonomicznego, zmierzając się też nieustannie do
dalszych reform i do rozwijania procesu demokratyzacji socjaliz-
mu, w sensie zwiększania wpływu obywateli na bieg spraw pu-
blicznych.

Nie wszystkim to w smak, dają więc znać o sobie nawroty
arogancji i bezduszności, co starają się piętnować i zwalczać
wszyscy ludzie dobrej woli — od zwykłych obywateli po działac-
czy (w tym również środowisko dziennikarskie), bo właśnie sporo
ludzi chce i potrafi korzystać z przysługujących im uprawnień
obywatelskich.

Ale starzy gniewni, doszczętnie zgrani już działacze opozycji,
zawzięli się demonstrować negatywne stanowisko wobec wszyst-
kich przejawów naprawy życia, udając, że ich nie dostrzegają, mają
też odwagę zalecać społeczeństwu postawy bierności lub destruk-
cyjne, gdyż dają za wszelką cenę do obniżania poziomu życia w
kraju i destabilizacji politycznej, czego przejawem było m. in. ich po-
parcie dla sankcji ekonomicznych, wymierzonych przez niektóre
państwa w warunki bytu polskiego społeczeństwa. Mieści się to
jednak w ich pojęciu patriotyzmu, a przecież nawet pod zaborem
praca nad zagospodarowaniem miast i wsi na wszystkich ziem-
niach polskich uchodziła za działanie polityczne z narodowego
punktu widzenia. Kim więc oni są? Gdzie ich rodowód?

Nasi gniewni trwają w zaciętych uporze, odrywając się coraz
bardziej od realiów życia i nastrojów coraz większej części spo-
łeczeństwa, zupełnie jak białogwardyjscy emigranci rosyjscy po
Rewolucji Październikowej czy ludzie z polskiego rządu emigra-
cyjnego i klubu „Białego Orła” w Londynie i jak wiele innych
kierunków i ugrupowań, które nie chciały zaakceptować rewolu-
cyjnych przeobrażeń w swoich krajach.

A jednak jest wśród tych „pogniewanych” pewna kategoria lu-
dzi, którzy wzbudzą we mnie współczucie. Nie mam na i
oczywiście cynicznych zawodowych opozycjonistów, którzy, od
dawna przeszkalani, wprowadzeni zostali do akcji w dniach Sier-
pnia 80 i bezpośrednio potem. Musi to być niełatwo wycofać się
z wiecowych mówień w zacisze prywatności. Nie widzę w tym
jednak tragizmu.

Zal mi tych osób, którym nie chodzi o karierę, lecz którzy
z przyczyn, powiedziałabym, ambjonalnie-moralnych uważają,
iż nie wolno im z uwagi na swoich wyznawców i zwolenników,
wyprowadzonych na manowce, wyrzec się dawnego stanowiska
politycznego i zaniechać działalności, ludzka się bowiem, że ucze-
kuje się od nich, by aż po grób „trwali na posterunku”. Obawia-
ją się, że wzięcie przez nich pod uwagę zmienionych realiów i
zmiana orientacji politycznej spowodowałaby utratę „twarzy”.
Tak, tacy ludzie trafiają się po różnych stronach barykady, a
bierze w nich górę swoiste pojmanie godności i miłość własna,
kiedy cudzą opinię o sobie cenią się ponad wszystko. Ale to już
temat literacki raczej niż polityczny.

A tymczasem nasi zatwardziali gniewni bardzo nieszlachetnie
wygrzywiają fakt, że nikt (oprócz nich samych i ich popleczników)
nie pragnie ich widzieć za kratkami, w roli rzekomych męczenn-
ków, a wiedzą, że jeśli się tam znajdą, to, jak uczy polskie do-
świadczenie, nie potrwają długo. Rozumiem, że ze względów
humanitarnych zachęca się ludzi do wkraczania nie na te ścieżki,
które prowadzą do więziennej celi, coraz aktualniejsze staje się
jednak pytanie — czy nasz humanitaryzm nie powinien bardziej
niż dotychczas liczyć się ze spokojem ogółu obywateli i bezpie-
czeństwem państwa, bez względu na to, jakie propagandowe wersje
mają z góry przygotowane nieprzychylnie nam osrodki, bo nie za
to im się płaci, żeby mówili o nas dobrze.

Może jednak rezonans społeczny niepożyczałnych działań okaże
się na tyle niki, że będziemy mogli spokojnie przyglądać się sta-
rym gniewnym, jak ruchom figur w panopticonie...

JERZY KWIECIŃSKI

Termin prenumeraty upływa

Przypominamy naszym PT Czytelnikom, że zbliża się
czas odnowienia bądź rozpoczęcia prenumeraty na-
szego pisma. Termin przyjmowania prenumeraty na
kraj i za granicę na rok następny upływa 10 listopa-
da.

Szczegóły w stopce redakcyjnej. Zapraszamy.

Prenumerata gwarantuje terminowe otrzymanie
każdego numeru pisma.

W najbliższych numerach „Odgłosów”

Czytelnicy znajdą wiele interesujących reportaży i
artykułów, a między innymi:

— ostatni odcinek książki MIECZYSLAWA F. RA-
KOWSKIEGO opowiadający o tym, jak doszło do wpro-
wadzenia 13 grudnia 1981 r. stanu wojennego;

— artykuł BOGUSŁAWA SUŁKOWSKIEGO o nie-
których wadach łódzkich środków masowego przekazu;
— reportaż JOLANTY WRONSKIEJ o kobiecie, która
przez całe życie pomagała innym;

— szkic RYSZARDA BINKOWSKIEGO o przenosze-
niu się ludności miejskiej na wies;

— artykuł HASSANA A. JAMSHEERA o przywód-
cach i programie rewolucji lipcowej 1952 r. w Egipcie.

9 maja 1943 roku u-
kazał się w Mos-
kowie komunikat
który następnie o-
publikowany zosta-
ł w „Nowych Widno-
kregach” w numerze 10 z 20
maja 1943 roku

„Rząd Radziecki postanowił
zadośćuczynić prośbie Związku
Patriotów Polskich w ZSRR w
sprawie utworzenia na teryto-
rium ZSRR polskiej dywizji im
Tadeusza Kościuszki w celu
wzięcia udziału w wojnie z Armią Czer-
woną przeciwko najeźdźcom
niemieckim.

Formowanie polskiej dywizji
już się rozpoczęło.

10 czerwca 1943 roku odbył
się w Moskwie I Zjazd Związ-
ku Patriotów Polskich w ZSRR.
Zjazd uchwalił deklarację ide-
ową. Opublikowano ją w 15
numerze „Wolnej Polski” z 16
czerwca 1943 roku. Oto frag-
ment tej deklaracji.

„Za pierwsze naczelne zadanie,
jakie stoi przed naszymi
narodem, uważamy rozbić
wroga, który czwartą rok pa-
noży się na gruzach naszych
miast, na popieliskach naszych
wsi.

ZPP chce dopomóc krajowi
i wszystkim tym, którzy biorą
udział w dziełach, zmaga-
niach z faszyzmem.

szczytnym tradycjom polskiej
wielkości, łamiąc uroczyste
przysięgi, dając sobie prawo
w.

W nowo wytworzonej sytuacji
nie wolno było pozostać biernym.
Historia uczy: za bierność
przed 1939 r. zapłaciliśmy
niepodległością. Z grupą kole-
gów pozostaliśmy w Związku
Radzieckim. Po przybyciu do
Moskwy nawiązaliśmy łączność
z ludźmi myślącymi podobnie
jak my. Weszliśmy do Związku
Patriotów. Tu poznaliśmy Wan-
dę Wasilewską. Ujrzelśmy z
bliska gorącą miłość ojczyzny
tej wielkiej Polki. Staliśmy się
z nią razem w szeregu. Dłu-
gie starania Związku Patrio-
tów Polskich zostały wreszcie
uwieńczone powodzeniem i do-
czyny rządu radzieckiego dała
nam do ręki broń, której pragn-
ielśmy tak bardzo.

Jak każde wojsko jesteśmy
i my wyrazem siły i dążeń
ideowych i jak każde wojsko
mamy przed sobą cele i zadania
ideowe — pozytywne i nega-
tywne.

W szeregach walczących w
obronie kultury i barbarzyń-
stwem niemieckim nie może
brakować wojska polskiego, re-
zydującemu walczyć. Nakaz
ten nabiera dla nas szczegól-
nej wyrazistości i ważności, je-
śli chodzi o walkę na froncie
radziecko-niemieckim, gdzie sta-

Przysięgam dochować wierce-
ności sojuszniczej Związkowi
Radzieckiemu, który mi dał do
ręki broń do walki z wrogiem
naszym wrogiem, przysięgam
dochować braterstwa broni so-
juszniczej Czerwonej Armii.

Przysięgam wierność sztandar-
owi mojej dywizji i hasłu o-
pów naszym, które na nim wid-
nieje: za naszą wolność i Wa-
szą.

Przysięgam ziemi polskiej i
narodowi polskiemu, że do o-
statniej kropli krwi, do ostat-
niego tchu nienawidzić będę
wroga, który zniszczył Polskę
— Niemca, do ostatniej kropli
krwi, do ostatniego tchu walczyć
będę o wyzwolenie Ojczy-
zny abym mógł żyć i umierać
jak polski i uczciwy żołnierz
Polski.

Tak mi dopomóż Bóg.

24 października 1943 roku w
„Wolnej Polsce” ukazał się ar-
tykuł Wandy Wasilewskiej pt.
„Kościuszkowcy w pierwszym
boju”.

Dwunastego października nasi
Najdrożsi przyjęli ogólny
chrzest. Dwunastego paździer-
nika Dywizja imienia Kościuszki
rozpoczęła swój pierwszy
bój.

Bohaterstwo walczyło naszą

deczną, co się lata wspólnie po
sowieckim i po polskim mun-
durze.

Dowiodła nasza dywizja jesz-
cze raz — że Polska nie zgi-
nęła. I że z dumą i szczerą
patrzyli struchlały Niemcy,
jak idą przeciw nim szeregi w
polskich mundurach, jak lśnią
na czapkach ptak niepokona-
ny — orzeł biały, jak zmara-
twychwstaje przed nimi to, co
uważali za zniszczone, rozbite
na zawsze w trzydziestym
dziesiątym roku — wojsko
polskie.

Tylko że to wojsko było u-
zbrojone inaczej niż w trzy-
dziestym dziesiątym roku. W
wspaniałą, nowoczesną broń.
W dzielą, czolg, moździerze,
cekaemy.

I jak wicher przeszła nasza
dywizja przez niemieckie pozyc-
je.

W zajął, szalony, zwy-
cięskim boju.

Serca bohaterów znalazły i
sobie młodzieńcze dziewczęta
idące w bój. Serca bohaterów
znaleźli w sobie ci, co nigdy
jeszcze nie trzymali broni w
ręku. Serca bohaterów znale-
li w sobie szeregowcy i ofi-
cerowie.

Krwia i bohaterstwem udo-
wodnili Żydzi w naszej dywi-
zji swój patriotyzm i swe przy-
wiązanie do Polski.

Nisko schylamy głowy nad
mogilami poległych naszych
bohaterów. Nie płaczą nad
ich mogilami. Radośnie szli w
bój i mężnie umierali — za
wolną, niepodległą, demokra-
tyczną Polskę.

Nie łzami trzeba nam sola-
cać drug wobec nich — tylko
czczeniem.

Musimy być tak jednolici,
jak oni byli, pochłonięci jedną
myślą i jednym pragnieniem.

Musimy być tak silni, jak
byli oni, i tak wierzący w
jasną przyszłość, jak oni byli
wierzący. Musimy być tak wy-
trwali, jak oni, i tak służący
wielkiej sprawie, jak służili
oni.

I to powinni być nasze
kwalifikacje, na ich grzech
przejazdu sowieckiej, białor-
uskiej ziemi — skąd ich kie-
dyś zabierzemy, żeby leżeli w
rodzinnej — polskiej ziemi.

Wysoko, wysoko powiewa
sztandar naszej dywizji — dziś
już opromieniony chwałą i bo-
haterstwem.

Polacy w Związku Radziec-
kim! Bądźcie godni Waszej Dy-
wizji!

Po wkroczeniu Armii Czer-
wonej i Wojska Polskiego na
ziemi polskie w lipcu 1944
roku Krajowa Rada Narodowa
ogłosiła dekret o przejęciu
zwierzchnictwa nad Armią
Polską w ZSRR i o scaleniu
jej z Armią Ludową w jedną
Wojsko Polskie. Oto treść tego
dekrety.

„Krajowa Rada Narodowa
postanawia:

1. Przejąć zwierzchnią wła-
dzą nad Armią Polską w
ZSRR.
2. Zjednoczyć Armię Ludową
z Armią Polską w ZSRR.
3. Zjednoczone armie noszą
nazwę Wojska Polskiego.
4. Powołać do życia Naczel-
nego Dowódcę Wojska Pol-
skiego, na skład którego wejdą:
naczelną dowódca, dwaj jego
zastępcy oraz dwaj członkowie
Dowództwa.
5. Stopnie generalskie nada-
je w Wojsku Polskim Prezy-
dium Krajowej Rady Narodowej
na wniosek Naczelnego
Dowódcy. Prawo nadawania
wszystkich innych stopni ofi-
cerskich Prezydium Krajowej
Rady Narodowej przekazuje
Naczelnemu Dowódcy.
6. Dekret niniejszy nie na-
rusza operacyjnego podporzą-
dkowania Naczelnemu Dowód-
ztwu Armii Czerwonej forma-
cji Wojska Polskiego działają-
cych na froncie radziecko-nie-
mieckim.”

Plenum narodowych nadziei

19 października 1956 roku rozpoczęło się VIII Plenum Komite-
tu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Otwie-
rajac obrady I sekretarz KC Edward Ochab zaproponował zmia-
ny w rozkładzie wcześniej porządku dziennym.

Były one istotne. Tradycyjny referat Biura Politycznego mia-
ło zastąpić wystąpienie zaproszonego do udziału w obradach
Władysława Gomułki, którego proponowano na stanowisko I se-
kretarza KC.

VIII Plenum KC rozpoczynało swoje obrady w sytuacji wy-
jątkowo skomplikowanej. System tworzony w wyniku zwrotu w
polityce partii i państwa lat 1948—1949 walił się w gruz. Prze-
szedł radzieckiej drogi do socjalizmu, a przede wszystkim me-
tod sprawowania władzy nie przyjął się na polskim gruncie i or-
ganizm państwowy wchodził w trudny okres przestawienia.

Po śmierci Józefa Stalina w 1954 roku, na centralnej naradzie
aktywny partyjny PZPR, oraz na plenum KC w styczniu 1955
roku omawiano problem łamania praworządności. Były to jed-
nak działania wycinkowe, niesmiałe, bo siły konserwatywne w
partii nadal czujnie strzegły swojej linii i swoich pozycji.

Obrady VIII Plenum KC poprzedziły wydarzenia poznańskie.
Odbływały się one w atmosferze aktywizacji robo-
tniczych załóg. Z zakładów pracy całego kraju płynęły
rezolucje domagające się zmian we wszystkich niemiłych dzied-
nach życia społecznego. Dokonywała się druga rewolucja w tym
sensie, że klasa robotnicza znów, jak w połowie lat czterdzi-
stych podejmowała walkę o władzę ludową, której zaprzeczeniem
stały się praktyki okresu kultu jednostki.

Kierownictwo KPZR okazywało zaniepokojenie wydarzeniami
w Polsce. Przyczyną tego stanowiły niewątpliwie występujące na
marginesie przemian akcenty antyradzieckie, ale przede wszyst-
kim brak głębszego rozeznania co do istoty dokonujących się
przemian. Nagły przyjazd kierownictwa radzieckiego do Warsza-
wy przed rozpoczęciem obrad plenarnych, a także dokonujące
się i budzące społeczny niepokój ruchy wojsk, których nikt
z osób kompetentnych nie potrafił przekonująco uzasadnić uczes-
nikiem plenum — wszystko to potęgowało nerwową atmosferę
i wymagało jasnego określenia nowej linii politycznej.

Rozpoczęła swe obrady VIII Plenum KC PZPR w skompli-
kowanej sytuacji politycznej w samej partii. Z faktu istnienia
w kierownictwie partii dwóch potężnych frakcji jednoznacznie
wynikało, że plenarne decyzje będą miały charakter kompromis-
owy. że rozegra się na Plenum walka o charakter kursu polity-
cznego partii i państwa, o stopień spełnienia oczekiwań klasy
robotniczej i całego narodu. Taki zarys nowego kursu, a zara-
zem krytyczną ocenę minionego okresu przedstawił w swym
wystąpieniu Władysław Gomułka.

„To co w socjalizmie jest niezmiennie — mówił — sprowadza
się do zniesienia wyższego człowieka przez człowieka. Drogi do
osiągnięcia tego celu mogą być i są różne. Warunkują je różno-
rodne okoliczności czasu i miejsca. Różny też może być model
socjalizmu. Może być taki, jaki został stworzony w Związku Ra-
dzieckim, można go kształtować tak, jak to widzimy w Jugo-
sławii, a może też być jeszcze inny...”

Wiele miejsca w swoim wystąpieniu poświęcił Władysław Go-
mułka ocenie systemu kultu jednostki, który „kształtował mózgi
ludzie. Kształtował sposób myślenia działaczy partyjnych i
członków partii”. Istota tego systemu polegała na tym, że wy-
tworzona została jednostkowa hierarchiczna drabina kultów, a za-
reżym hierarchicznej drabiny stał Józef Stalin.

„Kult jednostki — stwierdził Władysław Gomułka — to okre-
ślona droga odziania do socjalizmu, przy stosowaniu metod sprze-
cznych z socjalistycznym humanizmem, z socjalistycznym pocu-
ciem wolności człowieka, z socjalistycznym — pocuciem praw-
dopodobności”.

Podając krytykę okresu kultu jednostki mówił Władysław Go-
mułka o szczególnie drastycznych jego przejawach. „System ten
gwałcił zasady demokratyczne i praworządność. Przy tym syste-
mie łamano charakter i sumienia ludzkie, deptano ludzi, opłu-
wano ich czesć. Oszczerstwo, kłamstwo, fałsz, a nawet provo-
kacja służyły za narzędzia sprawowania władzy.

Došlo i u nas do tragicznych faktów, że niewinnych ludzi po-
słano na śmierć. Wielu innych więziono niewinnie przez długie
lata, w tym również i komunistów. Wielu ludzi poddawano bes-
tialskim torturom, które naruszały a nawet przekreślały najgłę-
bszy sens władzy ludowej”.

O stosunkach między państwami i partiami Władysław Gomu-
łka mówił: „Wzajemne stosunki między partiami i państwami
obozu socjalizmu nie znajdują i nie powinny znajdować żadnych
podwódek do jakichkolwiek komplikacji. Na tym polega jedna
z głównych cech socjalizmu. Stosunki te winny się kształtować
na zasadach międzynarodowej solidarności robotniczej, winny być
oparte na wzajemnym zaufaniu i równości praw, na udzielaniu
sobie nawzajem pomocy, na wzajemnej, przyjacielskiej krytyce,
jeśli taka okaże się koniecznością, na rozumnym i wynikającym
z ducha przyjaźni i z ducha socjalizmu rozwiązywaniu wszyst-
kich spraw spornych”.

Uważał też, że należy gospodarować inaczej. „Praktyka reali-
zacji planu 6-letniego — stwierdził — polegała na tym, że na
określonych, wytypowanych odcinkach koncentrowano maksimum
środków inwestycyjnych bez uwzględnienia potrzeb innych
odcinków życia gospodarczego. A przecież gospodarka narodowa
stanowi połączoną całość. Przy planowej gospodarce i rozum-
nym gospodarowaniu można czasowo ograniczać potrzeby gospodar-
darze w jednej dziedzinie życia i przetrzącać zoszczędzone w
ten sposób środki na szybszy rozwój gospodarczy w drugiej dzie-
dzinie życia. Planowanie winno być takie, aby po pewnym czasie
szybko nadrobić luki powstałe na odcinku ograniczającym, co
powinno być ułatwione wskutek zwiększonych zasobów i możli-
wości produkcyjnych, powstających na odcinku poprzednio uprzy-
wilejowanym pod względem nakładów inwestycyjnych.”

Nasza dotychczasowa polityka planowania i gospodarowania
doprowadziła do tego, że ani nie wypełniliśmy nakreślonych za-
dań na odcinku uprzywilejowanym w ustalonych terminach, za-
mroziliśmy i zmarnowali tam olbrzymie środki, ani też nie
stworzyliśmy warunków do likwidowania luk gospodarczych na
odcinkach świadomie poprzednio ograniczanych...”

Na rozbudowę przemysłu zaciągaliśmy poważne kredyty in-
westycyjne, a kiedy nadeszły terminy pierwszych spłat znaleźli-
śmy się w położeniu niewypłacalnego bankruta”.

Abym lepiej rzucić trzeba, aby klasa robotnicza i masy pracu-
jące darzyły kredytem zaufania swych przedstawicieli dzierzą-
cych ster władzy państwowej. Jest to moralna podstawa sprawa-
wania władzy w imieniu mas pracujących. Kredyt zaufania mo-
że być bez przerwy przedłużany jedynie pod warunkiem wy-
wiązywania się z zobowiązań zaciągniętych wobec kredytodaw-
ców. Utrata kredytu zaufania oznacza utratę moralnej podstawy
sprawowania władzy.

Rzadzić krajem można nawet w takich warunkach. Tylko
rządy będą wówczas złe. Muszą się bowiem opierać na biurokra-
cji, na łamaniu praworządności, na przemocy. Istota dyktatury
proletariatu, jak najszerzej demokracji dla klasy robotniczej
i mas pracujących, zostaje w takich warunkach pozbawiona swej
treści...”

24 października 1956 roku kilkaset tysięcy ludzi zebranych na
Placu Defilad śpiewało sto lat Władysławowi Gomułce. Był to
wyraz kredytu zaufania oddanego przez naród. Gomułka
zaufania, o którym tak przekonująco mówił na VIII Plenum.

Opracował:
ZENON JANUSZ MICHALSKI

Dokumenty naszej przeszłości

Rodowód wojska polskiego

Poprzez uformowanie polskiej
jednostki wojskowej w ZSRR,
poprzez braterstwo broni z Ar-
mią Czerwoną w wojnie z
Niemcami — ZPP zmierza do
tego, by umocnić już istnieją-
ce więzi sympatii między na-
rodem polskim a narodami
Związku Radzieckiego i przy-
czynić się do ich utrwalenia na
przyszłość.

Wobec furii niszczycielskiej,
cynizmu i brutalności, z jaką
hitlerowski Niemcy tępił na-
ród, wysuwa się jako naczelne
zadanie polityki polskiej
zabezpieczenie raz na zawsze
naszego bytu narodowego przed
możliwością nowego zaprze-
cia przez imperializm niemiec-
ki.

Jedyną rozsądną polityką,
dzisiaj tak samo jak przed
rokiem 1939, jest sojusz ze Związ-
kiem Radzieckim, naszym natu-
ralnym sojusznikiem.

Związek Patriotów Polskich
w ZSRR pragnie wspólnie ze
wszystkimi innymi zrzeszenia-
mi Polaków na całym świecie
dopić tego, by w stosunkach
między Polską a ZSRR pano-
wały przyjaźń i bojowa współ-
praca podczas wojny, najściślej-
sze współdziałanie i trwały so-
jusz po wojnie.

Związek Patriotów Polskich
w ZSRR dąży także do tego,
by między Polską a Czechosło-
wacją skończyły się wreszcie
raz na zawsze okres dawnych spo-
rów i waśni, by polsko-czecho-
słowacka współpraca politycz-
na i ekonomiczna stała się rze-
czywistością.

W 12 numerze „Nowych Wid-
nokregów” ukazał się artykuł
Zygmunta Berlinga. Dowódcą
1. Dywizji im. Tadeusza Kości-
uski przynajmniej, że 11 listopa-
da 1941 roku napisał artykuł,
który zamierzał opublikować w
gazecie obozowej 5 Dywizji
Piechoty „W marszu”. Artykuł
czytał gen. Władysław Sikorski,
który oświadczył, że „całkowicie
nie aprobuję”. W artykule
tym gen. Zygmunt Berling za-
dał między innymi pytanie:

„Kto winien temu, że ciężka,
że śmiertelnie ciężka praca nas-
zych rąk i umysłów poszła na
marne?”

Kto winien, że w ciągu 20
lat naszego życia państwowego
potrafiłemu wokół siebie zyskać
tylko ironię i w chwili
walki o nasze istnienie zosta-
liśmy sami?”

W dalszej części artykułu,
już pisanej w 1943 roku Zyg-
munt Berling stwierdzał:

„Wypadki, jakie nastąpiły
potem, zmusiły do zasadniczej
rewizji i zmiany początkowego
stosunku myślowego, a później
rzeczywistego, do posunięć emi-
gracyjnego rządu, za który gen.
Sikorski jest odpowiedzialny. W
chwili gdy Związek Radziecki
znalazł się w niezwykle ciężkiej
sytuacji, armia gen. An-
dersa opuściła sojusznika, idąc
tym samym naprzeciwko intere-
som narodu polskiego, przeciw

jemu do walki ramię przy ra-
mieniu z najbliższymi z naszych
wielkich sojuszników i gdzie
mamy przed sobą najbliższą
perspektywę walki na polskiej
ziemi, najszybszego znalezienia
się wśród naszych braci w Oj-
czyźnie i podania im pomoc-
nej ręki.

Pójdziemy na front z hasłami
walki z niemieckim rabusem
i mordercą, o wotną, niepodle-
głą, demokratyczno-parlamentar-
ną Polskę.

Wzmagać się w kraju wal-
ka z okupantami, mimo repres-
ji niemieckich i nawiązywać
rządu emigracyjnego do bierno-
ści, doje nam rekompensuje, że
jestemy na drodze wybranej
przez naród i zgodnej z jego
pragnieniami.

Naszym celem jest bić nie-
mieckich zbrodniarzy i ich
wspólników, a gdy znajdziemy
się w Ojczyźnie, chcemy pomóc
cierpiącym głód i nędzę, zapo-
wić narodowi swobodę dla
wszystkich bez wyjątku, bez
względów na poglądy polityczne,
na pochodzenie i religię, wy-
powiadać się co do przysz-
łości kraju.

Woli narodu podporządkujemy
się bezapelacyjnie.

Idziemy do walki o wolność
i niemiemy ze sobą wolność.

Tymczasem zaś szukujemy
się do boju. Chcemy zjednoczyć
i zjednoczymy w naszych szre-
gach wszystkich Polaków w
ZSRR zdolnych do noszenia
broni.

Nie zamykamy dostępu do
wojska i kobietom.

Diążąc temu, że rząd radziec-
ki ustosunkował się do nas w
sposób, który trudno nazwać
inaczej jak serdecznym, orga-
nizacja jednostek wojskowych
postępuje szybko naprzód.

Znakomite wyposażenie tech-
niczne i doskonały nastrój
powołanych, ich chęć walki,
przebiega muru niemieckiego na
drodę do Ojczyzny dają nam
rekompensuje, że potrafimy stworzyć
dobre jednostki wojskowe i w
każdej sytuacji wypełnimy z
honorem nasz obowiązek wobec
Ojczyzny i sojuszników.”

15 lipca 1943 roku — w 533
rocznicę bitwy pod Grunwaldem
— odbyła się w Siedlcach
nad Oka przysięga żołnierzy 1.
Dywizji im. Tadeusza Kościuszki.
Tekst tej przysięgi uka-
zał się w 18 numerze „Wolnej
Polski” z 8 lipca 1943 roku.

„Składam uroczystą przysięgę
ziemi polskiej, brojącej we
krwi, narodowi polskiemu, wa-
meczonemu w niemieckim jarze-
m, że nie skalam imienia Po-
laka, że wiernie będę służył
Ojczyźnie.

Przysięgam ziemi polskiej i
narodowi polskiemu rzetelną
pełnią obowiązków żołnierza w
boju, w pochodzie, w boju, w
każdej chwili i na każdym
miejscu, strzec wojskowej ta-
jemnicy, wypełniać wiernie
rozkazy oficerów i dowódców,

dywizji. Właśnie tak, jak przy-
sięgała.

Przysięgała w dniu 15 lipca
ziemi polskiej i narodowi pol-
skiemu, że nie skała imienia Po-
laka. Nie skała imienia Po-
laka — opróżniła je nową
sławą i chwałą. Przysięgała w
dniu piętnastego lipca wierce-
ność sztańdaru — i tej wierce-
ności dochowała.

Od dowódcy do szeregowca,
od szeregowca do dowódcy, na-
sza dywizja chwaliła i boha-
tersko spełniała swoje zadanie.
Przelamala linie niemieckiej o-
bronny, napłynęła niemieckie o-
kopy — zwałami hitlerowskich
trupów, wysubordowała białor-
uskie wsi, które od dwu lat je-
czyły w niewoli.

Kiedy nasi chłopcy szli do a-
taku — czerwonoarmieci i so-
wietcy oficerowie wyszli z o-
kopów i oklaskiwali ich. A nie-
jedno już widzieli ci żołnierze
Czerwonej Armii w tej wojnie,
w której bohaterstwo krwawiło
dwa lata. Ale porwał ich widok
naszych chłopaków idących w
bój, jak to śpiewano w starej
piosence — jak do tańca.

Bądźcie dumni, Polacy w
Związku Radzieckim! Bądźcie
dumni, Polacy w kraju i na
całym świecie!

Bądźcie dumni z Hübnera,
komunisty, ongiś oficera mie-
dzynarodowej brygady w Hisz-
panii, potem więźnia w Algier-
ze, dziś oficera naszej dywizji,
który mężnie walczył i zginął
śmiercią bohatera.

Bądźcie dumni z porucznika
Czarkowskiego, ongiś żandarma,
dziś oficera naszej dywizji, któ-
ry ciężko ranny, gdy w szpitalu
na chwilę odzyskał przytom-
ność, zapytał — gdzie sztandar
i co z dowódcą, generałem Ber-
lingiem. A kiedy się dowiedział,
że sztandar cały, że dowódca
żywy i zdrowy, powiedział: wo-
bec tego mogę umrzeć spokoj-
nie.

I umarł jak bohater.

I umarł spokojnie jak bo-
hater.

Polacy w Związku Radziec-
kim! Walczycy w naszej dywi-
zji wszyscy — i wszyscy wal-
czyli bohaterstwo.

Ludzie z różnych partii, lu-
dzie różnych przekonań, ludzie
różnego pochodzenia — czynem
dowodili, krwią własną przy-
pieczętowali wielką jedność
narodu w walce o oswobodze-
nie Polski.

Byli oficerowie i żołnierze
polskiej armii i byli więźnio-
wie Wronki, Rawicza i Bere-
zy, chłopcy, robotnicy i inteli-
genci, znaleźli w sobie jedno
serce i to serce biło jednym
rytmem — wspaniałym i boha-
terskim.

Przysięgała nasza dywizja
dochować wierności sojuszni-
czej braterskiej Czerwonej Ar-
mii — i tej wierności docho-
wała i przypieczętowała przy-
jaźń między Polską i Związ-
kiem Radzieckim krwią ser-

11 i 12 grudnia w Gdańsku obradowała Komisja Krajowa NSZZ „Solidarność”. Jak się okazało, po raz ostatni. Jestem zdania, że warto zająć się jej przebiegiem.

Posiedzenie Komisji Krajowej zostało poprzedzone badaniem ankietowym przeprowadzonym wśród delegatów zjazdu krajowego z pomocą teleksów w dniach 7 i 10 grudnia. Na zadane pytania odpowiedziało 284 delegatów, a więc jedna czwarta z obecnych na zjeździe. Na pytanie o to, jak delegaci oceniają analizę sytuacji zawartą w stanowisku przyjętym w Radomiu, około 83 proc. odpowiedziało, że jest właściwa. Natomiast sposób sformułowania warunków postawionych rządowi w Radomiu 83 proc. uznano za właściwy, 13 proc. za zbyt łagodny, a 4 proc. za zbyt agresywny. Można zatem powiedzieć, że aktywny „Solidarność” zgadzał się ze stanowiskiem zajętym przez Prezydium Komisji Krajowej i przewodniczących zarządów regionów.

Obrady KK rozpoczęły się 11 grudnia o godz. 11.20. Porządek dzienny obejmował dwa punkty: określenie strategii i taktyki Związku w obecnej sytuacji oraz sprawy organizacyjne. W punkcie pierwszym prowadzący obrady zaproponował omówienie m.in. następujących tematów: ustawa o związkach zawodowych, samorządy pracownicze, ocena rozwoju ruchu samorządowego, przygotowania do referendum w sprawie ustawy o przedsiębiorstwie i samorządach, samorząd terytorialny i propozycje dotyczące ordynacji w wyborach do Rad Narodowych stopnia podstawowego. Jak zwykle na posiedzeniach KK dyskusja była chaotyczna, od sasa do lasa, co oczywiście nie oznacza, że nie jest możliwe wywołanie z niej spraw istotnych dla określenia stanu ducha, jaki panował na tej samej sali, w której podpisywano porozumienie sierpniowe, a w której trzy lata później, w sierpniu 1983 roku ja stanąłem przed aulą i tłumem nala-dowanym emocjami.

Jerzy Jastrzębowski, informując zebranych, że jego zadaniem jest utworzenie drogi Związku do środków masowego przekazu, oświadczył, że jeśli mimo protestów „Solidarność” w Polskim Radiu i Telewizji wprowadzona zostanie nowa struktura organizacyjna, nad którą w tym czasie pracowano, to w PR i TV zostanie przeprowadzony strajk generalny. Wola „Solidarność” powinna być uwzględniona, bo jak nie, to strajk! Związek na terenie PR i TV był bardzo silny, skupiał bowiem 40 proc. pracowników. Jastrzębowski oświadczył zebrany, że każdy specjalista w PR i TV ma swojego odpowiednika w MSW. Było to kolejne dziecię zrodzone przez demagogię, z którą Związek żył za pan brat.

Jeden z kolejnych mówców zajął się porozumieniem narodowym. Na koncepcję wysuwającą przez rząd, powiedział, Związek nie może wyrazić zgody. Uznał, że podstawa porozumienia powinien być program naprawy Rzeczypospolitej opracowany przez Związek. Ciekawe, jaki to program miał mówca na myśli. Ja się z nim nie zetknąłem. Następny mówca, Słowik, stwierdzał, że istnieje pełne poparcie członków Związku dla stanowiska zajętego przez Prezydium w Radomiu oraz zdecydowana chęć działania, zwrócił się do KK z prośbą o wyrażenie zgody na podjęcie strajku czynnego w regionach łódzkim, skierniewickim, piotrkowskim i sieradzkim. Jaworski uzasadniał w swoim wystąpieniu konieczność powołania SRGN i wyraził pogląd, że strajk czynny powinien być poprzedzony generalnym, bowiem ten drugi nie może trwać. Występujący po nim Rulewski powiedział, że polityczne rozwiązywanie sytuacji, to nie inne, jak powrót do starych metod rządzenia, i odczytał oświadczenie Zarządu swego Regionu, w którym mowa była o utracie społecznego poparcia przez rząd PRL oraz o utraceniu przez niego mandatu narodu. Podobnie jak w Radomiu, powiedział się za przyspieszeniem wyborów do Sejmu i Rad Narodowych. Jurczyk zakomunikował, że trzy najważniejsze zakłady Szczecina objęły opiekę nad szczytną telewizją. Odczytał także uchwałę Zarządu Regionu w sprawie porozumienia narodowego. Zarząd stwierdził, że warunkiem przystąpienia do porozumienia jest m.in. „zapewnienie wolnych i demokratycznych wyborów do Sejmu PRL i Rad Narodowych w Szczecinie do 31 maja 1983 r. „Uchwała stwierdzała także, że w przypadku uchwalenia przez Sejm nadzwyczajnych pełnomocnictw dla rządu, należy ogłosić w trybie natychmiastowym strajk powszechny. Jaluwicki wyraził pogląd, że Związek nie może przystąpić do porozumienia narodowego, ponieważ wzięby na siebie odpowiedzialność za kraj przy braku posiadania jakiegokolwiek władzy. Nawoływał także do przeprowadzenia referendum ogólnozwiązkowego w sprawie ogłoszenia strajku czynnego, bowiem Związek przejmując władzę w społeczeństwie musi mieć zgodę wszystkich swoich członków. Walliszewski stwierdził, że Zarząd Regionu jest zdania, iż Sejm nie podejmie decyzji o przedterminowych wyborach i że w tej sytuacji Związek powinien zrobić to sam, bez Sejmu i władz, przy udziale wszystkich zainteresowanych organizacji i ludzi, którzy chcą, aby władza w Polsce należała do narodu.

Dłuższy wywód na temat porozumienia narodowego przedstawił Rozpłochowski. Obecna idea porozumienia narodowego, powiedział, jest „zwykłym szalbierstwem politycznym”. Żadna idea, która wyszła od PZPR, „nie może budzić zaufania”. Bez likwidacji dogmatu o kierowniczej roli partii nie można mówić o jakiegokolwiek współpracy partnerskiej. Wezwał także do zaprzestania honorowania w jakiegokolwiek formie istniejącej władzy. Rozpłochowski nie był w „Solidarność” małym pionkiem, a więc tego, co powiedział, nie można było zaliczyć do, ot takich sobie, nieodpowiedzialnych bajdurzeń. Podobnie jak wielu innych działaczy „Solidarność” uznał on za konieczne prowadzenie otwartej walki z PZPR. Po nim zabrał głos przedstawiciel Zarządu Regionu Małopolska. Oświadczył, że Zarząd widzi konieczność przygotowania przez KK pakietu ustaw i innych aktów normatywnych, dotyczących reformy gospodarczej. W drodze referendum należy uzyskać społeczną akceptację proponowanego przez Związek modelu reformy gospodarczej. W okresie trwania strajku powszechnego, kontynuował, Związek przystąpi do realizacji reformy koordynowanej przez utworzoną drogą faktów dokonywaną Społeczną Radę Gospodarki Narodowej. Małopolanin zażądał także, aby wszelkie negocjacje związku były odlaty transmitowane bezpośrednio przez telewizję. Zwrócił uwagę, że za

niecały miesiąc miały już wejść w życie zasady reformy gospodarczej opracowane przez kilkusetosobową Komisję ds. Reformy Gospodarczej, która pracowała pod przewodnictwem premiera i w której pracach — przypominam — uczestniczyli także przedstawiciele „Solidarność”.

Po Małopolanie głos zabrał Wałęsa. Ponieważ wcześniej padło pytanie, gdzie przebywał przez większą część obrad, Wałęsa bowiem i Prezydium KK zbyt często wychodzili z sali, przewodniczący zaczął swą wypowiedź od odpięcia zarzutów, że nie pracuje, lecz objaja się. Apelowo o jedność Związku i poinformował o przebiegu spotkania z Prymasem, które odbyło się w Warszawie, w dniu 9 grudnia. W skład delegacji oprócz Wałęsy wchodził: Wądołowski, Modzelewski i Jaworski oraz doradcy Mazowiecki, Siła-Nowicki i Wielowieyski. Wałęsa bardzo oszczędnie zrelacjonował przebieg spotkania. Mówił, że Prymas prosił o umiar, zrozumienie i o to, aby Polacy ze sobą się dogadali. Było to dość dziwne u zazwyczaj bardzo gadatliwego Wałęsy.

Po nim jako pierwszy po przerwie obiadowej głos zabrał Palka. Powiedział, że to co byłoby

Czasy nadziei i rozezarów

(22)

Ostatnie posiedzenie Komisji Krajowej „Solidarność”

MIECZYSLAW F. RAKOWSKI

najrozsądniejsze, to przeprowadzenie referendum w sprawie wolnych wyborów do Sejmu, ale: referendum oznaczałoby rozpoczęcie procesu „likwidacyjnego tego systemu”. W związku z tym Palka stwierdził, że trzeba postawić pytanie o militarne interesy ZSRR (w Polsce) i kolejne pytanie: czy „Solidarność” powinna udzielić gwarancji w tej sprawie. Jego zdaniem, tak. Komisja Krajowa, kontynuował swoje wywody, powinna odpowiedzieć się za udzieleniem takich gwarancji i dopiero wtedy można będzie ogłosić przeprowadzenie referendum. Tyle Palka. Czyżby majaczył? Na pewno nie, ale to, że utracił wszelki kontakt z rzeczywistością, jest bardziej niż oczywiste. Podczas popołudniowej sesji głos zabrał mecenas Siła-Nowicki. Z dwóch przyczyn uważam za celowe obszerniejsze zreferowanie tego wystąpienia. Po pierwsze, z uwagi na jego treść, i po drugie, że o ile sobie przypominam, w lutym albo marcu 1982 roku Siła-Nowicki odwiedził mnie i wręczył mi to przemówienie zatytułowane „Analiza sytuacji”, podpisane przez niego i mecenas Jana Olszewskiego, z dopiskiem: „Gdańsk, 11 grudnia 1981”. Nie uczynił tego bez określonego celu. Myślę, że chciał dowiedzieć, iż realistycznie ocenili ówczesną sytuację. Nie wątpię w to. Siła-Nowicki zbyt wiele przeszedł w swoim życiu, bym mógł go posadzać o uleganie mitom, poddawanie się pobożnym życzeniom etc.

Odpowiadając na pytanie, czy Związek dąży do konfrontacji, czy też strona przeciwna, autorzy analizy stwierdzali, że „Związek są ludźmi działający w sposób, który może wywołać wrażenie i dać żer dla wroga (tzn. naszej — MFR) propagandy. To jest tekst uchwały powziętej bez dokładnego przeanalizowania jej treści w Radomiu w dniu 3 grudnia 1981 r.”. Zdaniem mecenasów, uchwała zawierała postulaty „w zasadzie słuszne”, jednak powinna była posłużyć się inną formą, równie ostrą lub ostrzejszą, która jednak nie mogłaby „być komentowana jako ultimatum, zerwanie i konfrontacja przez Związek i dążenie do konfrontacji, natomiast stwierdzałyby wyraźnie, że Związek chce porozumienia”. Odtóż to, rzecz w tym, że „tymczasowym” radomianom nie idea porozumienia błąkała się po głowie, lecz walka z władzą na całego. Mecenas stwierdził także, że pojęcie konfrontacji to pojęcie dążenia do wzburzenia i konfrontacji. Regionu Mazowsze w sprawie urządzania manifestacji ulicznych i zorganizowania strajku robotniczego, a także tworzenie w ramach Związku różnych organizacji nie mających nic wspólnego ze statutową działalnością „Solidarność”. Treść i często nieodpowiednia forma propagandy związkowej — stwierdził — „w tym również drażnienie czynników zewnętrznych, mogą być komentowane jako wyraz dążenia do konfrontacji”. Była to ocena, pod którą można by się podpisać. Stwierdzam, że można by, ponieważ już następne zdanie, zapewniające, że „Związek jednak do konfrontacji nie dąży”, było sprzeczne z codzienną działalnością wielu wpływowych działaczy „Solidarność”.

Na pytanie, czy rząd i partia „jako całość” dąży do konfrontacji, mecenas odpowiadali: „Z analizy sytuacji politycznej wynika, że rząd i partia jako całość do konfrontacji totalnej ze Związkiem nie dąży”, natomiast — ich zdaniem — nie dotrzymują dotychczas istotnych warunków porozumienia w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu. „W pierwszym rzędzie — stwierdzali — uparcie nie dopuszczają Związku do możliwości korzystania ze środków masowego przekazu, usiłują hamować proces odnowy lub czasem nawet odwrócić jego kierunek i stawiają warunki z trudem układającej się współpracy, często dla Związku nie do przyjęcia”. Podejrzewam, że był to ukłon w stronę przywódców „Solidarność”.

Za istotne zagadnienie autorzy analizy uznali ocenę stosunku sił Związku i strony rządowej. Propaganda rządowa i partyjna — pisali — podkreśla stale siłę Związku, natomiast propaganda związkowa często twierdzi, że „rząd jest bardzo słaby, czy nawet nieomal nie istnieje”. Kierując swe uwagi pod adresem „Solidarność” stwierdzali, że przecenianie sił przeciwnika jest o wiele mniej niebezpieczne od ich niedoceniania. Związek, przypominali, podjął dotychczas dwie akcje o charakterze konfrontacyjnym, z których pierwsza dotyczyła trasy przemarszu przez Warszawę, druga Wyższej Szkoły Oficerów Pożarnictwa. Żadna z tych akcji nie zakończyła się powodzeniem. Ich zdaniem, słabość

rządu i partii, załamanie się aparatu władzy nie leży w interesie Związku i całego narodu... „Natychmiastowe załamanie się aparatu państwowego leży jedynie w interesie ludzi, którym bardzo spieszyło do objęcia władzy w Polsce”. Natomiast celem Związku powinno być „posiadanie takiej siły, aby rząd nie mógł rzucić skutecznie bez współdziałania ze Związkiem”.

W kolejnym fragmencie analizy jej autorzy, po przypomnieniu, że Związek obrósł w rozmaite organizacje społeczne (np. organizacje kombatanckie, Komitet Obrony Więzionych za Przekonania, „Patronat” itp.) i że jest sprawą dyskusyjną, czy organizacje te winny istnieć w ramach Związku, stwierdzali, że „z całą pewnością organizacje o charakterze czysto politycznym działają winny poza ramami „Solidarność”. Tworzenie organizacji politycznych w ramach Związku jest sprzeczne z porozumieniami z roku 1980...”. Słuszną uwagę, ale rzecz w tym, że przywódco Związku na tworzenie takich organizacji pozwalali i otaczali je swoją opieką.

Spory fragment analizy mecenas poświęcił strajkom i innym formom protestu. Strajk, pisał, jest metodą walki, którą aktyw nauczył się posługiwać i dlatego odruchowo sięga po

nią „w wypadku każdego, nie zawsze nawet istotnego konfliktu”. Strajk stwierdził, w świetle doświadczeń ostatnich miesięcy „przełamał” być bronią skuteczną. Przy obecnym stanie naszej gospodarki ostrze tej broni zwraca się bowiem nie przeciwko władzy, lecz przeciw społeczeństwu, a w konsekwencji przeciw „Solidarność”. Władze, przestrzegali mecenas, są obecnie zdolne przetrzymać nawet strajk długotrwały i obejmujący znaczne ośrodki przemysłowe kraju, o czym świadczyły ostatnie akcje strajkowe w Żyrardowie, Stalowej Woli i Zielonej Górze. Niepowodzenie strajków lokalnych spowodowało, zdaniem autorów analizy, zwiększenie nacisku ze strony części aktywu związkowego „na podjęcie próby generalnej zmiany sytuacji społeczno-politycznej w kraju przy pomocy strajku generalnego”. Mecenas stwierdził, że „strajk generalny w skali ogólnopolskiej ma zawsze charakter broni ostatecznej. Może więc być stosowany tylko w ostateczności. Za taką ostateczność mogłaby być uznana jedynie próba likwidacji „Solidarność” poprzez wprowadzenie w kraju stanu wyjątkowego”. Nie radził także sięgać po tzw. strajk czynny, ponieważ nie został nigdzie jeszcze wypróbowany, a jego zastosowanie byłoby równoznaczne „z przejęciem pełnej odpowiedzialności za rządzący w kraju, do czego Związek jest zupełnie nieprzygotowany”. Za niebezpieczne uznali także propozycje organizowania przez „Solidarność” masowych manifestacji publicznych poza zakładami pracy (wiece, pochody uliczne itp.). Ich zdaniem, tego rodzaju akcje prowadzą do „swoistej ulicznej „wojny nerwów” między manifestantami a organami bezpieczeństwa, która przedłuża lub później musi nieuchronnie doprowadzić do starcia. Starcie zaś takie — jeśli już do niego dojdzie, uruchamia mechanizm konfrontacyjnej eskalacji, którego już nikt ani ze strony Związku, ani ze strony rządu nie będzie w stanie opanovać”. Tak więc, stwierdzali obaj mecenas, żadna z dotychczas stosowanych metod walki nie zapewnia na obecnym etapie Związkowi pewności powodzenia.

Odnosiłowałem najbardziej interesujące oceny, które sformułowali dwaj znani mecenas. Zakładam, że niejedną z uczestników posiedzenia Komisji Krajowej słuchając przemówienia Siły-Nowickiego w głębi duszy przyznawał mu rację. Rzecz jednak w tym, że rozsądne spojrzenie na rzeczywistość, które przedstawił mecenas, nie cieszyło się w kierowniczych gremiach „Solidarność” uznaniem. Nie zamierzam polemizować z niektórymi sformułowaniami Siły-Nowickiego, ponieważ najważniejsze w jego wystąpieniu było to, że poddał surowej krytyce taktykę i strategię przywódców „Solidarność”, która niemal całkowicie pokrywała się z naszą oceną (...).

W drugim dniu obrad jako jeden z pierwszych w dyskusji nad uchwałą KK głos zabrał Palka, który powiedział, że w wyniku pogłębiającego się kryzysu, społeczeństwo nie może w dalszym ciągu tolerować władzy, która nie może, nie jest w stanie zabezpieczyć elementarnych potrzeb społeczeństwa i odmawia spełnienia jego podstawowych i oczywistych zadań. W tym, co powiedział, trudno było dostrzec choćby cień woli współdziałania z władzami. Co więcej, Palka stwierdzał, że „Solidarność” nie chce konfrontacji i jest gotowa do rozmów, od razu dodał, że jeśli do końca 1981 roku rząd nie spełni postulatów Związku, to proklamowane zostanie referendum zawierające m.in. pytania: 1. czy jesteś za udzieleniem wotum nieufności dla Rządu generała Jaruzelskiego oraz Sejmu; 2. czy jesteś za powołaniem przez nie zależne siły społeczne Rządu Tymczasowego i przygotowaniem przez niego wolnych wyborów do Sejmu i 3. czy jesteś za udzieleniem przez „Solidarność”, a następnie przez Rząd Tymczasowy gwarancji dla interesów militarnych ZSRR (w Polsce — MFR). Po upływie kilku lat, w świetle nagromadzonych doświadczeń, wywody Palki, człowieka przecież wykształconego, mogą się wydać wprost nieprawdopodobne, ale nie wolno zapominać, że wówczas w zespołach przywódczych „Solidarność” tak właśnie widzieli rzeczywistość. Bez ogródek stawiano na porządku dnia sprawę przejęcia władzy (...).

Głos zabrał także Kuroń. Władza, powiedział, nie uderzy i nie zechce wdawać się w konflikty narodowe, ale nadal będzie jątrzyć, stwarzając napięcia itp. Wywiał do walki z władzą, ale tak prowadzonej, aby Związek miał za sobą całe społeczeństwo. Jeśli chodzi o porozumienie, to zalecał uprawianie takiej taktyki, aby w spo-

łeczeństwie ugruntowało się przekonanie, że to władza jest przeciwna porozumieniu, a pragnie go „Solidarność”. Strateg „Solidarność”, pociągający za różne sznurki wypowiedział się za przeprowadzeniem referendum, które zaproponował Palka, wyrażając pogląd, że referendum trzeba potraktować jako środek nacisku. Stwierdził także, że „to, o co dziś walczymy, to jest minimum”. Ciekawe, jak miało wyglądać maksimum.

Przedstawiciel Zarządu Regionu Podkarpacie odczytał uchwałę Zarządu przyjętą, jak oświadczył, po przeprowadzeniu powszechnej i wnikliwej konsultacji z załogami zakładów pracy. Zarząd Regionu stwierdzał, że stanowisko załóg jest pełne nieufności do obecnej ekipy rządowej i że „wobec powyższego, żądamy utworzenia Rządu akceptowanego przez społeczeństwo oraz rozpisanie wolnych i powszechnych wyborów do Rad Narodowych i Sejmu”. Następnie ogłoszono komunikat Zarządu Regionu Warmińsko-Mazurskiego, informujący, że ze szkoły milicyjnej w Szczytnie wywieziono wszystkie starsze roczniki w liczbie około 1500 osób w nieznanym kierunku i że milicjanci otrzymali instrukcję do otwarcia w późniejszym terminie, na hasło. W Nidzicy i Ostrołęce, podawał komunikat, zauważono wzmocniony ruch wołów wojskowych. Po tych komunikatach głos zabrał Sienkiewicz, który powiedział, że jeżeli porozumienie nie nastąpi na warunkach „Solidarność”, to Związek nie zgodzi się na żadne podwyżki, reglamentacje czy też inne podobne kroki. Zalecał stosowanie przez „Solidarność” środków politycznych, które — jeśli będą stosowane konsekwentnie — spowodują rząd do wystąpienia przeciwko Związkowi. „Jeśli, dowodził, nie spowoduje ich referendum, jeżeli nie spowoduje ich przeprowadzenie demokratycznych list wyborczych i programu wyborczego, to na pewno spowoduje ich usunięcie PZPR z zakładów pracy”. Ewentualna konfrontacja, dowodził Sienkiewicz, nie zakończy się katastrofą narodową, jeśli cały naród stać będzie po jednej stronie barykady. Chyba bardziej otwarty tekstem nie można już było przemawiać. Co się tyczy mówcy, to nie należy mylić go z Jarosławem Sienkiewiczem, jednym z głównych organizatorów górniczej „Solidarność”, członkiem PZPR, który ustąpił ze stanowiska lidera na przełomie lat 1980/81, gdy zorientował się, w jakim kierunku podąży „Solidarność”.

Bujak zastanawiając się nad aktualną sytuacją Związku stwierdził, że stanowisko przyjęte w Radomiu, część społeczeństwa zrozumiała jako nakreślenie taktyki walki o władzę. „I na tym polega nasz błąd”, oświadczył. Jego zdaniem należy domagać się strukturalnych zmian w systemie, a nie wysuwać programu walki o władzę. Kolejny mówca, Jędrzak, zaproponował utworzenie milicji robotniczej w zakładach pracy. Zdaniem Lisa decyzje rządu, które dotyczą reformy gospodarczej, jak też m.in. likwidacja hodowli drobiu (!), mają na celu całkowite zdeorganizowanie gospodarki. Związek, doradzał, w chwili obecnej nie powinien wysuwać żadnych postulatów ani żądań, bo spotka się natychmiast z zarzutem ze strony rządu, że dąży do konfrontacji. Związek powinien ograniczyć się tylko do kontrolowania władzy, do czekania na kolejne kroki podejmowane przez nią i wykorzystywać je dla swoich celów, jeżeli będą niewłaściwe. Lis wypowiedział się także za przeprowadzeniem referendum. Powożąc z Regionu Warmińsko-Mazurskiego, oświadczył, że Region stoi na stanowisku, iż należy wyznaczyć stronie rządowej konkretny termin i jeśli rząd nie poczyni ustępstw, to należy ogłosić strajk powszechny np. 24-godzinny, a jeżeli i to nie przyniesie rezultatu, należy powtórzyć go po kilku dniach. Kopaczewski stwierdził, że w Radomiu Wałęsa wypowiedział wojnę i walkę, a więc Komisja Krajowa powinna skoncentrować się na opracowaniu wszelkich możliwych wariantów tej walki; domagał się od Wałęsy, aby poparł pogląd, że rozmowy z władzami mają tylko znaczenie taktyczne, a głównym celem jest walka, oczywiście z władzą. To właśnie po tym wystąpieniu, Wałęsa miał powiedzieć: „Ludzie, co wyście jedli na obiad, że tak pie...”. Bójce stanowisko zajął także Łużyński z Regionu Śląsko-Dąbrowskiego, który stwierdził, że „musimy jasno powiedzieć — chcemy władzy”. Rozpłochowski oświadczył, że dopóki nie uda się wyrzucić partii politycznych z zakładów pracy, to samorząd nie będzie miał możliwości ingerencji w sferę produkcji.

Po zamknięciu dyskusji nad punktem pierwszym, przystąpiono do omówienia punktu drugiego, tj. sprawy samorządu terytorialnego. Przedmiotem dyskusji był projekt ordynacji w wyborach do Rad Narodowych opracowany przez „Solidarność”. W tej sprawie wypowiedzieli się m.in. Sikora, Stańczyk, Jaworski, Onyszkiewicz, Geremek i inni. (...).

Wieczorem 12 grudnia, Komisja Krajowa przystąpiła do przyjmowania uchwał KK, czytamy w uchwałach, opierając się na konsultacji przeprowadzonej w poszczególnych regionach stwierdziła, że stanowisko ustalone 3 XII w Radomiu przez Prezydium KK i przewodniczących zarządów regionów stało się zgodnym stanowiskiem Związku. W razie uchwalenia przez Sejm specjalnych uprawnień dla rządu, KK zapowiedziało ogólnopolski strajk protestacyjny. Zaś w przypadku „zastosowania środków nadzwyczajnych (przez władze — MFR), uniemożliwiających działalność władz i ogień Związkowi”, załogi winny niezwłocznie przystąpić do strajku powszechnego nie czekając na decyzję KK lub zarząd regionu. (...) Uchwała została przyjęta większością głosów. (...).

Przed przyjęciem uchwały oraz oświadczenia Modzelewskiego eksperta i doradcy, Geremek, Macierowicz, Mazowiecki, Olszewski, Siła-Nowicki i Jan Strzelecki sformułowali na piśmie swoje stanowisko zawierające pogląd, że KK na obecnym posiedzeniu powinna powstrzymać się od podejmowania generalnych uchwał, a złożone projekty rozwinąć na następnym posiedzeniu. Autorzy odczytanego oświadczenia, które na członkach Komisji Krajowej nie zrobiło poważniejszego wrażenia, sponieważyli że zapewne nie dla historii, lecz z przekonania, że przywódco „Solidarność” utracili kontakt z rzeczywistością i że w związku z tym mogą się zdobyć na nieobliczalne kroki. Wolno także założyć, że jeśli oceniali sytuację podobnie jak Siła-Nowicki, to musieli przewidywać zbliżanie się dnia ostatecznych rozstrzygnięć.

C.D.N.

w trakcie wstępnego szkolenia: jedna nauczycielka wymówiła się z powodu konfliktu sumienia, druga obawia się podjąć prowadzenia przedmiotu bez dyscypliny, jaką gwarantuje postawienie oceny niedostatecznej (!).

W przyszłym roku, kiedy będą już pewne doświadczenia, kiedy ukaże się podręcznik i zwiększy liczba przygotowanych nauczycieli, religioznawstwo wejdzie — jak się planuje — do programów siedemdziesięciu łódzkich szkół pomaturalnych. Na razie jest sporo trudności. Trudno sobie bowiem wyobrazić, żeby nauczanie tego przedmiotu mogło pozostać na poziomie czysto werbalnym, a jedynymi pomocami naukowymi była tradycyjna tablica szkolna i kreda.

BRAK PODRĘCZNIKÓW I POMOCY NAUKOWYCH

to najpoważniejsze trudności. Kiedy już poważnie zabrano się do sprawy nauczania religioznawstwa, okazało się, że biblioteki szkolne nie dysponują odpowiednią literaturą: nawet te trochę książek popularyzujących wiedzę o religiach, które przecież ukazywały się na rynku księgarskim, nie dotarły do szkolnych bibliotek. Nie dziwiła — szkolny bibliotekarz dbał zawsze o lektury do polskiego, o książki przydatne nauczycielom i uczniom, a więc związane z programem, z

odłamach. Wreszcie akurat uczniowie klas maturalnych są szczególnie skoncentrowani na przedmiotach, z których będą zdawać egzaminy dojrzałości i egzaminy wstępne na wyższe uczelnie. Trudno od nich wymagać, aby dobrowolnie poświęcili czas na naukę przedmiotu, którego opanowanie wcale nie muszą. Wprowadzenie religioznawstwa do klasy przedmaturalnej bytoby ze wszech miar korzystniejsze. Uczniowie są tylko o rok młodszy i nie obciążeni jeszcze przedmaturalnym „kuciem”.

Opinie Sławomira Telegi przytaczam bez autoryzacji — mam nadzieję, że zawarta w niej krytyka zostanie ze zrozumieniem przyjęta przez jego zwierzchników — zresztą jest to nauczyciel szczerze zaangażowany w swoją nową rolę.

Zainteresowanie uczniów nowym, a już kontrowersyjnym przedmiotem ocenia Sławomir Telega jako średnie — nie zauważył jeszcze grupy uczniów, o których można powiedzieć, że interesują się religioznawstwem szczególnie, ponad wymagania programu, nie zauważył także — co bardzo ważne — takich, którzy demonstracyjnie swą niechęć do przedmiotu z pobudek religijnych. Potwierdza to również

LEKcja RELIGIOZNAWSTWA,

którą dyrektor szkoły i nauczyciel zezwolił mi hospitaować. Tematem była „struktura religii”. Już na samym wstępie nauczyciel był zmuszony wy-

LEKcje RELIGIOZNAWSTWA NIE SĄ ATEIZACJA

młodzieży, przynajmniej tam, gdzie są prowadzone przez inteligentnego i tolerancyjnego nauczyciela. Usiłował to już udowodnić prof. Mikołaj Kozakiewicz. Szkoła świecka jest — z natury — terenem, gdzie laicyzm występuje w nauczaniu wszystkich albo prawie wszystkich przedmiotów. Zdają sobie z tego sprawę przeciwnicy wprowadzania religioznawstwa do programów szkolnych. Wiedzą doskonale, że nauczyciel fizyki, chemii, czy astronomii przedstawia materialistyczny obraz naszej Ziemi i kosmosu, że nauczyciel biologii uczy swych uczniów ewolucjonizmu, że nauczyciel historii mówi o niechciubnych kartach z historii Kościoła a polonista objaśnia wpływ Reformacji na rozwój literatury europejskiej i polskiej. Wiedzą i nie protestują, na tym gruncie przywykli bowiem, zarówno katecheci jak i uczniowie, do szczególnego dualizmu poglądów: co innego nauka, co innego wiara, w umyśle człowieka wierzącego można ten dualizm zmieszać, można sprzeczności wyjaśniać: bądź traktując prawdy wiary jako swoiste metafory, bądź jako tajemnice, niedostępne dla ludzkiego, ułomnego umysłu, który jednak jakoś świat materialny musi objaśniać i definiować.

Jakie zatem niebezpieczeństwo widzi kler katolicki w nauczaniu religioznawstwa? Myślę, że obawia się (niesłusznie zresztą) „konkurencyjności”

Nauczyciele

GRZEGORZ GALASIŃSKI



Kto się boi religioznawstwa?

przedmiotami, które istniały w szkole: religioznawstwo nie istniało. Na prośbę Kuratorium Oświaty i Wychowania pracownicy działu oświatowego łódzkiego OPRF prześladali archiwę — znaleźli zaledwie około 50 filmów oświatowych, które mogą być przydatne w nauczaniu nowego przedmiotu. Liczba „50” jest zresztą zawyżona, filmy wybierano z szerokim marginesem tematycznym. Filmów, które można nazwać ściśle religioznawczymi jest niespełna 30... Wśród nich świetna seria biblii i uszka Skrzydły Godyby zresztą filmów było w bród to... nie mamy animat! Rzadko która szkoła dysponuje projekтором 35 mm. W dobie, kiedy gorąco dyskutuje się o wprowadzenie do szkół komputerów!

Nauczyciele religioznawstwa rekrutują się głównie spośród historyków i oświatowców. To zrozumiałe. Są to ludzie często bardzo zapaleni do nauczania nowego przedmiotu, nie przeraża ich — jak wspomnianą niedostateczną wykładownię — brak dwójkowego bąta, przeciwnie, cieszą się z możliwości swobodnego dialogu z uczniami na tematy tak ważne, tak żywe i emocjonalnie traktowane przez ich wychowanków. Dysponują z reguły jakąś wiedzą religioznawczą, tyle że zdobywaną po trosze po amatorsku, nieusystematyzowaną, wyrzykowaną. Kuratorium zaangażowało się poważnie w organizację kursu dla nauczycieli religioznawstwa, Ośrodek Doskonalenia Nauczycieli obiecuje wydawać skryptów i wzorcowych konspektów. Wszystko to — niestety — zawodzi dopiero w przyszłości, na razie — nowe rodzi się w bólach i nie można odmówić racji niektórym sceptykom, którzy twierdzą, że eksperyment wprowadzono zbyt pośpiesznie.

NAUCZYCIELE WIDZĄ TRUDNOŚCI

jeszcze innego rodzaju. Sławomir Telega, nauczyciel religioznawstwa w Liceum Ogólnokształcącym im. Mikołaja Kopernika w Łodzi (absolwent pedagogiki) ma zastrzeżenia do programu i ułożenia nowego przedmiotu akurat w klasie maturalnej.

— Maturzyści — mówi Sławomir Telega — mają rok szkolny skrócony, praktycznie zajęcia kończą się na początku maja. A właśnie na przełom kwietnia i maja program przewiduje to, co najciekawsze, to jest omówienie głównych religii — islamu, buddyzmu i chrześcijaństwa w różnych jego

formach. Wreszcie akurat uczniowie klas maturalnych są szczególnie skoncentrowani na przedmiotach, z których będą zdawać egzaminy dojrzałości i egzaminy wstępne na wyższe uczelnie. Trudno od nich wymagać, aby dobrowolnie poświęcili czas na naukę przedmiotu, którego opanowanie wcale nie muszą. Wprowadzenie religioznawstwa do klasy przedmaturalnej bytoby ze wszech miar korzystniejsze. Uczniowie są tylko o rok młodszy i nie obciążeni jeszcze przedmaturalnym „kuciem”.

Opinie Sławomira Telegi przytaczam bez autoryzacji — mam nadzieję, że zawarta w niej krytyka zostanie ze zrozumieniem przyjęta przez jego zwierzchników — zresztą jest to nauczyciel szczerze zaangażowany w swoją nową rolę. Zainteresowanie uczniów nowym, a już kontrowersyjnym przedmiotem ocenia Sławomir Telega jako średnie — nie zauważył jeszcze grupy uczniów, o których można powiedzieć, że interesują się religioznawstwem szczególnie, ponad wymagania programu, nie zauważył także — co bardzo ważne — takich, którzy demonstracyjnie swą niechęć do przedmiotu z pobudek religijnych. Potwierdza to również

jaśniać podstawowe pojęcia filozoficzne jak ontologia, gnozeologia czy antropologia filozoficzna. Przepedeutyki filozofii w programie szkolnym nie ma... Czy to ze względu na pewną nieatrakcyjność tematu? Z konieczności ograniczającego się do suchego wykładu czy też chcąc mi dostarczyć materiału do innego lektu oian Telega zachęcał uczniów do zadawania pytań niekompromisnie łączących się bezpośrednio z jego wykładem. Pytania były — także odwołaniem wrażenie — dość typowe, łatwe do przewidzenia. Jednocześnie zdradzające brak elementarnych wiadomości o religiach. Uczniowie pytali o czarne msze i wyznawców satanizmu, o cerkiew prawosławną w Łodzi, o świadków Jehowy i „autentyczność” kolportowanej przez nich Biblii. Samo sformułowanie pytań zdradzało, skąd się biorą informacje — z prasy i telewizji (czarne msze), z lekcji katechizmu (autentyczność Biblii, kolportowanej przez informatorów), z kontaktów z domokrężnymi agitatorami.

W trakcie lekcji zwrócił moją uwagę uczeń, który na pytanie nauczyciela: co oznacza termin „teologia” odpowiedział bez wahania cytując definicję, podawaną na lekcjach katechezy. Był wyraźnie zdziwiony, że naukowa definicja brzmiała zupełnie inaczej... Ten sam uczeń, już po lekcji, kiedy miałem okazję porozmawiać z klasą, szczerze i anonimowo (nawet bez obecności nauczyciela) jasno i wyraźnie opowiedział się przeciw nauczaniu religioznawstwa. Ale argumentów użył „zastępczych”: brak czasu, klasa maturalna, przeciążenie nauką innych przedmiotów... Nie był zresztą jedyny — kilkoro jeszcze uczniów wspominało o dodatkowej pracy, dodatkowym obciążeniu bilansu czasu ucznia klasy maturalnej. To naturalne, ważne natomiast wydaje mi się, że na moje prowokacyjne pytanie: czy nie macie oporów natury religijnej przed uczestnictwem w lekcjach tego przedmiotu? — odpowiedziano mi niemal chórem:

— Skądże, prywatnie przekonania nie mają tu nic do rzeczy, na lekcjach religioznawstwa nie ma podziału na wierzących i niewierzących...

Sporokowałem młodzież nie tylko do szczerzych wypowiedzi — także do wymiany poglądów. Jedną z uczennic mówiła o „rozszerzaniu światopoglądu” drogą poznania różnych religii. Jej oponent zakwestionował możliwość „rozszerzania” w tej dziedzinie. Nikt jednak nie kwestionował rozszerzania wiedzy. Myślę, że tu jest pieś potrzebny.

innych wyznań, zarówno chrześcijańskich, jak i niechrześcijańskich. Obawia się ukazania młodym ludziom innych alternatyw. Ogromna większość młodych Polaków wychowuje się w domach mniej lub bardziej katolickich (Znam ateistów posyłających swoje dzieci na naukę religii). A zatem ta ogromna większość, kiedy dokonuje wyboru światopoglądowego ma przed sobą praktycznie jedną alternatywę: być wierzącym (czytaj: katolikiem) albo materialistą (czytaj: ateistą). Tymczasem w obrębie pierwszego członu tej alternatywy istnieje jeszcze całe mnóstwo innych możliwości — wszystkie religie chrześcijańskie i co najmniej kilka niechrześcijańskich. O nich, między innymi będzie mówił nauczyciel na lekcjach religioznawstwa. Ba, nawet przed skłaniającymi się ku ateizmowi otwory również inne możliwości, jak choćby buddyzm.

Uważam, że obawy za przedwczesne i przesadzone wyznania niekatolickie mają w Polsce niesłychanie małe wplywy, nie prowadzą — oprócz cnyba tylko świadków Jehowy i adwentystów dnia siódmego — szerszej działalności agitacyjnej. Miałem okazję obserwować niedawno wyznawców ruchu świadomości Kriszny — mimo niewątpliwie atrakcyjności etycznej doktryny bhaktów (o czym opisałem na tych łamach przed tygodniem), nie wróże głosicielom krisznizmu większego powodzenia wśród naszego społeczeństwa. I to nie tylko z powodu surowych reguł i życia pełnego wyrzeczeń — przede wszystkim ze względu na obojętne i egzotyczne rytuały, bardzo dalekie od stylu życia religijnego w Polsce.

A przecież na lekcjach religioznawstwa ma, i będzie miała w przyszłości, miejsce tylko chłodna, naukowa analiza struktury, doktryny i kultu różnych religii, a nie religijna czy antyreligijna propaganda. Moi rozmówcy — uczniowie z maturalnej klasy i Liceum Ogólnokształcącego w Łodzi zdają sobie z tego sprawę, być może intuicyjnie, ale przecież ta intuicja ich nie zawodzi.

Zaniepokojonym wprowadzeniem religioznawstwa do szkół, wszystkim, którzy boją się ateizacji i „rozszerzania światopoglądu” młodzieży katolickiej można przypomnieć stare przysłowie, nieco strasawowane: „Złego kościół nie naprawi dobrego karczma nie zepsuje”. Może ono dla potrzeb omawianej w tym artykule sytuacji, brzmieć: „Niedowładna kościół nie nawróci, pobożnego religioznawstwo nie zateizuje”.

ANDRZEJ KAROLCZAK

LAGIEWNIKI — jeden z największych lasów miejskich w Polsce, a może i w całej Europie.
LAGIEWNIKI — zielone płuca szarego miasta, miejsce spacerów i sobotnio-niedzielnego wypoczynku tysięcy łodzian.
LAGIEWNIKI — tysiąc dwieście hektarów drzew i krzewów, które giną na naszych oczach.

W marcu 1985 roku Wojewódzki Komitet Naukowo-Techniczny NOT ds. Kształtowania i Ochrony Środowiska skierował do prezydenta Łodzi, Józefa Niewiadomskiego pismo, w którym zwracał uwagę władz miasta na niepokojące zjawiska świadczące o ustawicznym niszczeniu Lasu Lagiewnickiego — przede wszystkim na skutek niewłaściwej gospodarki leśnej, jaką się tam prowadzi. Zarzuty były poważne: wycinanie najpiękniejszych okazów drzew, a wśród nich ponad stuletnich dębów, niedokonywanie cięć pielęgnacyjnych i trzebieży młodników, utwardzanie dróg szlaków, będących materiałem radioaktywnym, brak oczyszczalni ścieków w Szpitalu Chorób Płuc przy ulicy Okólniej, wyrzucanie do lasu odpadów, śmieci i płynnych nieczystości przez niektóre zakłady pracy oraz mieszkańców okolicznych posesji, projekt wykopania studni głębinowej w rejonie uroczyska Marianka dla powstającej tam kolonii domków jednorodzinnych, co prowadziłoby do dalszego obniżenia poziomu wód gruntowych, niedostateczna ilość koszy na śmieci przy leśnych alejkach, tablice informacyjnych, wreszcie — minimalny dozór ze strony służb leśnych, „co sprawia wrażenie, że las jest bezpański” i „zachęca ludzi lekkomyślnych i przejawiających skłonności niszczycielskie do czynienia szkód w lesie”.

Dalej autorzy pisma, reprezentujący wszystkich tych, którym bliska jest idea ochrony środowiska, postulowali między innymi nadanie **LASOWI LAGIEWNICKIEMU** statusu parku

zbyt wolno w stosunku do potrzeb, które są dużo większe niż możliwości przedsiębiorstwa. A przecież ciecia sanitarne, to niezwykle ważna sprawa, gdyż drzewa chore i usychające są zawsze siedliskiem szkodników, atakujących potem i zdrowy drzewostan. Na przykład swego czasu padło od wiatru parę hektarów świerka, który i tak jest już na wymarcu, podobnie jak jodła, — z powodu zanieczyszczenia powietrza, drzew tych nie usunęto w porę i natychmiast uwały się w nie korniki.

Z kolei w tym roku pojawiło się bardzo dużo żerującej na dębach zwłóki zieloneczki i po konsultacji z radomskim Zakładem Ochrony Lasu podjęto decyzję o przeprowadzeniu oprysku Lagiewnik środkami owadobójczymi: dimilin i bacto-selpe. Przeprowadzenie oprysku powierzono Zakładowi Usług Agrolotniczych ze Świdnika. Wbrew temu, co mówią niektórzy, środki te nie spowodowały żadnych skutków ubocznych, a czy podziały na samą zwłókę, okazało się dopiero w przyszłym roku. Gdyby nie, sytuacja byłaby bardzo poważna, zważywszy, iż w Lagiewnikach aż sześćdziesiąt procent drzew, to dęby.

Mimo wszystko **Andrzej Krzystanek** jest optymistą. Wierzy, że Las Lagiewnicki zostanie uratowany. Twierdzi, że LPO wzięło sobie sprawę do serca i naprawdę robi teraz wszystko, co może. A ci różni obrońcy środowiska i — jak ich nazywa — przyrodniczy, za-

Trudno więc staremu gajowemu zdobyć się na optymizm.

Nad gajowym jest leśniczy. A podobno był w Lagiewnikach leśniczym wcale niełatwo. Specyficzny teren, trudne warunki, za to wymagania — duże. Może dlatego żaden z poprzednich leśniczych nie zagrażał tu na dłużej miejsca w ostatnich latach. **Wojciech Kucucha**, gdy w listopadzie osiemnastego piętnego przyjmował stanowisko, też od razu znalazł się w trudnym położeniu. Bo tak: leśnictwo zaniedbane jak rzadko które, brak pieniędzy, brak ludzi, sprzętu — nawet piły! — a tu jeszcze ten list do prezydenta, który i do jego rąk dotarł. Start nie do pozazdroszczenia.

Mimo to **Wojciech Kucucha** zdecydował, że podejmie rzuconą mu przez los rękawicę. Jest ambitny i nie brak mu na razie zapału do pracy. Chciałby w Lagiewnikach zadomowić się na stałe. Właśnie szykuje sobie w leśniczówce przy ulicy Lagiewnickiej mieszkanie — w pomieszczeniach po dawnej wylegarni drobiu. Po prostu uważa, że leśniczy powinien w lesie być, a nie tylko być. Bez tego żaden z niego gospodarz. I to jest podstawowa sprawa.

(Niegdyś Łódzkie Przedsiębiorstwo Ogrodnicze dysponowało na terenie Lagiewnik mieszkaniami dla pracowników leśnictwa. Pozbyło się ich jednak.)

Dalej — aby coś zdziałać — mówi **Wojciech Kucucha** — potrzeba fachowej wiedzy, ludzi do pracy, narzędzi, pieniędzy i trochę czasu. W leśnictwie na efekty czekać trzeba latami. Więc na pewno nie wszystko od razu. Zbyt wiele w Lagiewnikach jest jeszcze do zrobienia. Na początek: usunąć wszystkie suche drzewa, przetrzeć młodniki, zacząć wprowadzać nowe, odporniejsze gatunki takie, jak buk, sosna czarna, dąb czerwony, modrzew, zwiększyć liczbę budek lęgowych, wzmocnić patrolowanie lasu...

Lista samych tylko najpilniejszych zadań jest bardzo, bardzo długa.

Z odpowiedzi prezydenta na list Wojewódzkiego Komitetu Naukowo-Technicznego NOT do spraw Kształtowania i Ochrony Środowiska:

... — tezy i wnioski przedstawione w piśmie z dnia 1985-03-13 zn. NOT-433/85 oraz ich uzasadnienie poddane zostały szczegółowej analizie przez Wydział tuł. Urzędu, którym poszczególne zagadnienia merytoryczne podlegają.

— Całość wniosków wymagała rozważenia w aspekcie gospodarczym pod kątem nie tylko ochrony samego lasu, ale i posiadanych środków...

„Aktualnie na etapie uzgodnień jest projekt „Parku Krajobrazowego Rejonu Górnej Moszczenicy”. Teren projektowanego parku krajobrazowego znajduje się w niewielkiej odległości od Lasu Lagiewnickiego i w przypadku pozytywnej opinii przedstawicieli nauki będą czynione starania o objęcie granicami parku również Lasu Lagiewnickiego”.

„Zgodnie z pracami Wydziału Planowania Przestrzennego, Urbanistki, Architektury i Nadzoru Budowlanego UML sprawy zagospodarowania otuliny lasu, budownictwa itp. uregulowane zostaną w planie ogólnym miasta Łodzi (w trakcie opracowania). Obecnie uwzględniając ochronę lasu nie będą wydawane dalsze decyzje zezwalające na lokalizację inwestycji nieaktywnych, oraz przeprowadzanie się kontrole pod kątem eliminowania samowoli budowlanej...”

„Budowa kolektora sanitarnego nr II i kanału od kolektora do Szpitala w Lagiewnikach o średnicy 0,5—0,8 została umieszczona w propozycji założeń NPSG na lata 1986—1990...”

„Obecnie działania zmierzające do poprawy stanu zdrowotnego i porządkowego lasu realizowane są w miarę posiadanych przez Łódzkie Przedsiębiorstwo Ogrodnicze możliwości”.

Podając powyższe do wiadomości wyrażam nadzieję iż Rada Oddziału Łódzkiego NOT podzieli pogląd, że brak odpowiedzi na zgłaszane tezy i wnioski nie wynikał z żadnej mierze z niechęci czy lekceważenia sprawy...”

Pismo nosi datę 20 marca 1986 r. i podpisane zostało przez niejącego już wiceprezydenta Łodzi, **Zbigniewa Polita**.

Lagiewniki — jeden z największych lasów miejskich w Polsce, a może i w całej Europie, zielone płuca szarego miasta, miejsce spacerów i sobotnio-niedzielnego wypoczynku tysięcy łodzian, systematycznie zaniżane przez przemysł Łodzi i Zgierz, odwadnianie, zaśmiecanie, zalewane nieczystościami, a przede wszystkim koszmarnie wprost zaniedbane — wciąż wołają o ratunek.

Bezdomne ofiary erupcji wulkanu

W prawie rok po największym wybuchu wulkanu w Kolumbii, w następstwie którego śmierć poniosło 23.000 osób, wyczuwa się wciąż jeszcze gorzkość wśród blisko 11.000 ludzi bezdomnych. Kilku z nich wniosło skargę na państwo kolumbijskie, ponieważ zarówno zmarli jak i oni sami, wskutek erupcji wulkanu Nevado del Ruz, w dniu 13 listopada ubiegłego roku, padli „ofiarami niedbalstwa i nieudolności władz”.

„Wszyscy ludzie mogli się uratować ucieczką na pobliskie wzgórza przed zwałami szlamu niosącymi śmierć, gdyby nas ktokolwiek ostrzegł godzinę wcześniej” — mówi pracownica Czerwonego Krzyża **Rosalba Garcia** z miejscowości Lerida u stóp wulkanu w jednym z obozów dla bezdomnych, która nie złożyła podpisu pod skargą.

W sześć miesięcy po katastrofie ponad 3.000 bezdomnych wciąż jeszcze mieszka w namiotach i w szkołach. Najczęściej boso stąpają po mulistych terasach, w porze deszczu, ścieżkach obozu, którym opiekuje się Czerwony Krzyż. Ich najważniejszym tematem rozmów jest to, kto najpierw zamieszka w nowych domach budowanych dla pozostałych przy życiu. Ich budowę rozpoczęto w maju br. Dalszych 7.500 osób z Armero i innych miejscowości, które ustraciły swe domy w czasie erupcji wulkanu, przeniosło się do innych miast kolumbijskich, gdzie na ogół ulokowali się u krewnych.

Na miejscu dawnego miasta Armero, niegdyś kwitnącego ośrodka handlowego najbogatszego obszaru rolniczego Kolumbii, w odległości około 110 kilometrów na północny zachód od Bogoty, rozciąga się dziś na przeszło 30 kilometrów kwadratowych wielka szara pustynia szlamu, na której stoją tysiące małych białych krzyży. „Tu spoczywa **Enrique Neyra Escobar** z żoną **Marią Ortiz** i z dziećmi **Angela**, **Amanda**, **Enrique**, **Juanem**, **Luisem**, **Manuelą** i **Nelly**” — widnieje napis na jednym z krzyży wzniesiony na miejscu zniszczonego domu.

Większości zmarłych mieszkańców Armero nie można było wydobyć ze szponów szlamu, sięgającego w niektórych miejscach do głębokości 10 metrów. Władze ogłosiły zasypane miasto cmentarzem i postanowiły 5.000 ludzi, którzy przeżyli, osiedlić w innym miejscu.

Wulkan **Nevado del Ruz**, wznoszący się na 5.400 metrów, który w listopadzie ub. roku, po 140 latach spokoju, przyniósł Armero zagładę, stał się tymczasem znowu aktywny na początku maja. Nad jego kraterem **Arenas** wznosi się słup białej pary na wysokość około 800 metrów.

„Musimy w każdej chwili spodziewać się ponownej erupcji” — mówi działacz kolumbijskiego Czerwonego Krzyża **Alfonso Vargas**, sprawujący opiekę nad obozami ludzi, którzy przeżyli. Co trzy godziny radio przekazuje najnowszy raport grupy ekspertów o sytuacji. Kontrolują oni od sześciu miesięcy wulkan za pomocą najnowocześniejszego sprzętu elektronicznego.

„W czasie nowej erupcji wszyscy mieszkańcy zagrożonych miejscowości nad rzekami **Lagunilla**, **Recto**, **Guali** i **Chinchina** mogą być ewakuowani w ciągu godziny” — zapewnia **Vargas**.

13 listopada 1985 roku nikt nie ostrzegł mieszkańców Armero, gdy potok szlamu z wulkanu odległego o 50 kilometrów toczył się przez dwie godziny korytem rzeki **Lagunilla** w kierunku miasta.

Trzy kilometry powyżej Armero rzeka wystąpiła z brzegów i toczyła przed sobą śmiertelnie ciężar w kierunku miasta. Potężne masy śniegu i lodu stopiły się na szczycie wulkanu w momencie erupcji i wypłynęły do rzek mających swoje źródła w masywie górskim, porywając z sobą ziemię i kamienie.

Co prawda ludzie w Armero byli już bardzo zaniepokojeni, gdyż przez cały dzień spadał na miasto wyrzuty przez wulkan deszcz popiołu. Jednakże burmistrz i lokalny ksiądz na mszy porannej ostrzegali obywateli, żeby zachowali spokój i pozostali w domach.

Burmistrz zginął w katastrofie. Ksiądz pojechał na parę godzin przed zagładą swojej gminy samochodem do odległego o 50 kilometrów wielkiego miasta **Ibagués** i nigdy już nie wrócił. „Ci, którzy przeżyli, powiesiliby go” — mówi jeszcze dziś 40-letni szwec **Francisco Antonio Rodriguez**, który zbudował krzyż w miejscu, gdzie podejrzewa, że znajduje się jego niezająca żona.

Bezdomni z namiotów i szkół mają za parę miesięcy wprowadzić się do własnych, nowych domów. Po długim poszukiwaniu bezpiecznego miejsca, rząd prezydenta **Belisario Betancura** postanowił osiedlić większość mieszkańców Armero, którzy uszli z życiem na wyżynie bezpiecznej przed powodzią, obok leżącego o osiem kilometrów w kierunku południowym niewielkiego miasteczka **Lerida**, gdzie powstanie „Nowe Armero”.

Pierwszych 221 domów było gotowych do końca czerwca. Rodziny otrzymują działki liczące 160 metrów kwadratowych, na których na razie zbudowany będzie z elementów gotowych dom dwukondygnacyjny o powierzchni 18 metrów kwadratowych. Do 50 domów już się wprowadzono.

W następnych miesiącach rodziny dostaną materiał budowlany, z którego same, według dostarczonych planów, mogą rozszerzyć swoje domy do 60 metrów kwadratowych powierzchni. Każdy dom kosztuje w przeliczeniu około 6.000 marek, z czego rodziny, po pięciu latach wolnych od spłaty, mają zwrócić mniej; więcej 2.000 marek, bez obciążenia z tytułu odsetek. Za te pieniądze ma być następnie sfinansowana budowa dalszych domów.

Na odbudowę miasta rząd Kolumbii zebrał dotychczas około 112 milionów marek z datków i ze specjalnego podatku.

GERD HOEPNER
(Agencja DPA)

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Stan przedagonalny

krajobrazowego, prawne uregulowanie spraw budownictwa (w tym, również „dzikiego”), na obrzeżach lasu, szybkie rozwiązanie problemów gospodarki wodno-ściekowej oraz podjęcie wszystkich niezbędnych działań prowadzących do uratowania Lasu Lagiewnickiego przed zagładą.

Stanisław Pelka, pracownik naukowy Instytutu Włókien Chemicznych, przewodniczący Komitetu NOT:

— Bezpośrednim powodem zajęcia się przez nas Lasem Lagiewnickim były coraz częstsze sygnały od członków PTTK, LOP, a także osób niezrzeszonych, że stan Lagiewnik może budzić poważne obawy. Traktując je od początku poważnie, zorganizowaliśmy pod egidą komitetu kilka zebrań wszystkich zainteresowanych, przeprowadziliśmy na miejscu wizję lokalną z udziałem botaników, po czym sformulowaliśmy nasze obserwacje i wnioski w liście do prezydenta. Sprawę tę uznaliśmy zgodnie za bardzo ważną i pilną. Na odpowiedź władz miasta przyszło nam jednak czekać aż rok.

Gospodarzem lasów komunalnych jest Łódzkie Przedsiębiorstwo Ogrodnicze, które ma w swej strukturze organizacyjnej trzy leśnictwa, a wśród nich — największe — Leśnictwo Lagiewnickie. Zastępca dyrektora LPO do spraw produkcji i usług **Andrzej Krzystanek** widział oczywiście pismo Komitetu NOT do prezydenta i z niektórymi jego tezami byłby skłonny się nawet zgodzić, uważa jednak, iż problem Lagiewnik jest dużo bardziej skomplikowany niż mogłoby się to na pierwszy rzut oka wydawać i dlatego niezbędne są pewne wyjaśnienia.

Po pierwsze: równowaga biologiczna w Lesie Lagiewnickim została już dosyć dawno zachwiana na skutek zmian zachodzących w całym środowisku, a także — niewłaściwej gospodarki leśnej w poprzednich latach, i nie pozostaje nic innego, jak pogodzić się z tym faktem. Po drugie: stan Lasu Lagiewnickiego jest rzeczywiście niepokojący, ale przedsiębiorstwo niewiele może zrobić, gdy ciągle brakuje mu ludzi, pieniędzy oraz sprzętu aby odrobić tylko wszystkie zaległości, powstałe w Lagiewnikach w minionym czasie. Co prawda władze miasta przysłały ostatnio dodatkowo na ten cel dziesięć milionów złotych, jednak nawet i ta suma jest daleko niewystarczająca, skoro jednorazowo potrzeba by około czterdziestu milionów, a potem co najmniej po piętnaście milionów rocznie, by nie powstały nowe zaległości.

Przy okazji: niektórzy sądzą, iż przedsiębiorstwo ma niezły dochód ze sprzedaży drewna pozyskiwanego w Lagiewnikach. Otóż nie jest to prawda, jako że pieniądze za drewno w całości odprowadzane są do miejskiej kasy. W 1985 roku było tego sześć milionów złotych. Fałszywy jest również pogląd, iż w Lagiewnikach wycina się najpiękniejsze i zdrowe drzewa. Tnie się tylko tak zwany posusz, którego jest ostatnio bardzo dużo, usuwa wiatro- i śniegolem, drzewa chore. Ale to się robi normalnie we wszystkich lasach dbając o ich stan sanitarny. Faktem jest natomiast, iż po wprowadzeniu akordu robotniczy leśni, chcąc więcej zarobić, przez pewien czas cieli nie tylko to, co powinno, Po zwróceniu na to uwagi przez społecznych obrońców przyrody których LPO chętnie zaprasza do lasów komunalnych, praktyk tych zaprzestano i teraz wszystko jest już w porządku. To znaczy usuwa się głównie posusz, chociaż tak

miast od razu pisać do prezydenta, powinni — jego zdaniem — najpierw skontaktować się z dyrektorem przedsiębiorstwa. Ich wnioski i spostrzeżenia — jeśli słuszne — na pewno zostaną wzięte pod uwagę. Otwarta pozostaje też sprawa współpracy z botanikami z Uniwersytetu Łódzkiego, choć ich teorie — mówi dyrektor **Krzystanek** — nie zawsze sprawdzają się w praktyce. Zawsze mogą przyjść, porozmawiać, wysłuchać, co ma do powiedzenia i druga strona, czyli LPO. W każdym razie byłoby to lepsze niż pisanie do gazet i wygłaszanie na jakichś tam sympozjach nie do końca prawdziwych i wyważonych opinii.

Dr Edward Tranda, zoolog, nigdzie nie napisał i niczego nie wygłaszał, ale na temat zagrożenia lagiewnickich dębów przez larwy zwłóki zieloneczki ma swoje własne zdanie. Przede wszystkim — pojawienie się tego owada w większej niż zwykle ilości świadczy, iż w Lesie Lagiewnickim wypadło z biocenozy jakieś ogniwo i to jest rzeczywiście niebezpieczny sygnał. Czy jednak zwłóka jest aż tak bardzo niebezpieczna i czy oprysk lasu był konieczny? Zrużone z samolotu foksyny musiały wszak zabić też przy okazji inne, zdecydowanie pożyteczne owady. A zatem, czy nie była to zbyt daleko idąca ingerencja? Przecież ze zwłóki można też walczyć inaczej — zwiększając liczbę mrowisk i budek lęgowych dla ptaków — wtedy nie rozmnoży się za bardzo. Nikt o tym jednak wcześniej nie pomyślał. I to był pierwszy błąd.

Drugi polegał na tym, że eksperci z Radomia potraktowali Lagiewniki jako typowy las ochronny, co — według **dr Trandy** — jest zwykłym nieporozumieniem. W lasach ochronnych istotnie dokonuje się opryszków zwłóki zieloneczki, ale tu nie należało z pewnością tego robić. Zresztą — jak podaje literatura — jedynymi szkodami powodowanymi przez zwłókę są: mniejszy przyrost drzew w danym okresie i mniejsza ilość żołędzi. Słowem, dużo hałasu o nic, podczas gdy wciąż zaniedbuje się inne, ważniejsze dla stanu sanitarnego Lagiewnik sprawy.

I jeszcze dwie informacje: koszt oprysku wyniósł trzy miliony złotych, a w całym lesie jest aż... sto osiemdziesiąt budek lęgowych, czyli tyle, co kot napłakał.

Ignacy Rutkowski jest w Lagiewnikach gajowym nieprzerwanie od 1946 roku i zna w tym lesie każdą ścieżkę, każde drzewo. Pamięta dobre czasy, gdy w rowach melioracyjnych płynęła woda, gdzieś tam tryskały źródła, drzewa nie schły tak jak dzisiaj, nie chorowały tyle — zwłaszcza dęby, trzymały się piaki, zwierzyzna, za to ludzi i samochodów było wyraźnie mniej. Ale sytuacja pogarszała się z każdym rokiem. O prawie metr już obniżył się ostatnio poziom wód gruntowych i dalej się obniża, przez co drzewa schną jedno po drugim; wyschła większość źródełek; dęby zapadają na dziwną, idącą ponoc z zachodu chorobę naczyniową; są coraz słabsze, rachityczne; wyniosły się też niektóre zwierzęta: borsuki, dzikie króliki, lisy, których było tu kiedyś pełno, dziki przestały przychodzić jesienią na żołędzie; wyginęły ptaki — nawet tak pospolite, jak sikorki, wyraźnie ubywa szpaków. Za to szkodniki atakują ze zdwojoną siłą. Powoli dopielają dzieła zniszczenia, które zapoczątkował człowiek.

1.

Może przekroczył już Rio Bravo? Może zrywa już pomarańcze albo ładuje na platformę samochodu arbuzy? Był już w Stanach, ma kontakty, wie jak pomnażać majątek, z którym wyładuje później w kraju i rzuci sąsiadów na kolana.

— Nie znajdę go już — powiedziałem.
— Wciąż pan o nim myśli?
— Tak. Sądzę jednak, że rozmowa z konsulem zamknie temat.

2.

Byłem w błędzie. Kiedy w sobotę, dziewiątego sierpnia o wpół do dziesiątej rano przyjechałem z Szerszeniem do ambasady, Kwiatkowski, szef działu konsularnego, zdążył już wrócić z lotniska.

Przywitałem się z nim zdziwiony, że tak ważne funkcje powierzono chłopcu, który ledwo przeżył trzydziestkę. Ubrany był, szczerze mówiąc, z młodzieńczą beztroską. Proszę sobie wyobrazić: sandały, skromne dzinsy rodzimego kroju, flanelowa rozchełstana pod szyją koszula i pięćdziesiąt na głowie kogucik.

Konsul jednak (tak go odął będę tytułował) również działał wedle ściśle opracowanego scenariusza. Był fachowcem. Z braku lustra zerknął bezpośrednio na swoje ubranie i powiedział wesoło:

— Krawat i garnitur odstraszą ludzi, którzy wolą trzymać się z daleka od wszystkiego, co pachnie urzędem. W tym stroju natomiast budzę zaufanie.

Usiadł na kanapie i ciągnął:
— Nie dalej jak godzinę temu podszedł do mnie na lotnisku niejaki... — padło nazwisko Romana.

Nigdy nie umiałem panować nad emocjami.
— Ja go znam! — krzyknąłem.

— Skąd?
— Powiedziałem.

— Przyleciał ze mną samolotem w środę.

— No proszę! A dzisiaj jest sobota, minęły zaledwie trzy dni, i już chce wracać.

— I wróci?

— Chyba tak. Potwierdzono mu jakimś cudem lot na trasie Meksyk — Moskwa, ale nie ma jeszcze O. K. na ostatnim odcinku do Warszawy.

— I co będzie?

— Nie wiem. Rosjanie są pod tym względem rygorystyczni. Kiedy opuszczali lotnisko, był pierwszy na liście oczekujących. Nie zrekonfirmował biletu i nie zgłosił się do odprawy jakiś gość, więc było jedno wolne miejsce, ale Aeroflot trzymał je do ostatniej chwili dla pierwotnego pasażera.

— Pojechał — westchnąłem.

— Jeśli zależy panu na spotkaniu z nim, niech pan pójdzie mimo wszystko w niedzielę, do LOT-u. Jest drobna szansa, że został i że będzie bukwat bilet na środę. Nawiasem mówiąc: wziął mnie za swojego. Pokazał mi dokument i pytał, czy nie wiem, w jaki sposób dostać się bez wizy do kraju. Skoro byłaby taka możliwość, on i jego kolega (nie widziałem tego kolegi) zrezygnowaliby na razie z powrotu do Polski. Pan rozumie: aby przysporzyć ambasadzie dodatkowych emigrantów, których i tak nie brakuje nam od dłuższego czasu w związku z nielegalnymi wyprawami rodaków do USA.

— Chciałbym właśnie o tym z panem porozmawiać.

— Zgoda. Ale przedtem niech pan powie, co pan już wie, abym nie musiał się powtarzać.

— O Polakach nie wiem nic, albo prawie nic. Jest to dla mnie szokująca niespodzianka. Deczytałem się natomiast, że...

3.

Meksykanie peregrynują do Stanów Zjednoczonych od stuleci i trudno powiedzieć, aby była to w całym tego słowa znaczeniu emigracja, jeśli wziąć pod uwagę, że w dziewiętnastym wieku, za rządów prezydenta Santa Anny, Meksyk stracił w wojnie ze swoim północnym sąsiadem połowę terytorium, a potem w 1853 roku sprzedał mu na dodatek za 10 milionów dolarów południową część Arizony o powierzchni 100 tysięcy kilometrów kwadratowych.

Wszystkie te cudowne, dziwne nazwy, którymi zachwyca się świat i które przydają blasku muzycznym szlagierom, nie pochodzą bynajmniej z leksykonu angielskiego, lecz mają rodowód kastylijski. Texas, California, San Francisco i San Diego, Los Angeles, Colorado, Florida i setki innych, dużych i małych miast żyje w dwujęzycznej angielsko-hispańskiej synbrazie (dwujęzyczna prasa, dwujęzyczne radio, dwujęzyczna telewizja, dwujęzyczne obywatelstwa na murach i tak dalej).

Przekraczając więc graniczną rzekę Rio Bravo Meksykanie jadą w pewnym sensie do siebie — spotykają swoich, po swojemu mówią, myślą i jedzą i jakkolwiek północny brat nie pała do nich nadmierną estymą, trochę się tam z nimi musi liczyć, choćby z tego względu, że według ostatnich szacunków żyje w USA 8 milionów Amerykanów pochodzenia meksykańskiego (Chicanos), i że praca tam legalnie, nielegalnie i na polu legalnie 13—14 milionów rodowitej ludności meksykańskiej.

Zdaniem Grzegorza Juszyńskiego, autora świetnej i rzetelnie udokumentowanej pozycji „Meksykańskie fascynacje” („Książka i Wiedza” 1981), „w ciągu jednego roku amerykańska straż graniczna zatrzymała 850 tysięcy osób usiłujących przekroczyć granicę i odesłała ich z powrotem do Meksyku. Większa jest chyba liczba tych, którym to się udało”.

Milion mniej więcej przechodzi, milion wraca. Konsul Kwiatkowski zgadza się na milion, ale tylko w jedną stronę. Z oficjalnych danych wynika, że w pierwszym kwartale bieżącego roku zawrócono wyłącznie 90 tysięcy. Tak, czy owak, jest to miasto Olsztyn, Pabianice, Tobiły na kark! vamos! A Tijuana, a Piedras Negras, a Ciudad Juarez, a Nuevo Laredo. Jedni koleją załadowaną do granic pełniącego, inni autobusem. Są i tacy, co idą pieszo. Bogatsi wynajmują samochód. Niekiedy nawiązują kontakt z amerykańskimi kierowcami — przekraczają Rio Bravo uciepieni jak małpy podwozia albo przysypiani towarami na platformach ciężarówek. Bywa, że fałszują dokumenty. Bywa, że przekupują po prostu meksykańskich i amerykańskich strażników.



Chichen-Itza

Chwyt odwetowy

Korespondencja z Meksyku

(5)

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Jest wiele sposobów i wiele dróg, które prowadzą do rajów. Szkołę w tym, że wśród mojadów (zmoczeni) Amerykanie mówią na nich welbacks: mokre plecy, braceros (niekwalifikowani robotnicy), indocumentados (bez papierów) i pollos (kurczaki); ten, który ich przewozi w większych grupach nosi wdzięczny przydomek pollero, częściej jednak nazywają go szakalem lub kojotem i znajduje się dużo narcotraficantes (szmuglerów marihuany, morfiny, i kokainy), którym rząd Ronald Reagana wypowiada wojnę i którzy niekoniecznie są z Meksyku: często traktują ten kraj jako pas tranzytowy, ciągnąc z głębi Ameryki Łacińskiej, z Kolumbii, z Peru, z Wenezueli, z Gwatemali i Hondurasu.

Nastąpił więc ostatnio dla mojadów ciężkie czasy. Meksykanom jednak, których amerykańska straż graniczna przyłapała na swoim terytorium, nie robi się krzywdy, chyba że mają przy sobie białą śmierć. Jeśli nie: wracają przez most lub plot do ojczyzny, ale tylko po to, aby następnej nocy spróbować od nowa. Są cierpliwi i wcześniej, czy później przynosi to upragniony rezultat. Wielu ginie: w wodzie, na pustyni, od strzałów, w więzieniach i aresztach. Ci jednak, których wchłonał raj, bez trudu znajdują pracę u amerykańskich farmerów poszukujących taniej siły roboczej i zainteresowanych, aby Meksykanie przekraczali Rio Bravo. Farmerzy są w kontaktach ze strażą graniczną i często partycypują w przekupstwie. Chwalą sobie pokornych i pracowitych braceros. Zabierają ich samochodami do swoich gospodarstw, lokują w szopach, w barakach, w stodołach, żywią i chronią przed wścibstwem policji, a płacą im znacznie mniej niż robotnikom amerykańskim, którzy mają za sobą związki zawodowe i prawo.

Nie jest regułą, iż mojado musi pracować na roli. Bywa że zaczyna się w mieście jako kelner, murarz, śmieciarz lub służący. Niekiedy, po dwóch-trzech latach, spracowawszy do Stanów Równych, wrzuci jednak sprawę do Meksyku, aby dzięki zaoszczędzonym dolarom kupić ziemię albo otworzyć jakiś skromny interes — knajpkę, warsztat szewski, sklepik.

Kiedy amerykańscy bądź meksykańscy strażnicy przyłapią nad Rio Bravo obywatela obcego kraju, kogoś dajmy na to z Kolumbii lub z Hondurasu, wówczas sprawa komplikuje się istotnie — gość dostaje wycisk i nieprędko ma okazję odechnąć świeżym powietrzem.

Z Polakami jest jeszcze gorzej.



Mazatlán

(chłop) nie ma w ogóle wizy amerykańskiej i leci jak na złość do Meksyku.

Można to wytłumaczyć rozróżnieniem naszych warszawskich wopistów i celników. Z drugiej strony, gdyby chłop był obrotny, mógłby chyba przekonać straż graniczną (wprawdzie rzuca się w oczy jego niewielki bagaż i trzeba z góry założyć iż wywozi bez zezwolenia dolary, lecz nie sposób brać wszystkich na kontrolę osobistą), iż na razie, owszem, jedzie do Meksyku, stamtąd jednak, po otrzymaniu wizy amerykańskiej, uda się do USA.

Chłop wszelako obrotny nie jest ani w mowie, ani w piśmie. Z języków obcych — twierdzi Jerzy Kwiatkowski — zna tylko polszczyznę, i to słabo, a podpisał się ostatnio jakimś dziesięć-piętnaście lat temu, o czym świadczy jego koślawy kaligrafia.

Przypadki, z którymi mieliśmy do czynienia, to trzy-cztery klasy, rzadziej pełny kurs szkoły podstawowej i raz tylko wykształcenie średnie. Z takich rzeczy nie wolno żartować; budzą litość i zgrozę. Ale poziom tych ludzi jest żenująco niski. Są beznadziejnie jak dzieci. Nie pojmują najprostszych spraw, nie rozumią, co się do nich mówi. I ugle lądują w ogromnym, obcojęzycznym mieście.

5.

Za chlebem, do ciężkiej cholery! Nim wyjadają, muszą zdobyć pieniądze, dużo pieniędzy: prawie cztery miliony złotych na samolot (jesli trasa biegnie przez Moskwę) i co najmniej tysiąc (konsul twierdzi — dwa tysiące) dolarów na przeprawę z Meksyku do USA.

Zastanawiają się więc, wyprzedają, zapożyczają. Tu trzysta, tam czterysta. Od rodziny i sąsiadów. Szalenie pozbawia się inwentarza i pozbyswa się samochodu — nie tylko własnego, ale również szwagra lub teścia, jest bowiem absolutnie przekonany, że wystarczą dwa lata pracy w Stanach, aby oddać dług z nawiązką i pędzić po powrocie do kraju żywot bogaty i tusty.

Polska nie jest przeciwna legalnemu wyjazdowi chłopów do USA. Odwrotnie: wiadomo, że taki nie będzie uprawiał wrogiej propagandy ani mieszał się do spraw politycznych, lecz pracował, i że zarobione dolary przywiezie ze sobą do Polski, aby zainwestować w gospodarstwo. Dokupi dwa hektary, cztery krowy, rozbuduje dom i nie czekając w kolejce otrzyma z Pewexu bizona, traktor i dowolną ilość nasion.

Oplaca się to chłopu i krajowi? Oplaca. Ale wyjazd kombinowany przez Meksyk nie oplaca się nikomu i coraz częściej bywa przyczyną tragedii.

6.

Coytes czekają na samolot z Hawany i, jako się rzekło, wyłapują Polaków już na lotnisku. Nietrudno rozpoznać naszych wspaniałych rodaków z Białostockiego, choćby po tym, że mają maleńki bagaż i nie znają żadnego języka. Porozumiewają się na migi albo gryzmolą pracownicy na karkach cenie, jaką chcieliby ewentualnie zaoferować kojotom za przerzut do Kalifornii, Dallas czy Houston.

Jedni dobijają targu na miejscu i niezwłocznie udają się w kierunku polski, inni, cierpliwi i ostrożniejsi, szukają właściwych kontaktów, a wiadomo, że takie kontakty są, gdyż wielu Polaków zdołało, mimo wszystko przebrnąć Rio Bravo i założyć tam, co zresztą, niebawem listownie rządowi w kraju, co zrobieć, aby ten desperacki wyczyn powtórzył Janek czy Czesiek.

W centrum Ciudad de Mexico jest kościół katolicki zwany jeszcze kilka miesięcy temu kościołem polskim, jako że był tam proboszczem polski ksiądz. Człowiek ten utrzymywał poprawne stosunki z naszą ambasadą, odpowiadał ją od czasu do czasu, aby wziąć udział w okolicznościowym przyjęciu, nie było wszakże tajemnicą, iż grupują się wokół niego przyjeżdżający z Białegostoku chłopcy. Pomagał im, i wcale tego nie ukrywał, w przeprowadkach na teren Stanów Zjednoczonych. Według niektórych, robił to bezinteresownie, nie brakło jednak pomóżników, że przyjmuje honoraria w dolarach i zlocie.

Nie leży w moich intencjach rozstrzygnięcie tego problemu. Zakładam, iż ksiądz był nieposzlakowany uczciwy. Poza tym, jakby nie brać, ksiądz gwarantował chłopu lepszego przewodnika i większe szanse przekroczenia granicy niż przypadkiem poznany kojot. Ale mieli również rację pracownicy ambasady, kiedy czynili księdzu wyrzuty i odwoływali się do jego sumienia.

— A co będzie, jeśli chłopca zaaresztują? Co będzie, jeśli zginie na pustyni lub zastrzelą go w rzecę?

Sprawa upadła, a „kościół polski” został w pewnym sensie rozbity, bowiem ksiądz zakończył swoją kilkuletnią kadencję w parafii meksykańskiej i wyjechał z misją duszpasterską do innego kraju.

Polacy jednak dalej prą ku granicy. Nawiązali nowe kontakty, poszukiwali nowych kanałów, i jada!

Pytam Jerzego Kwiatkowskiego:

— Kto, pamiętając odczytanie Meksykanów, szwarcuje się jeszcze przez Rio Bravo?

— Północni i południowi Koreańczycy oraz obywatele Chin, Ekwadoru, Pakistanu i Ameryki Centralnej. Ci ostatni najchętniej często koczują już na granicy z Gwatemalą.

— Ile to kosztuje?

— Różnie. Meksykanin płaci dopiero za ostatni odcinek drogi, czyli za bezpieczny skok przez rzekę lub pustynię, dzięki czemu wystarcza mu dwieście dolarów. Inni, którzy startują z głębi Meksyku nie znając jego obyczajów, geografii, środków transportu i obowiązujących cen, są nabierani, szczególnie wówczas, kiedy kojot musi ich po drodze żywić, pić i kwatrować.

Wspomniany już przez mnie Jose Dolares Lopez, jeden z przywódców Zjednoczonej Partii Socjalistycznej Meksyku oraz przewodniczący Niezależnego Związku Zawodowego Robotników Rolnych i Chłopów, potwierdził wkrótce słowa Jerzego Kwiatkowskiego — kojot bije od dwustu do dwóch tysięcy dolarów. Bywa, że jest na swój sposób uczciwy i wywołuje się z obietnic, częściej jednak przekazuje klienta w ręce policji.

Wtedy właśnie zaczyna się dramat, których smak poznało wielu naszych rodaków z okolic Białegostoku, Suwałk i Łomży.

C.D.N.

ODGŁOSY 7

Stefan Rusin

Człowiek z Babilonu

Idzie z głową wyciosaną z kamienia

Humy ludzi wytykają go palcami

w jego oczach świat przegłada się tylko do połowy

w ustach pracuje bomba zegarowa zamiast rąk obracają się wokół ramion kola od roweru

Idzie do rzeki Charona wypelnionej po brzegi twarzami



blądze po ulicach obcego miasta w kafejkach pusto otwieram bramę przez którą przechodził Norwid przyglądam się czerwonym dioniom toredora zachwycam się człowiekiem-rybą rozmawiam ze słońcem

w dziwnym ogrodzie wchłania mnie ważka Mehoffera



przedziwny jest rysunek tego wieczoru: droga zaledwie jak przecinek ktoś na grzebieniu gra jakąś dziewczyna wraca z wyprawy rzysł głos za oknem kołysz dziecko kamień rozbiera się do snu

morze nie szumi ples nie szarpie fałdąchem



nfam tobie kiedy świadczysz kroplą potu kiedy płożn dajesz mi z duszy i ucho nabrzmiało od tajemnic



już nie pulsuje we mnie drwina nie szarpie mną rozpacz

i niespokojny sen już na mnie nie czeka



Rys. Janusz Szymański-Glanc

8 ODGŁOSY

Współczesna krytyka literacka przyjmuje zasadę, aby nie utożsamiać autora z podmiotem literackim, narratorem jego powieści, noweli czy opowiadania. Zasadę tę przyjmuje się także w interpretacji utworów lirycznych. Autor to autor, czyli postać fizyczna z krwi i kości o określonej świadomości, wiedzy i intelekcie. A podmiot literacki, narrator w epice i podmiot liryczny w liryce to osoba fikcyjna, niekiedy bardziej konkretna jako postać a niekiedy istniejąca tylko w wykreowanym sposobie mówienia, odczuwania lub emocjach. Np.

Psychoanaliza z pracowni krawieckiej

obozowe opowiadania Tadeusza Borowskiego, choć pisane w pierwszej osobie gramatycznej, choć przedstawiające bohatera o imieniu Tadeusz nie są pamiętnikiem autora i nie można w żaden sposób właśnie temu przypisać osobowości stworzonej, literackiej a zatem fikcyjnej postaci.

Taką zasadę, w uproszczeniu wyżej objaśnioną, chciałoby się niekiedy zastosować wobec tekstów nieliterackich, esejistycznych, powstałych pod piórem krytyka bądź publicysty. Po co bowiem obarczać autora tym, co w książce raczył był powiedzieć narrator, tym bardziej, że to co właśnie powiedział jakby nie przystaje do obrazu autora, którego znamy skądinąd, cenimy i podziwiamy.

Maria Kornałowska napisała książkę pod tytułem „Eros i film”, a więc podjęła temat często u nas dyskutowany (nie tylko u nas zresztą, ale nasze dyskusje są jakby bardziej namiętne), popularny, temat wobec którego każdy chętnie nadstawi ucha. Ow ten temat można było rozważyć na różne sposoby. Autorka wybrała taki, jaki narzuciły światowe trendy i mody esejistyczne: postanowiła tytułowy problemat książki ująć

w perspektywie psychoanalitycznej. Psychoanaliza jakkolwiek wciąż żywotna w świadomości Zachodu, zarówno jako terapia jak i uchwyt interpretacyjny w odniesieniu do sztuki, u nas nigdy nie święciła triumfów. Wprost przeciwnie: albo była obśmiewana, albo politycznie podejrzana. I dzisiaj trudno byłoby znaleźć przykłady jej naukowej akceptacji. Dobrze więc świadczy o autorce, że nie zważając na presję takiej tradycji, napisała książkę z ducha i z myśli psychoanalitycznej.

Niedobrze natomiast, że całkowicie zawierzyła swojej narratorki, że dopuściła ją do swo-

kina — nie jest że zastanawiające? Zresztą nie ma co żartować: i Eisensteinem zajęła się psychoanaliza (wspomniany w książce Fernandez).

Nie obśmiewam się z psychoanalizy. Z jej inspiracji powstało wiele książek rzeczywiście poznawczo cennych. Tyle tylko, że metody Freuda i jego różnorodnych kontynuatorów są nazbyt — by tak rzec — kruche i łatwo tymi myślowymi petits-fours się zaksztusić. Wówczas to co miało być mądre i poważne staje się śmieszne i trywialne.

Naczytała się narratorka książki „Eros i film” wiele, zatem cytuję coraz w swojej opo-

jej biblioteki, że bez krytycznego pozwolenia jej mówić. Psychoanalizę z pracowni krawieckiej nazwałam te wypowiedzi. Przecież słusznie, bo rozgadana narratorka pisze: „smutny i żalony romans podszty impotencji” (s. 30), „namiętność podszty destrukcji impotencji” (tamże), „podszty onania porcja przyjemności” (s. 34), „donżuanizm podszty jest narcyzmem i chłopczością” (s. 44), „żałosne sceny miłosne podszty są impotencją” (s. 51) itd. itd.

Narratorka książki Marii Kornałowskiej zafascynowana tematem nawet gdy ogląda słynny kryminał A. Hitchcocka „Okno na podwórze” z wnikiwością dostrzeże, że „brak nogi, przywiązanie do wózka inwalidzkiego lub fotela często wiąże się w filmie z symboliką kastracji lub impotencji” a teleobiektyw w rękę Stewarta „nieprzypadkowo nasuwa fałszywe skojarzenia” (s. 13). Idąc tym tropem można przeczesać całą historię filmu i wówczas okaże się, że Eros podszty perwersję (to już nie cytuję, wyrażałam mniej lub bardziej symbolicznie, zdominował całkowicie X Muze. Bo takie np. zbliżenie łuf „Pancernika Potiom-

wieści a to Lacana („bożyszcze dzisiejszej myśli psychoanalitycznej”, s. 14), a to Karen Horney, a to św. Pawła, a to Susan Sontag, Baudelaire’a, Byrona i stu jeszcze innych myślicieli, pisarzy i artystów. Niestety są to na ogół tzw. „złote myśli”, żeby nie powiedzieć bon-mots, które mają wspierać (a może i intelektualnie porządkować) strumień świadomości narratorki.

Są jednakowoż fragmenty w tej książce, w których dochodzi do głosu Maria Kornałowska jakby politykowana czy zdeprymowana monologami swojej narratorki. Usiłuje jej wywolewać brad w nawias, nieco się dystansować, zastanawiać nad jej psychoanalitycznymi kompetencjami. I wówczas okazuje się, że o „Erosie i filmie” można też mówić z myślą o odpowiedzialności, że jest to temat dla współczesnego kina ważny i wart intelektualnej interpretacji.

WIT ZAKROTA

Maria Kornałowska, Eros i film, Krajowa Agencja Wydawnicza, Łódź 1986, s. 180, cena 180 zł.

Jugosłowiańska awangarda z lat dwudziestych

Prezentowana właśnie w Łodzi wystawa zatytułowana „Konstruktivism w Jugosławii. Zenit i jego krag 1921-1926” należy do ciekawszych wydarzeń kulturalnych, jakimi obdarowuje łodzian od lat Muzeum Sztuki. Tyle tylko, iż zasada, którą zda się ta placówka kierować: „siedź w kącie — znajdaj cię” powoduje, że owe liczne i we wszech miar ciekawe inicjatywy nierzadko mają wymiar nadto elitarny i stąd peryferyjny. Taki underground dla wrażliwych albo klub dla kilkunastu hobbistów. Owszem nie bez winy są też — nawiązując do tak niegrzecznie — łódzkie publikatory. Dodatkowo nie ułatwia obecności w mieście położenie Muzeum na obrzeżach śródmieścia. (Najwyższy czas zatem wreszcie efektywnie pomysł o filii Muzeum w centrum, gdzie byłoby miejsce na wystawy okresowe, takie jak ta o której piszę). To wszystko prawda, ale samo Muzeum winno wykazać swoją ekspansywność zgodnie ze współczesnym duchem czasu i licznymi wzorami zza granic. Bez atmosfery publiczności, reklamy, tonu sensacji i snobizmu muzeum dziś staje się zapomnianym skansenem.

Wystawa poświęcona jest najbardziej efektywnemu bliskowi awangardy europejskiej XX wieku w Jugosławii. Lata 1910-1930, licząc z grubszą, spowodowały w całej Europie ferment kulturowo-swiatopoglądowy, który wywrócił w sposób prawdziwie radykalny dotychczasowy porządek w sztuce. Rewolucja ta zainicjowana w paru centrach rozprzestrzeniła się w obszarach kultury krajów całego bez mała starego kontynentu. Także poza nim. Ta awangardowa fala, niwelująca obowiązujące tradycje i konwencje, przybierała na sile zwłaszcza w tych krajach i narodach, które w zawężeniu polityczno-społecznym pierwszej wojny światowej i rewolucji październikowej, dobiły się własnej tożsamości i kulturowej samoistości. Nowa rzeczywi-

stość wspierała bunt artystów, a nowa sztuka starała się inspirować programy nowej rzeczywistości.

Taka też była sytuacja narodów bałkańskich, które w roku 1918 utworzyły nowe państwo Królestwo Serbów, Chorwatów i Słowenów. To ważna i przełomowa data także w sferze kultury. Tak więc własne potrzeby i własne zamierzenia z jednej strony i nowatorskie echa artystyczne z Zachodu — z drugiej, doprowadziły do ukształtowania się awangardowych postulatów u południowych Słowian. Główną rolę odegrało tu czasopismo „Zenit” oraz jego twórca, redaktor i wydawca Ljubomir Micić (1895-1971). Trudno przecenić jego dokonania. Jako artystyczny ideolog, filozof, poeta i dramaturg należy Micić do najważniejszych osobowości awangardy europejskiej międzywojnia, a wydawany przez sześć lat „Zenit” do najważniejszych czasopism tego okresu.

Nie miejsce tu na prezentację pełniejszej biografii twórcy Micića czy pełniejszej historii jugosłowiańskiej awangardy. Można powiedzieć tylko, że „Zenit” i program kulturowo-swiatopoglądowy w nim przedstawiany (zenityzm) stanowił bardzo charakterystyczny obraz dążeń ówczesnych nowatorów. Z jednej strony chodziło o podkreślenie międzynarodowych więzi, jakie łączyły całą ówczesną sztukę europejską (na łamach „Zenitu” spotyka się niemal wszystkie główne nazwiska z tych lat i główne idee artystyczne), z drugiej natomiast Micić i jego grupa dążyli do stworzenia programu oryginalnego i własnego, który byłby bałkańskim wkładem w nowoczesną kulturę Europy.

Łódzka wystawa to wszystko jakoś sygnalizuje. Piszę „jakoś” bo jej walor poznawczy przeznaczony jest głównie dla tych, którzy mniej więcej mają pojęcie o historii awangardy. Wystawa przede wszystkim potwierdza przeświadczenia o wspólnocie poszukiwań artysty-

cznych Jugosłowian i reprezentantów nowej sztuki w innych krajach, zwłaszcza w plastyce. Na podstawie tego co w Muzeum widzimy (pod etykietą „konstruktivism”) trudno byłoby mówić o oryginalności lub nowatorstwie wkładu artystycznego południowych Słowian w sztukę awangardy europejskiej. Ta swoistość i bezsporna oryginalność jest zamknięta w programach, artykułach i manifestach przykrytych okładkami z tytułem „Zenit”, które z kolei oddzielone są od widza szklanymi tafłami gablot.

Poza tym — jak sądzę — formuła wystawy streszczona w hasle konstruktivism jakby upraszcza to, co mieściło się w niezwykle bogatym przecież obszarze poszukiwań programowych zenityzmu. Konstruktivism był dla tego programu jednym z możliwych, nawet nie centralnych założeń. Zatem można należałoby tę wystawę potraktować bardziej monograficznie i całościowo. Nasyć ją towarzyszącymi poszczególnym eksponatom informacjami. Trudno bowiem w tych, nie najlepiej oświetlonych pomieszczeniach, gdzie prezentowana jest wystawa, wczytywać się w nonparel tekstu Ireny Subotić z katalogu. A odesłanie zainteresowanych do materiałów źródłowych wydanych przez Muzeum Narodowe w Belgradzie w roku 1983 staje się niezamierzonym żartem na koniec łódzkiego katalogu.

Tak czy inaczej warto tę wystawę oglądać, nawet tym, dla których nazwisko Micić i tytuł „Zenit” nie nie znaczą. Nieczęsto w Polsce można obejrzeć dzieła Archipienki, Chagalla, Roberta i Soni Delaunay, Glezesa, El Lissitzky’ego, Moholynag’a i Kandinskiego. A ich obrazy, litografie i rysunki właśnie tworzą kontekst dla Jugosłowian spod znaku zenityzmu awangardy eksponowanej w Muzeum Sztuki.

GRZEGORZ GAZDA

Z półki recenzenta

PRZYDROŻNE ZNAKI

Po śmierci Ivo Andrića (1975) ukazało się naraż sześć jego książek. Jedną z nich były „Przydrożne znaki” — intymny i artystyczny dziennik wielkiego poety i prozaika, laureata literackiej Nagrody Nobla. „Przydrożne znaki” to zbiór myśli zapisywanych in statu nascendi, plany i pomysły twórcze, a także luźne notatki dotyczące spraw ogólnej natury. Szkoda tylko, że tłumaczka Alicja Dukanović ograniczyła się do wyboru tekstu zamiast przełożyć całość, gdyż tego typu twórczość fascynuje nie mniej niż dzieła literackie.

Ivo Andrić: Przydrożne znaki. Czyt. 1986. Str. 312. Cena 280 zł.

LISTY JOYCE'A

Wydawnictwo Literackie pokusiło się o wydanie wyboru obszernej korespondencji jednego z najbardziej kontrowersyjnych pisarzy naszego wieku, Jamesa Joyce’a. Listy obejmują lata 1900 — 1941 i są chyba najdoskonalszym portretem autora „Ulyssesa”. W sumie jest to pasjonująca, czasem wręcz zaskakująca odwołą i śmiałością sformułowań i opisów, lektura. Całość została starannie wydana graficznie w wyborze i przekładzie Michała Ronikiera.

James Joyce: Listy. WL 1986. Tom I i II. Str. 426 i 384. Cena 1.400 zł.

RAJ UTRACONY

„Raj utracony” Johna Milтона ukazał się w 1667 r. i należy do tych eposów, które na trwałe weszły do tradycji kulturowej Europy. Treść poematu stanowi historia upadku Adama i Ewy. A więc sprawy bardzo odległe, które zawsze fascynowały pisarzy i filozofów na przestrzeni stuleci. Ale „Raj utracony” to także wielka rozprawa filozoficzno-moralna. W Polsce ten poemat był tłumaczony dwukrotnie: przez Jacka Przybylskiego w 1791 r. i Franciszka Ksawerego Dmochowskiego w 1803 r. Obecny przekład dokonał Maciej Słomczyński.

John Milton: Raj utracony. WL 1986. Str. 340. Cena 450 zł.

„OSTATNIE LISTY” STRUGA

O Andrzeju Strugu napisano sporo, bo był postacią niezwykłą: pisarz, publicysta, działacz socjalistyczny, rewolucjonista, żołnierz. Jego książki odegrały znaczącą rolę wśród polskiej lewicy kulturalnej. Tom „Ostatnie listy” jest mylący: w książce są zawarte opowiadania ze znanej serii „Ludzie podziemi” i dotyczą wyłącznie wydarzeń z 1905 r. oraz przygotowań konspiracyjnych do wydarzeń poprzedzających. A więc — jak cała twórczość autora „Złotego krzyża” — także i tu obok pisarza jest bojownik i polityk.

Andrzej Struga: Ostatnie listy. KiW 1986. Str. 280. Cena 200 zł.

BITWA O KOŁOBRZEG

Autor we wstępie pisze, że „temat kołobrzecki” trwał w nim od zakończenia ostatnich działań wojennych i dopiero później, po licznych doświadczeniach pisarskich, sięgnął po ten ważny dlań temat. I tak powstała praca obciążona wielką, noszącą tytuł „Na drodze do Kołobrzeg” i będąca relacją opartą na wspomnieniach uczestników bitwy, a także udokumentowana licznymi fotografiami z tamtych krwawych, bohaterskich i zwycięskich dni.

Alojzy Sroga: Na drodze do Kołobrzeg. MON 1986. Str. 678. Cena 600 zł.

KRÓL I BISKUP

W cyklu „Panorama dzieł Polski — fakty i mity” ukazała się książka Tadeusza Grudzińskiego pt. „Bolesław Śmiały-Szczodry i biskup Stanisław”. Z historii wiemy, że ci dwaj pozostawali ze sobą w nieustającym konflikcie i że Bolesław Śmiały dość zdecydowanie położył kres próbom ingerowania przez biskupa w sprawy państwowe. I choć minęło od owych wydarzeń 900 lat, nadal rozpala je one umysły i wywołują spory i polemiki. Książka, o której mowa, także chyba wszystkiego nie wyjaśnia, za to czyta się ją z wielkim zainteresowaniem.

Tadeusz Grudziński: Bolesław Śmiały-Szczodry i biskup Stanisław. Wyd. Interpress 1986. Str. 250. Cena 280 zł.

Opracował: E. IW.

Miłość — wytrych serc

Po obejrzeniu *Ślubów panińskich* Aleksandra Fredry w nowym kształcie, w jaki tę uroczą komedię przysposo- bił Teatr Powszechny, spróbo- wałem zastanowić się, gdzie le- ży jej nieprzemijający walor. Ież to utworów dramatycznych wychodzi z wytwórcy, że próby czasu? Niewiele. Najczęściej ży- wot ich jest krótki. Tymczasem od premiery *Ślubów* w teatrze lwowskim minęło ponad sto pięćdziesiąt lat, a ich znaczenie, jedenastoletni wy- wierz przyniesiony jest przez publiczność wciąż wdzięcznie, z zadowoleniem.

Nie popełnię chyba większej gary stwierdzając, że współ- czesne *Ślubom* wielkie dramaty romantyczne oglądamy wpraw- dzie z szacunkiem, refleksyjnie, ale i z pełnym wyzuciem dys- tansu czasowego, jaki nas dzie- li od ich powstania. Fredro nie wymaga uwagi, można go od- bierać ahistorycznie, jak sztukę współczesną. Sprawy, jaki- mi się zajmuje i sposób, w ja- ki to czyni, koresponduje bez- pośrednio z doświadczeniem ży- ciowym dzisiejszego widza, nie wymaga od niego aparatu nau-kowego ani szczególnego balas- tu wiedzy.

O czym bowiem traktują dla przykładu *Śluby*? O miłości. O tym instynkcie, który tkwi w każdym z nas, rozbudzony lub drzemający płytkim snem, jed- nakowo w gruncie rzeczy nie- zależnie od momentu historycz- nego, szerokości geograficznej czy wreszcie od obyczajowości.

Jeżeli więc odrzucimy kon- wencje, rodzajową obudowę, w jakiej literatura różnych epok przekazuje nam okruciny miłos- nego kruszcu, to łatwo dojdzie- my do wniosku, że w tej ma- terii nic się nie zmienia. Mi- łość fredrowskiego Gucia nie jest w gruncie rzeczy czymś innym niż ta, którą odczuwa Romeo. To tylko niesprzająca- ce okoliczności nadają jej dru- gią formę wstrząsającego dra- matu.

Więc jak to właściwie jest z tą miłością? Można pójść do znaku równania między Guciem

i Romeem? Można, z pewnością można! Przypomnijmy, że nie- szczęśny kochanek z Werony, nim zafascynowała go osoba Julii z rodu Kapuletów i nim padł wraz z nią ofiarą rodo- wej vendetty, był takim sa- mym trzpiotem jak fredrowski Gustaw. Młodym, wesołym, spragnionym miłości. Miłości, która gotów był obdarować pierwszą z brzegu piękną dziewczynę.

A zatem miłość (Fredro naz- wał ją poetycko *magnetyz- mem serca*, ja zaś *wytrychem* serc, bo do każdego *pasuje*) tkwi w każdym młodym czło- wieku jak pewien ładunek po- tencjalny. Wystarczy, by padał na iskra, a zapali się jasnym, gorącym płomieniem.

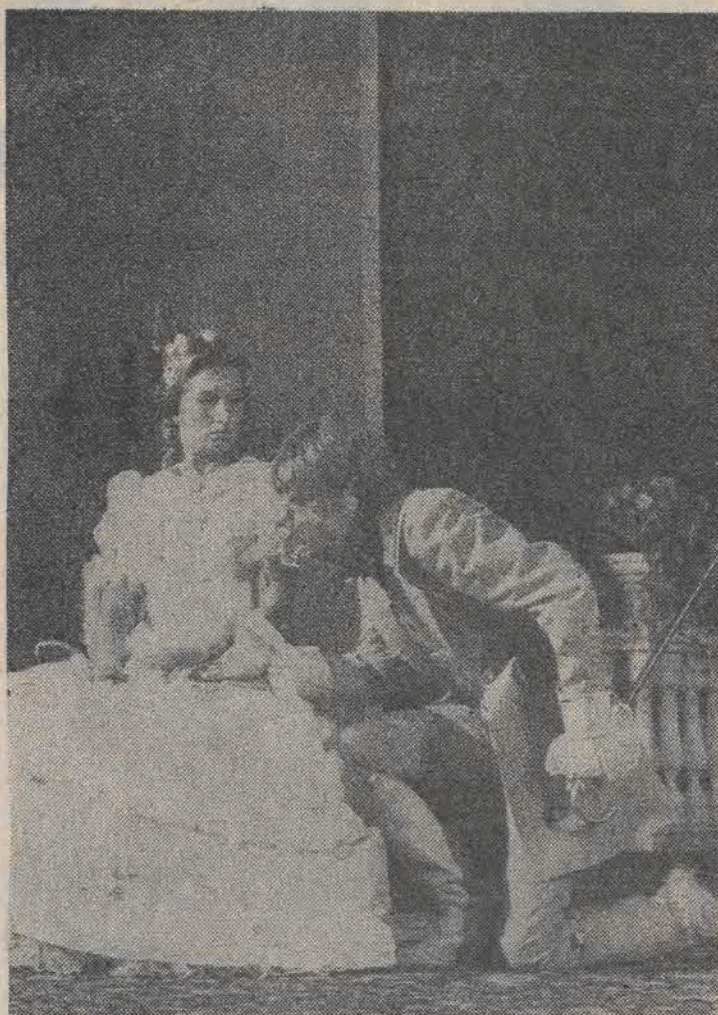
Czy Gucio kocha Anielę od pierwszej sceny komedii, gdy niewzruszony i zmoczony na deszczu wkrada się przez okno do dworku Pani Dobrońskiej po całonocnej eskapadzie? Nim odpowiem na to pytanie, przy- pomnę innego, współczesnego mu bohatera dramatu, który ma takie samo *entrée*. To Ma- zepa u Słowackiego, wykorzystujący otwór okienny zamiast drzwi. Wprawdzie tragiczny spłot wydarzeń nada mu póź- niej cechy męczeńskie, ale w momencie, gdy wkrada się do zamku Wojewody metodą in- fenestracji, jest takim sa- mym beztroskim lekkoduchem, jak jego kolega ze *Ślu- bów panińskich*.

Wróćmy jednak do postawio- nego wyżej pytania! Otóż twier- dzę, że Gucio na początku sztuk- i znajduje się w stanie gto- wości do zakochania się. W A- nieli? Może być i Anielą, skoro jest dziewczyną pończotną i w dodatku posadzoną. Chłopak nie natrafi, dokonując tego wybo- ru, na sprzeciw ani ze strony Pani Dobrońskiej, ani wujka Ra- dosta. Nie czeka go zatem los Romea Odwrotnie Matka Anie- li i opiekun Gucia całym ser- cem sprzyjają związkowi mło- dych. Gustawowi pozostaje więc zdecydować się na ułokowanie potencjalnego ładunku uczuci- owego właśnie w osobie Anieli.

I czyni to. Może na wstępie bez większego przekonania. Ży-

cie tyle ma blasków i barw. Czy tkwiąca w parafianstwie- nie Anielą zrekomensuje mu to wszystko, z czego przyjdzie mu zrezygnować? Być może za- tem chłopak nie zaangażowałby się całym sercem w tę sprawę, gdyby nie natrafił na nieocze- kiwany opór ze strony panny.

Ze zdumieniem stwierdza, że jego starania o Anielę, przery- wane eskapadami do obojęt- kowane komplementy wypowia- dane między jednym ziewnię- ciem a drugim nie odnoszą spodziewanego skutku. Ujawnia



Aleksander Fredro: „Magnetyzm serca” czyli *Śluby Panińskie*. Na zdjęciu: Emanuela Nikonorow-Sztajbert (Klara) i Jacek Łuczak (Albin). Foto: Jerzy Neugebauer

się przy tej okazji tajem- ną miłość między Anielą i jej kuzyn- ką Klarą, zwrócona ostrzem przeciw całemu rodzajowi me- stiemu. Tu już sprawa nabi- era nowego zabarwienia. Podra- żniona zostaje męska ambicja.

Wesołutki i lekkomyślny Gu- staw zmienia się więc nie do poznania. Użyje całego sprytu i predyspozycji aktorskich, by przełamać opór panny i zmu- sić ją do odwzajemnienia uczu- cia.

Trudne zadanie? Nie bardzo, skoro i Anielą jest młoda oso- bą spragnioną miłości i to za- równo jako potencjalny dawca, jak i biorca. Nie wiemy do ko- ńca, na ile uwierzyła dziewczyn- na w istnienie swojej miłowni- ki, w której rzekomo kocha się Gustaw. Mnie korci myśl, że podobnie jak Gustaw ona także odgrywa komedię i uda- je tylko nieświadomość właści- wej sytuacji.

Słowem cały system uwarun- kowań został przez Fredrę u- stawiony tak, by pchnąć Anie- lę w ramiona Gustawa, a w drugim Albinie — Klarę w ra- miona Albina. Wychodząc z za- łożenia, że partnerów w miłos- ci traktować można wymiennie, autor tak rozgrywa akcję, by bezbłędnie zmierzała ona do szczęśliwego rozwiązania. Dwie pary wylądowały na ślubnym ko- biercu, a niewiele chyba bra- kuje, by trzeciej parze nie sta- nowili Pani Dobrońska ze sta- rym kawalerem Radostem, Fre- dro wstrzymał się jednak w o- statniej chwili przed tym nad- miarem szczęścia.

Przedstawienie *Ślubów pa- nińskich* w Teatrze Powszechnym zrealizował duet łódzki: Waldemar Wilhelm — reżyseria i Elżbieta Iwona Dietrych — scenografia. Rzecz godna pod- kreślenia, gdyż ostatnio czę-ściej sięga się na scenach łódz- kich po realizatorów z impetu.

Jak można by określić zało- żenia reżyserskie? Według mnie główny wysiłek poszedł w tym kierunku, by zagrać Fredrę mo- żliwie najprościej, wydobywając maksymalnie tkwiące w sztuce wartości komediowe. Wilhelm nie kładzie więc akcentu na sty- lizację dziewiętnastowieczną, ale na prawdy uniwersalne, ja- kie niesie tekst. Nie cyszelując re- cytacji wiersza, reżyser każe ak- torom uprządkować podobną sy- tuację i bawić się nimi wraz z widownią.

Ślubom nadaje się często sznyt salonowy, który prowa- dzi do manierowego porusza- nia się aktorów i do przesadne- go obnoszenia się z słowem. U Wilhelma — nic z tych rze- czy. Mały dworek galicyjski nie choruje na syk i elegancję, lu- dzie w nim żyjący kierują się prostotą i zwykłą wrażliwością. Całość składa się na bezpretens-jonalny obraz lekko podanych perypetii miłosnych, jakże da- leki od sztampowej interpreta- cji lektur szkolnych.

Oprawa plastyczna spektaklu odchodzi od tradycyjnej sceny pudełkowej. Dworek Pani Do- brońskiej zyskuje z woli E.I. Dietrych ściany ażurowe, przez które przeleciała polska pejzaż- wiejska jeszcze nie naruszony działalnością człowieka. Jest w takim ujęciu szlachetkiej *le- dzizby* mocne jej osadzenie w realiach kraju. Nie przerysowa- jąc stylowych kostiumów, scenograf ubiera zwłaszcza ko- biety bardzo wdzięcznie.

Śluby zagrane zostały przez zespół Teatru Powszechnego

zgodnie z intencjami reżysera, co decyduje o powodzeniu przedstawienia. Nie znaczy to, że wszyscy wykonawcy tej kompozycji na szóst instrument- tów w równym stopniu przyczy- niają się do sukcesu.

Jadwiga Siennicka w roli Pa- ni Dobrońskiej wyróżnia się nie- naganą dykcją i świetnym, choć nieprzesadnym podawa- niem wiersza. Dla młodzieży ak- torskiej może to być wzór do naśladowania.

Czwórka młodych aktorów stanowiąca dwie pary amantów wnosi do spektaklu wiele świe- żości i uroku. Na czoło wysu- wa się tu Grzegorz Marchwicz. Jego *Gustaw* jest pełen wdzięku i humoru. Podobał mi się leciutko akcentowany dy- stans wobec realizowanej posta- ci.

Ewa Hanuszkiewicz, obsadzona w roli Anieli, dysponuje silnym głosem, co stanowi zarówno sil- ną jak i słabą stronę aktorki. Dzięki operowaniu głosem uda- je jej się bowiem nie popaść w ekliwizację. Czasem jednak prze- sadne nagłośnienie zamazuje nuanse uczuciowe przepełnia- ce Anielę.

Emanuela Nikonorow-Sztaj- bert w roli Klary właściwie *do- łączy* składający się na te po- stacie temperament i zadatki de- spotyczne.

Jacek Łuczak w nieco jedno- stajny sposób oddaje pocie- dajnego niedoradę Albina.

Konsekwentnie i czysto zagrał rolę Radosta Jerzy Korczyński.

Zabawną postać epizodyczną służącego Jana nakreślił Jerzy Szpunar.

Sluchając żywej reakcji wi- downi, której większość stano- wi przecież młodzież szkolna, dochodzę do wniosku, że Fre- dro właściwie interpretowany znajduje niezmiennie drogę do odbiorcy.

WŁADYSŁAW ORLOWSKI

Aleksander Fredro *Magnetyzm serca* czyli *Śluby Panińskie*; reżyseria — Waldemar Wilhelm, scenografia — Elżbieta Iwona Dietrych; muzyka — Bogdan Pawłowski; Teatr Powszechny w Łodzi — premiera prasowa 20.IX.1986.

Sila w muzyce

Najzupełniej słusze powia- da się w programie teatralnym o operze „Cosi fan tutte” wy- stawianej przez nasz Wiel- ki, że to mozartowskie dzieło równie dobrze sprawdza się w kształcie kameralnym, jak na wielkiej scenie, i że z jego in- scenizacją da się zrobić wszy- stko, byle tylko nie tracić sen- su dzieła — zwłaszcza tego nie- zwykłych walorów muzycznych i wokalnych. Podpisuje się pod tymi sformułowaniami i pra- gnie je mieć na względzie za- stanawiając się nad trafnością obecnego realizacji w wielu lat po poprzedniej premierze, za- chowującej tradycyjny kształt scenicznego, ale znakomitej mu- zycznej i wokalne, żeby tylko wspomnieć Delfine Ambroziak.

Przedstawienia odbywają się (podobnie, jak to było z „Dy- rektorem orkiestry” i „Odpła- wą posłów greckich”) w pięknej sali koncertowej Muzeum Historii Miasta Łodzi, której wystrój stanowi idealną oprawę właśnie dla dzieła z epoki rokoka, to- też nie można się dziwić, iż miejsce to wydało się realizato- rom a ściślej — reżyserowi i scenografowi tak kuszące.

Adam Hanuszkiewicz uczynił centralnym punktem ku- gromne łóżko, które przydał znawcy symbolizacji, wszy- stkie bowiem sprawy między dwiema parami zakochanych — ich żaloty i harce miłosne, nie- naski i godzenia się, jak i ich myśli — rozgrywały się bądź się kochały z tym od dawna nie zastąpionym sprzętem o wypró-

bowanej przez pokolenia nieza- wodności. Był to więc dobry po- mysł z tą zachęcająco pościelo- ną łożnicą.

Akcja zresztą toczyła się warte, urozmaicona śmieszny- mi sytuacjami i aktorskimi za- grywkami, toteż publiczność — lassa na treści pikantne — mo- gła czuć się całkowicie zadowo- lona, co znajdowało wyraz w częstych oznakach rozbawienia, świadczących też o tym, że przeważającej części widowni nawet w operze bardziej odpo- wiada rola widza niż słucha- cza.

Bo jednak nie da się ukryć, że w tak składną akustycznie salę dochodzą do dość znacz- nego niekiedy rozmiękania się partii orkiestrowej z solistami i ensembliami. Wydaje mi się, że usytuowanie orkiestry w ni- ższym pod sufitem, uzasadnione względami czysto scenicznymi, sprawiło jednak, iż synchroni- zacja tych elementów wykona- nia muzycznego była utrudnio- na, mimo sprawną batutę dy- rygenta, może też braku ostat- niego szlifów wokalistom.

Obserwowaliśmy chwilami u- porczywe wpatrywanie się śpie- waków w dyrygenta (mających go w górze po przeciwnej stro- nie sali), którzy ponad głowa- mi publiczności wznosili oczy w niebo, co nie najkorzystnie, odbijało się na swobodzie i na- turalności interpretacji aktor- skiej, poza momentami, kiedy z tej niedogodności reżyser czy- nił konwencje, pozwalając śpie- wakom jawnie pochodzić w kon- takt wzrokowy z dyrygentem, zgodnie zresztą z umownym u-

jęciem perypetii bohaterów tej uroczej komedii.

Wszyscy z sześciorga soli- stów utrafilili w ton swobodnej gry komediowej, podporządko- wanej zresztą niejednorodnej stylistyce — od klasycznej ko- medii po współczesny kabare- cki czasami zresztą było tej do- brej zabawy aż nadto, jak gdy- by wszyscy zapominali, że do- wcip i humor tkwią immanent- nie w warstwie muzycznej dzie- la, pod warunkiem, iż nie nie- zakłóci możliwości skupienia się na subtelnych pięknie mo- zartowskiej muzyki.

Najbardziej chyba ucieszył bywałow teatr cenny nabytek w osobie młodej sopranistki EL- ŻBIETY WALASZCZYK, roz- porządzającej pięknym i dźwię- cznym głosem i dobrze już opa- nowaną techniką wokálną, a przy tym finezyjnie rozgrywa- jącej nuanse kobiecej przebie- głości w roli Fiordiligi. Muzy- kująca towarzyszyła jej wystę- pującą gościnnie EWA SZYM- KIEWICZ o wdzięcznej apary- cji i mezzosopranowym zabar- wieniu głosu. Na ogół spraw- nie też posługiwała się swym niezbyt wielkim głosem HANNA KLIMCZAK w roli Despiny, wymagającej udołnienia charak- terystycznych.

Potwierdził swoje, znane nam umiejętności wokalne i talent komediowy ANDRZEJ NIEMIE- ROWICZ, jako Guglielmo. W roli Ferranda usłyszeliśmy MARKA TORZEWSKIEGO, któ- ry z wolna „rozkręcał się” aktor- sko, wokalnie zaś zaprezentował się trochę nierówno, oprócz bo- wiem pięknie brzmiącej góry, przypominającej swoją barwą rzadki u nas rodzaj „włoskiego” tenora, średnicę jednak miał mało dźwięczną, a technikę wo-

kalną nie zawsze pewną. Postać Don Alfonsa kreował dawno nie widziany WŁODZIMIERZ ZALEWSKI, który powrócił z pobytu artystycznego za granicą. Jak dawniej, tak i teraz odno- siłem wrażenie, że artysta, gdy przypadnie mu od razu, udaj- nie całą moc swego potężne- go głosu, wzbudzać może z po- wodu nadmiernego „falowania dźwięku” dość częstego u gło- sów basowych, niejako wtopi- wości co do czystości intona- cyjnej i dopiero po „rozgrzaniu się” potrafi słuchacza całkowi- cie usatysfakcjonować. Tu popi- sał się także niezawodną tech- niką wokálną i wykazał się nie- odpartą siłą komijną w prowa- dzeniu intrygi, miał też świet- ne momenty pantomimiczne, np. w „kontrabasowym pizzicato”. Na uznanie zasłużyły też czy- sto i precyzyjnie wykonywane ensemble wraz z brawurowym końcowym sekstem.

Przedstawienie podobalo się publiczności, a sądzę, że zwa- szcza tej, która bez przykrości godzi się z dominacją strony reżysersko-aktorskiej, osiągnię- tej kosztem precyzji wykonania muzyczno-wokalnego. A przecież w muzyce Mozarta tkwi wielkość i siła jego dzieł nie- zmiennych, ich urok i wdzięk, ich niezniśchalna świeżość.

Ale czy można się tym kiero- wać u nas dzisiaj, w praktyce dnia codziennego i nie robić pijały?

JERZY KWIECIŃSKI

Wolfgang Amadeusz Mozart: „Cosi fan tutte, Ossia la scuola

degli amanti.” („Tak czynią wszystkie, czyli szkoła kochan- ków”. Opera komijną w dwóch aktach. Libretto — Lorenzo da Ponte. Przekład — Włodzimierz Ormicki. Kierownictwo muzy- czne — Andrzej Straszynski, re- żyseria — Adam Hanuszkiewicz, scenografia — Xymena Zañiew-

ska, Mariusz Chwedeżuk. Pre- miera Teatru Wielkiego na sca- nie Kameralnej Muzeum Histo- ri Miasta Łodzi, w dniu 5 paź- dziernika 86 r.



W.A. Mozart „Cosi fan tutte”. Na zdjęciu: Ewa Szymkiewicz (Do- rabella) i Marek Torzewski (Ferrando)

Foto: Chwałistaw Zieliński

Kronika kulturalna

W MINIONY poniedziałek 6 października w Wyższej Szkole Muzycznej w Łodzi odbyła się niecodzienna, a bardzo miła uroczystość, otóż znany w świecie kompozytor, łódzianin z pochodzenia **ALEKSANDER TANSMAN** został uhonorowany przez tę uczelnię tytułem doktora honoris causa. Z tego faktu cieszyć się należy z kilku powodów. Między innymi uhonorowanie naszego twórcy zasłużonym niewątpliwie tytułem przybliży muzykę tego kompozytora łódzkiej, a także polskiej melomanom. Zwiastunem tego był piątkowy i sobotni koncert w Łódzkiej Filharmonii. Był to wieczór monograficzny. Obejmował 3 dzieła: „Tańce polskie” Concertino na fortepian i orkiestrę oraz V symfonię D-dur.

Koncert prowadzony był przez poznańskiego kapelmistrza **Renarda Czajkowskiego**.

W DNIACH 18-25 października odbędą się II Dni Kultury Greckiej. Organizatorami Dni są: Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Greckiej oraz Dzielnicowy Dom Kultury Łódź-Bałuty. Program dni jest różnorodny i bogaty. Odbędą się sesje popularno-naukowe, koncerty, festiwal greckich filmów fabularnych w Dyskusyjnym Klubie Filmowym „Prexer”. Otwarte zostaną także wystawy: w Galerii Malarstwa Współczesnego Anny Wesołowskiej prace swoje wystawiać będą malarze z Salonik, a w Domu Kultury „Lutnia” eksponowane będą obrazy Jeropulosa Stathisa, plakat grecki i prace konkursowe młodzieży. Odbędzie się także w SDK „Relaks” giełda staroci greckich.

INTERESUJĄCĄ wystawę edyorską przygotował Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wydawnictwo PAN — Oddział w Łodzi i Polska Akademia Nauk Oddział w Łodzi. Otóż w siedzibie Oddziału PAN od 13 października oglądać można „Akademie Verlag” wydawnictwa Akademii Nauk NRD z Berlina.

W GALERII Łódzkiej Muzeum Historii Miasta Łódź prezentuje swoje prace z lat 1976-86 Krystyn Zieliński.

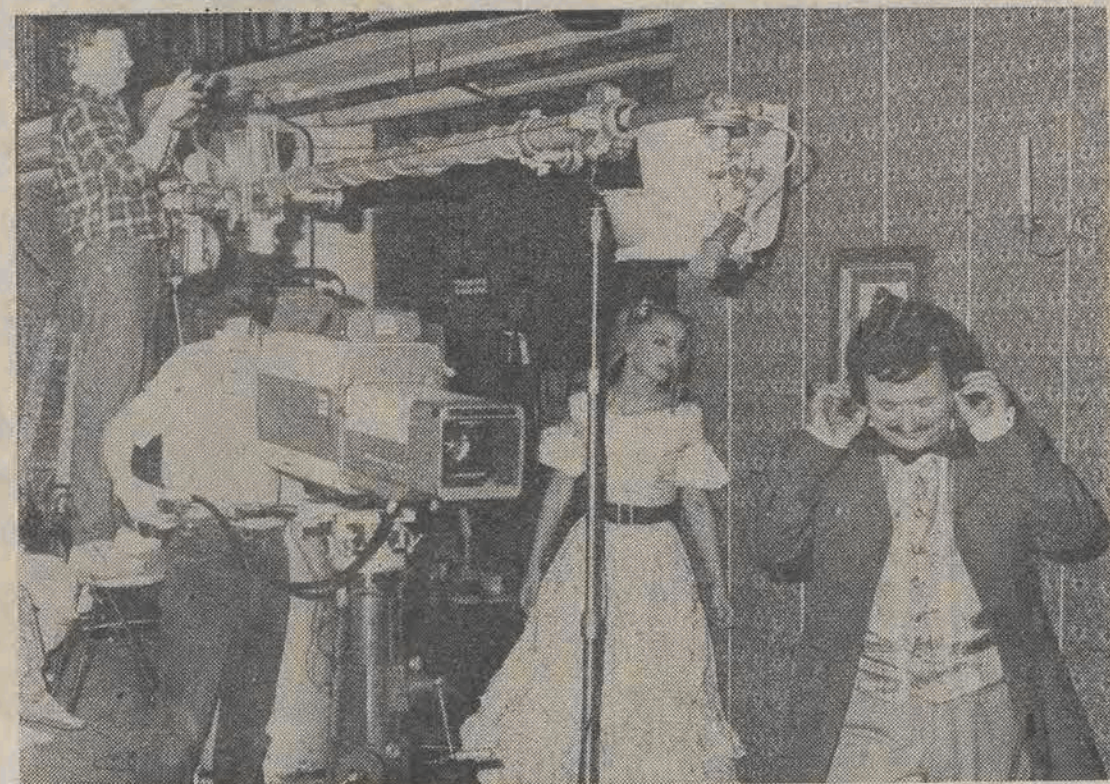
SCENA dla Dorosłych Państwowego Teatru Lalek „Pinokio” po dłuższej przerwie wróciła swoją działalność. Spektaklem inauguracyjnym będzie „Czerwona szewcowa” Federico Garcii Lorki, w reżyserii Włodzimierza Felenczyka, scenografią Andrzeja Szulca z muzyką Mieczysława Mazurka.

W RAMACH Dni Kultury NRD na scenie Teatru Nowego w Łodzi odbędą się występy Städtische Theater z Karl-Marx-Stadt z dwoma słynnymi już spektaklami: 19 X 1986 teatr ten prezentuje „Trzy siostry” Antoniego Czechowa, zaś 20 X 1986 awangardową sztukę światowej sławy współczesnego dramaturga niemieckiego Heimera Müllera pt. „Budowa”. Bilety do nabycia w kasie Teatru Nowego.



W telewizyjnym studiu

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI



Powrót McCartneya

Solowe nagrania ex-Beatlesów zwykle spotykają się z dużym zainteresowaniem melomanów, jednak ich popularność przeważnie nie dorównuje tej, jaką cieszyły się piosenki słynnego brytyjskiego zespołu, wydane na płytach w latach sześćdziesiątych. Żaden z członków grupy nie potrafił dotąd powtórzyć sukcesu z czasów, gdy Beatlesi odnosili największe triumfy na światowych estradach. Nawet Lennon i McCartney, twórcy prawie wszystkich przebojów legendarnego kwartetu, pracując samodzielnie lub z innymi zespołami, mieli znacznie mniejsze powodzenie, chociaż uznawano ich olbrzymie zasługi dla rozwoju muzyki rozrywkowej. Nowe kompozycje byłych Beatlesów gościły na listach przebojów, ale oceniano je zawsze przez pryzmat dokonania z okresu pracy w zespole. W wywiadach i recenzjach powracał wciąż ten sam temat — The Beatles; zarzucano muzyków pytaniami dotyczącymi szans reaktywowania grupy lub przynajmniej dokonania wspólnych nagrań. W 1980 roku na łamach tygodnika „Newsweek” John Lennon stwierdził, że Beatlesi dali z siebie wszystko i, podobnie jak lata sześćdziesiąte, należało do przeszłości. Początkowo melomani nie mogli się z tym pogodzić. Dopiero gdy szalenie oddał do Lennona cztery strzały śmiertelne raniąc jednego z najbardziej charyzmatycznych artystów estradowych, rozwinęły się wszelkie nadzieje na wskrzeszenie niezapomnianej grupy. Pozostały płyty, do których wciąż chętnie wracamy, podziwiając pomysły kompozytorskie i talent młodych muzyków.

Chyba nawet sami Beatlesi nie zdawali sobie sprawy z żywotności muzyki, którą stworzyli. W okresie współpracy z zespołem Wings, McCartney przepowiadał, że kiedyś młodzi melomani, gdy znajdą w sklepie starą płytę Beatlesów, będą się dziwić, że współpracował on dawniej z inną, nieznaną im bliżej, grupą. Tymczasem o zespole Wings dzisiaj mało się mówi, a przecież miał on na swoim koncie kilka interesujących longplayów i przebojowych singli, które swego czasu gościły na listach bestsellerów płytowych. Natomiast piosenki Beatlesów wciąż powracają bądź w nowych autorskich wersjach — niektóre kompozycje z lat sześćdziesiątych znalazły się na albumie McCartneya „No More Lonely Nights” — bądź też w zupełnie innych, często znacznie odbiegających od pierwotnego, wykonaniach. Niewątpliwie Michael Jackson wiedział co robi, gdy w ubiegłym roku postanowił kupić firmę wydawniczą ATV Music, która kontroluje prawa autorskie 40.000 piosenek, w tym 251 utworów Lennona i McCartneya z lat 1964-1970. Przecież przeboje grupy The Beatles są dla wydawcy niewyczerpanym źródłem dochodu.

Mimo, iż oficjalny komunikat o rozwiązaniu zespołu ogłoszono 15 lat temu, w wypowiedziach McCartneya związanych z ukazaniem się jego nowego solowego albumu nie zabrakło też odnośników do „tamtych” czasów. Płyta nosi tytuł „Press To Play” i przedstawia nieco inne muzyczne oblicze sławnego kompozytora i wykonawcy. „Być może jestem uważany za wzorowego odtwórcę ballad — ludzie wiedzą, że to robię. (Ale) nie wiedzą, że lubię grać ostrzejsze kawałki, takie jak „Angry” z nowego albumu”. McCartneyowi widocznie znudziły się ciche melodie i postanowił wcielić się w postać rock and rollowca. Na pewno pomógł mu w tym Hugh Padgham — współproducent płyty „Press To Play”, który pracował wcześniej m.in. z grupami Police i Genesis.

Dziś McCartney bardzo ciepło mówi o Lennonie, chociaż wiadomo, że obydwaj muzycy rywalizowali niegdyś z sobą, a zwłaszcza tuż po rozpoczęciu przez każdego z nich karier solowych. Jednak najbardziej twórczy z żyjących ex-Beatlesów nadal podkreśla jak ważną rolę odegrał w grupie. „Kiedyś byłem w awangardzie tego, co się działo — mniej więcej w okresie (wydania) albumu „Sgt. Pepper”, który powstał głównie pod moim wpływem”. McCartney ma nadzieję, że jego nowa płyta okaże się równie znaczącą pozycją w światowej fonografii.

Niedawno Paul McCartney znów zaczął gościć na estradach. W ubiegłym roku miał zaszczyt zamknąć wielkie muzyczne widowisko „Live Aid”. Wykonał wówczas jedną z najbardziej znanych kompozycji z okresu występów z zespołem The Beatles zatytułowaną „Let It Be”. Natomiast kilka miesięcy temu dał koncert w Londynie, podczas którego zaśpiewał „I Saw Her Standing There” i „Long Tall Sally” — po raz pierwszy od 20 lat. „Nie sądziłem, że mogę jeszcze śpiewać tak wysoko, ale gdy podczas prób zmieniłem tonację na niższą, okazało się, że zaczynam brzmieć jak Pat Boone!” Ostatecznie McCartney wykonał je tak, jak robił to dawniej. Dzięki londyńskiemu koncertowi zrozumiał, iż może w dalszym ciągu śpiewać stare szlagiery. „Rozpad Beatlesów był czymś podobnym do rozwodu; wciąż wydawało się, że żaden z nas nie chce wracać do tych piosenek. Ale czas wszystko leczy, poza tym, to przecież dobre piosenki”.

Tak więc 44-letni McCartney, którego bujna czupryna nabrała już szarego odcienia porzuca jeszcze raz spokojne życie na wsi, u boku żony i czwórki dzieci, aby przypomnieć się swoim fanom. Podobno myśli nawet o odnowieniu kontaktów z Harrisonem i Starrrem. „Mamy wciąż sporo problemów w sferze biznesu, ale znów jesteśmy przyjaciółmi”. Ringo Starr ostatnio nie miał na swoim koncie żadnych przebojów, chociaż nagrał pod koniec ubiegłego roku longplay z kolei Harrison kierował produkcją filmu „Shanghai Surprise” (z udziałem Madonny), do którego skomponował również muzykę.

Album „Press To Play”, wydany przez firmę Capitol dla której McCartney nagrywał jeszcze jako jeden z Beatlesów, oprócz tego, że przynosi zmianę brzmienia, jest równocześnie zapowiedzią kolejnego etapu w karierze sławnego wykonawcy. Na razie wszystko wskazuje na to, iż będzie to jeszcze jedna podróż w czasie do lat sześćdziesiątych — podróż, w którą McCartney wyruszyłby naprawdę, gdyby tylko mógł, a razem z nim wszyscy fani zespołu The Beatles.

GRZEGORZ WALENDA

Polemiki • Listy • Opinie

CZY W JEŻOWIE JEST „PIEKŁO”?

W odpowiedzi na opublikowany list pt. „Donoszę z piekła” — w tygodniku „Odgłosy” nr 36 z 6 września 1986 roku uprzejmie informuję:

List zawiera szereg krytycznych uwag i w pewnych momentach ukazuje nawet osobistą złośliwość piszącego. Zgadza się, że krytyka jest zdrowa i ma sens, kiedy oparta jest na rzeczywistych faktach i prawdzie. Nie będę podejmował z autorem polemiki, które to z miast winno zostać miastem wojewódzkim, gdyż nie do mnie to należy.

Ponadto autor listu podaje szereg mylnych informacji, dotyczących boju pod Jeżowem (9 września 1939 r.) oraz odbywających się uroczystości w rocznicę tego dnia. Prawdą jest, że w ubiegłym roku Jeżów obchodził 850-lecie swego istnienia i przy tej okazji chcę zapewnić, że wykonane prace nie miały na celu dodać zewnętrznego blasku.

Do obchodów tak wspólnego jubileuszu Jeżów oraz całe społeczeństwo przygotowywało się przez okres 2 lat. W tym czasie wykonano prace estetyczne i modernizacyjne, do których zaliczyć należy:

— wymianę i modernizację chodników przy ulicy Piotrkowskiej, Łowickiej, Sciborka, Szkolnej, założenie nowego chodnika przy ulicy Górnej, Zielonej oraz częściowo Kolejowej. Wartość tych prac — 8.142 tys. zł;

— zmodernizowanie poprzez pokrycie masą asfaltową ulic: Szkolnej, Sciborka, alei 3 Maja oraz ulicy Nadachowskiego. Wartość tych prac — 14.500 tys. zł;

— zlikwidowanie w centrum Jeżowa dzikiego wysypiska śmieci, w zamian którego powstał zbiornik retencyjny i założono ciąg wypoczynkowy, parking oraz plac zieleni. Wartość prac wyniosła — 2.950 tys. zł;

— wybudowanie ośrodka kulturalno-sportowego wraz z zadaszoną sceną, miniamfiteatrem oraz zestawem boisk do małych gier, tj. piłki ręcznej, koszykówki, piłki siatkowej, kortu, tenisa stołowego oraz 5 stolików szachowych. Wszystko to zostało otoczone ławeczkami oraz zielenią. Zimą przy sztucznym świetle urządzone jest lodowisko. Wartość tych prac — 5.108 tys. zł;

— zakupienie, zmodernizowanie i oddanie do użytku nowego Urzędu Pocztowego oraz wybudowanie pomieszczenia dla nowej automatycznej centrali telefonicznej na 800 numerów. Wartość — 11.700 tys. zł;

— utworzenie i zmodernizowanie szeregu skwerów i placów, gdzie mieszkańcy mogą wypoczywać — wartość 200 tys. zł;

— przeprowadzenie remontu kapitalnego linii elektrycznej i oświetleniowej — wartość prac 13.321 tys. zł;

— wykupienie dla potrzeb filii Zakładu Przemysłu Dzierżawskiego „Lido” w Łodzi budynku od Rolniczej Spółki Produkcyjnej w Jeżowie za 20 mln zł;

— ponadto społeczeństwo Jeżowa w ramach czynu społecznego wykonało szereg prac estetycznych: remont ogrodzeń, wjazdów ulicznych, pomalowano posesje itp.

Wartość wykonanych w ciągu 2 lat prac wynosi — 80.921 tys. zł. W tym czyn społeczny o wartości 13.567 tys. zł. Czy wobec przedstawionych efektów ma to być „blichtr”? Ocenę pozostawiam czytelnikom.

Pragnę podkreślić, że wymienione zadania oraz podejmowane przedsięwzięcia gospodarcze były jednym z elementów, które wpłynęły na to, że gmina Jeżów za rok 1985 zdobyła tytuł „Miasta Gospodarczości” w województwie skierniewickim oraz została uhonorowana i odznaczona medalem „Za zasługi dla województwa skierniewickiego”.

Analizując dotychczasową działalność na rzecz młodzieży zdajemy sobie sprawę z pewnych niedoskonałości, ale nie można powiedzieć, że w tej dziedzinie władze polityczno-administracyjne nie podejmują działań.

1 stycznia 1984 roku po wygospodarowaniu w Urzędzie Gminy kilku pomieszczeń piwnicznych oraz 3 pomieszczeń w części parterowej powołano Gminny Ośrodek Kultury. Utworzono w nim salę: dyskotekową, audiowizualną, salę do cichych gier, ciemnię fotograficzną — w których to działają poszczególne sekcje, takie jak: fotograficzna, muzyczna, młodzieżowa, wspólnie ze Strażą Pożarną prowadzona jest orkiestra dęta oraz klub dobrej muzyki.

Tak się składa, że Gminny Ośrodek Kultury nie ma szczęścia do dyrektorów i w ciągu 3 lat było ich trzech. Obecnie jest wakaty i usilnie poszukujemy kandydata na to stanowisko. Ponadto pragnę wyjaśnić, że sala jaką posiada OSP nie jest wykorzystywana tylko na wesela, ale także na działalność społeczno-kulturalną, organizowanie występów artystycznych, zabaw, wyświetlanie filmów.

Prawda jest, że dom administrowany przez Urząd Gminy (nie tylko jeden) nie posiada dotychczas kanalizacji oraz komórek. Budowa komórek rozpoczęta w roku 1980 została wstrzymana przez Wydział Planowania Przestrzennego, Urbanistyki, Architektury i Nadzoru Budowlanego Urzędu Wojewódzkiego w Skierniewicach. Ze względu na szczupłość placu, budowę rozpoczęto na terenie prywatnym, którego właściciel nie wyraża zgody na sprzedaż działki. Pod częścią komórek wybudowano szambo, które zostało zanieczyszczone przez mieszkańców odpadami suchymi i różnymi przedmiotami trwałymi. Szkoda tylko, że autor nie zauważa, lub też nie chce widzieć, pozytywnych efektów przeprowadzenia w części remontu kapitalnego, a mianowicie: pokrycia dachu eternitem wraz z obróbką blacharską, wymiany stolarstwa okiennej i drzwiowej, zmiany elewacji zewnętrznej, modernizacji instalacji elektrycznej wewnętrznej, doprowadzenia wody do mieszkań.

Wartość wymienionych prac wyniosła 3.942 tys. zł, natomiast wpłaty czynszu w ciągu 3 lat wyniosły 280 tys. zł.

W przyszłym roku planujemy zewnętrzne i wewnętrzne malowanie. Z punktu widzenia gospodarczego wykonano te najbardziej pilne prace nad ratowaniem substancji mieszkaniowej, a następnie rozpoczęte zostaną prace dla zapewnienia mieszkańcom pomieszczeń dodatkowych.

Kontynuując myśl autora listu odnośnie zakupu wódki pragnę podać, że w okresie od 1 lipca 1985 roku do 30 sierpnia 1986 r. ujawniono 12 przestępstw nielegalnego handlu alkoholem, w tym 7 w opisanym wyżej budynku.

Obwohl klientów w placówkach handlowych poddawana jest systematycznej kontroli, sprawowanej przez powołane do tego celu instytucje oraz przez społeczeństwo. Kontrole te przynoszą szereg uwag dotyczących czasu pracy placówek, zaopatrzenia w niektóre artykuły przemysłowe i spożywcze, czystości itp., ale nie stwierdzono uwag pod kątem kultury obsługi klienta, a tym bardziej wzmuszania konsumentowi alkoholu.

Ze względu na szereg krytycznych uwag pod adresem administracji oraz jednostek działających na terenie gminy, opublikowany list został omówiony 22 września 1986 r. na posiedzeniu Prezydium Gminnej Rady Narodowej z udziałem przedstawicieli organizacji politycznych oraz kierowników jednostek gospodarczych. W wyniku dyskusji podjęto wnioski, z określeniem dat i sposobu ich realizacji.

Szkoda tylko, że autor listu obywatel Jerzy Jan Banasiński w czasie spędzania ciekawych i dających dużo do myślenia wakacji w „Piekłach” nie skontaktował się z tymi, co tym „Piekłom” zarządzają. A może jednak warto byłoby wysłuchać drugiej strony, jej problemów i trudności.

Zostałem upoważniony przez społeczeństwo do zapewnienia, że mieszkańcom Jeżowa żyje się coraz lepiej dzięki zmianom, które

re w ostatnich latach nastąpiły i następują. Czas dla Jeżowa nie zatrzymał się, a idzie w 1000-lecie.

Z poważaniem
MAREK PAŁASZ
(naczelnik gminy Jeżów)

Do wiadomości otrzymują:

- 1) Rzecznik Prasowy wojewody skierniewickiego;
- 2) Gminna Rada Narodowa w Jeżowie
- 3) Komitet Gminny PZPR w Jeżowie
- 4) Gminny Komitet ZSL w Jeżowie
- 5) Rada Gminna PRON w Jeżowie

KONKURS DLA POETÓW DO 15.11.1986

Organizatorzy otwartego konkursu na przekład z rosyjskiej poezji radzieckiej zawiadamiają, że postanowili przedłużyć termin nadsyłania prac do 15 listopada 1986 r. Przypominamy, że jeden uczestnik może nadesłać najwyżej cztery zestawy przekładów (trzy utwory w zestawie, obowiązuje dołączenie czytelnych oryginałów), a na zwycięzców czekają nagrody: I — 15.000,—, II — 10.000,—, III — 5.000,—.

Konkurs jest anonimowy. Prace konkursowe w trzech egzemplarzach należy nadsyłać pod gołdem pod adresem: Zarząd Łódzki TPPR ul. Narutowicza 48, 90-135 Łódź z dopiskiem na kopercie: „Konkurs na przekład poetycki”. W innej zamkniętej kopercie dołączonej do zestawu należy podać swoje dane personalne, uwzględniając nazwisko i imię, wiek, zawód oraz adres.

Z udziału w konkursie wyłączeni są członkowie ZLP, SAP i STP. Szczegółowe informacje o konkursie można uzyskać telefonicznie (tel. 36-37-71) w sekretariacie Oddziału Łódzkiego Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich codziennie (z wyjątkiem sobót) od godz. 11 do 15.30.

„OPISANIE RODZINY” DŁUŻEJ

Organizatorzy konkursu pod nazwą „Opisanie rodziny”, tj. Rada Łódzka PRON, Zarząd Główny ZLP, Urząd m. Łodzi, Wydawnictwo Łódzkie oraz Krajowa Agencja Wydawnicza Oddział w Łodzi uwzględniając liczne prośby autorów przedłużają termin składania prac konkursowych w jego części zamkniętej i otwartej do 30 kwietnia 1987 r.

JERZY P. PODJĄŁ ZOBOWIĄZANIE

Z Sopotu, 6 Jerzego P. — naszego stałego, aczkolwiek nie regularnego kolumnisty — otrzymaliśmy list następującej treści: „Bawie, uważacie, w Sopocie. Podał mi gdzieś w pobliżu jest tu morze. trochę wypoczęte zbiorę si; w sobie i może to morze odkryję. A jeżeli odkryję to i owszem jeden analityk tubylec ma przesłać dla kade, który podobno kiedyś widział w tym morzu rybe. Postaram się dotrzeć i do dziadka a potem po nitce aż do kłębka

Pozdrawiam zdalnie i totalnie

Jerzy P.”

List przeczytaliśmy, za pozdrowienia dziękujemy i trzymamy za słowo. Jerzy P.! Odkryj to morze i opisz! Czekamy niecierpliwie. Czytelnicy też.

DLA KOGO SĄ TELEFONY?

Przeczytałem bulwersującą wiadomość, a mianowicie zainstalowanie aparatu telefonicznego ma już kosztować 36 tys. zł! Spojrzałem do kalendarza, czy to czasem nie „prima aprilis”, bo to zakrawa na paranoję. Zaczynam się poważnie zastanawiać, w jakim ja żyję kraju, skoro moja renta wynosi 12 tys., a żony 7,5 tys., a przecież niestety, uczciwy człowiek zasobów nie posiada. Telefon to przecież żaden luksus, a urządzenie, które zwiszcza ludziom chorym oddaje podstawowe usługi w wielu sprawach.

Nie wiem, kto decyduje o takich sprawach, ale to jest po prostu karygodne. Przecież już w kosztach osiedla ujęte są koszty sieci telefonicznych, za które płaci użytkownik mieszkania, a więc skąd taka suma.

Należało podnieść koszt rozmów telefonicznych, owszem tak, ale nie podłączenie aparatu. Przecież nikt z nas, którzy czekamy po 10 lat na telefon, teraz nie będzie mógł z tego dobrodziejstwa skorzystać, bo okazuje się, że „telefon jest tylko dla bogaczy”.

Człowiek zaczyna wątpić w sprawiedliwość społeczną w naszym ustroju.

My nie możemy sobie pozwolić na lepsze mięso, jemy je tylko od święta. Ciutalimy po parę groszy i cieszyliśmy się, że będziemy mieć łączność ze światem przez ten telefon, a teraz taki szok.

Proszę, aby ktoś spojrział realnie na te sprawy, a nie wszystko tylko kosztami biednych ludzi.

Z pozdrowieniami

EDWARD KĄCKI
Łódź

PS. Piszę do „Odgłosów”, bo uważam Was za wyjątkowo solidne pismo.

ODSŁONIĆ KURTYNĘ!

Jak Polska długa i szeroka masa naszych rodaków wyjeżdża w „celach turystycznych” za granicę. I bardzo dobrze, wszak podróże kształcą. Mnoży się przeto opowiadania o wspaniałych zaopatrzeniach sklepów, organizacji pracy i placu, kultury itp. Błyski w oczach naszych rodaków, wspaniałe zafascynowanie Wschodem i Zachodem. Ale... A może by tak jeszcze raz przyjrzeć się naszym „turytom”. Że wyjazd za granicę musi się wrócić, wie o tym każde dziecko (w naszym narodzie to rzecz normalna). „Towar” jaki jest wywożony w ilościach „do użytku osobistego” mógłby doprowadzić niejednego dyrektora Domu Handlowego o palpitację serca. A najlepsze w tej sprawie rozważanie mają panie i panowie z Urzędu Celnego. Prawda? Wszak nie o ten temat mi chodzi, tzn. „towar”, tylko o istotę samych wyjazdów na „wycieczki”. Zainspirował mnie fakt poznany w przychodni lekarskiej. Byłem jednym z grona pacjentów oczekujących na przyjęcie do gabinetu lekarskiego, oczekiwałem na swoją kolej. Nagle z gabinetu pana doktora „wyskoczył” pacjent w średnim wieku, zadowolony, uśmiechnięty.

Co było powodem jego radości? Czyżby nagle wyzdrowienie? Powód był zgoła inny: otrzymał 9 dni zwolnienia od pracy. Tak się tym cieszył, że zapominał gdzie jest i poinformował nas (pacjentów), że wyjeżdża za granicę — na Węgry. Pomiędzy chorymi widać było zażenowanie, ale nikt się nie odezwał (ja również). Tylko było widać pobłażliwe uśmiechy. Tak, rodacy, można się bardzo łatwo wymigać od pracy, prawda?

Nie mam pojęcia jaki „bajer” wcisnął ów „chory” panu doktorowi, widziałem tylko, że za drzwiami momentalnie uzyskał końskie zdrowie. Mam nowy cud w Polsce Ludowej! Wracam do sedna sprawy. Czy te ciągle przepelnione pociągi, autobusy (jadące w kierunku granic) nie nasuwają nikomu myśli, że coś nie jest tak? Jak wiem, urlop w najwyższym wymiarze wynosi 26 dni i przeważnie wykorzystywany jest na wczasy, remonty mieszkań itp. A tu jak nie patrzeć cały rok wyjazdy i wyjazdy, słychać głosy z tej i z tamtej strony byłem(am) w Bułgarii, na Węgrzech itp. Rodacy, czas zabrać się do solidnej pracy!!! Broń Boże nie rzucam na wszystkich „turytów” oskarżenia, tylko na tych, którzy wykorzystując zwolnienia lekarskie, wyjeżdżają sobie na wycieczki zagraniczne czy też krajowe. Fakt, że „jedna jaskółka wiosny nie czyni”, ale mniemam, że ta sprawa ma dłuższe korzenie. Może nieprawda? Jeżeli się myślę, to z góry wszystkich „turytów” przepraszam — ale dla świętego spokoju można by (trzeba) sprawdzić sukcesywnie np. za okres ostatnich 3—4 lat te wyjazdy.

Chyba w epoce komputerów nie jest to zadanie za trudne? Apeluje zwłaszcza do ZUS jako instytucji państwowej, która na te zwolnienia łoży pieniądze oraz do pana ministra pracy i pracy. Jeżeli onego czasu całe społeczeństwo pragnęło (wręcz żądało), ażeby rząd PRL pracował i działał „przy otwartej kurtynie”, to my jako społeczeństwo musimy także „swoją uchylić”. Prawda? Mam nadzieję że większość rodaków (czytelników) się ze mną zgodzi. A może „podsunie” pomysł, w jaki sposób by tę sprawę zamknąć raz na zawsze? Ja mam takie propozycje przy ubieganiu się o wizę wyjazdową turysta powinien przedstawić zaświadczenie z zakładu pracy (w którym aktualnie pracuje), że nie przebywa na zwolnieniu lekarskim (aktualnie), a dni które ma zamiar spędzić są z urlopu, odróbki itp. Adnotację taką można umieścić w paszporcie. A tych turystów, którzy nie pracują, poddawać odprawie celnej osobistej (każdego) oraz żądać poświadczenia z Izby Skarbowej o pochodzeniu źródła utrzymania i dóbr materialnych. Tylko zaznaczam, że po takim eksperymencie PKP, „Orbis” itp. znacznie by obniżyło swoje dochody. To by była jedna strona medalu, a druga...?

Pracownikowi, który „wyruszył” na takie „saksy” (mam nadzieję, że nie byłaby to liczba w tysiącach w skali kraju) pracodawca powinien grzecznie za pracę podziękować i na drogę wręczyć mu „wilczy bilet”.

W odczuciu moim, jak i zapewne społeczeństwa, takie załatwienie sprawy byłoby sprawiedliwe i odpowiadające reformie. Tylko takie postępowanie musiałoby się odnosić do każdego ujawnionego przypadku (obojętnie na jakim „stołku” ten obywatel siedział). Oczywiście, zwrot poborów z zwolnienia, premie itp. Prawda, jakie to jest proste?

Nie ma co ukrywać, że wielu z naszych rodaków tymi wyjazdami zarabia więcej niż np. górnik, ale za to głośno „placzą”, gdy jest źle. To właśnie między innymi dzięki tzw. turystom brakuje różnych towarów, np. robotów kuchennych itp. (najlepiej wiedza w Urzędzie Celnym). Wszak każdy „turysta” musi wziąć „towar”, ażeby zarobił i musi coś przywieźć. Później stoi taki jeden z drugim na stołcu lub deszczu, trzyma te główne zegarki elektroniczne i z obiedem w oczach czyha na klienta. Pochoruje się, idzie do lekarza i kółko się zamyka. Jestem przekonany, że taka akcja (sprawdzająca) na skalę krajową przyczyniłaby się do „osuszenia bagna” pseudoturystyki i poprawiłaby nam markę w krajach, gdzie hasło przewodnie mówi „bez pracy nie ma kołaczy” — panie i panowie Polacy.

ROBOTNIK W ŚREDNIM WIEKU
(Nazwisko i adres do wiadomości redakcji)

PS. Jeżeli moja propozycja przyjęłaby się na szczeblu ogólnokrajowym, można byłoby się pokusić o statystykę takich „wyjazdów” i publiczne przedstawienie takich turystów w prasie lokalnej lub krajowej. Będzie to pamiętka i przestroga dla przyszłych „turytów”. Liczę na zainteresowanie się sprawą IRCh-y oraz związków zawodowych przedsiębiorstw.

SPROSTOWANIE

W numerze 40 „Odgłosów” ukazała się pierwsza część artykułu Wasyła Kocznowa „Spotkania (nie Spotkanie — przyp. redakcji) w Pieriedielkinie”. Do jednego ze zdań tego tekstu wkraśli się błąd. Zdanie to powinno brzmieć: „Przeprawił się pod Moskwę z Charkowa”!

Czytelników i Autora przepraszamy!

PIOSENKI W JĘZYKU ESPERANTO

Ukazała się pierwsza polska kaseta z piosenkami w języku esperanto w wykonaniu Andrzeja Tomeckiego. Kaseta wyprodukowana przez POLTON zawiera obok piosenek o Warszawie — hymn esperancki w wykonaniu Zespołu Pieśni i Tańca Politechniki Warszawskiej oraz dwa oryginalne przemówienia twórcy esperanta, dra Ludwika Zamenhofa z lat 1902 i 1909. W tym interesującym programie znalazły się tak popularne piosenki, jak „Malefiki znak”, „Piosenka o mojej Warszawie”, „Pokoik na Koźle”, „Warszawskie dziewczyny”.

Sprzedaż kasety (za zaliczeniem pocztowym) prowadzi Polski Związek Esperantystów, Centrum Oświatowo-Wydawnicze, 00-013 Warszawa, ul. Jasna 6. Centrum prowadzi również sprzedaż podręczników i słowników do nauki języka esperanto.

MY I DYSKOTEKA

Jesteśmy lokatorami służbowego mieszkania przy ul. Żubardzkiej 2a (Burza nr 9). W lipcu i sierpniu 1986 r. nekaly nas nie kończą się dyskoteki organizowane przez OHP.

Napisałem w tej sprawie skargę do ob. Komendanta OHP. Otrzymałem odpowiedź, z której wynika, że w bursie przebywali przedstawiciele zagranicznych organizacji młodzieżowych. Ob. Komendant rozumie naszą sytuację, ale nie jest w stanie dostosować potrzeb 200-osobowego zgromadzenia do potrzeb 1 rodziny.

A gdyby tak grali o parę tonów ciszej?! Świetlica jest mała (granicy z naszym mieszkaniem). Jak tam mieścić się 200 osób? A gdzie kultura zabawy? Czy muszą drzeć ściany? I słowa „przepraszamy” — brak.

Skarżąc się na działalność dyskotekową OHP stałem się niemal dywersantem, no powiedzmy — facetem będącym „na usługach”. Czy nie? A rodzina? Jest przecież pod szczególną opieką państwa. Moim zdaniem odpowiedź ob. Komendanta OHP jest przykładem złego traktowania skarg. Mają mieszkanie i jeszcze wybrzydząją — tak to wygląda, że tak pomyślano o naszej skardze.

Ukłony dla Redakcji!

GRZEGORZ WRÓBEL
(Łódź)

Pogrzeb na wąskim torze

ROMAN KUBIAK

Pojedziemy za darmo. W dworcowej kasie nie ma już biletów, nikt nie wyciągnie ręki po pieniądze. Kolejarka mówi, że taka jest tradycja. Na ściennym kalendarzu ktoś odkreślił dzisiejszą datę: 30 września 1985 roku. W kacie sali leży, zdarty rozkład jazdy. Więc pojedziemy za darmo. Wsiadzie maszynista i jego pomocnik, kierownik pociągu, siedmiu podróżnych i reporterka z radia. Pojedzie też szef kolejki w odświętnym mundurze. Wcale nie dlatego, że dziś jest za darmo, ale dlatego, że ostatni raz. Bo to jest pogrzeb Piotrkowskiej wąskotorówki. Ostatnia droga ciuchci do Sulejowa.

Najgłośniejszy płacz Łyżniak. Józef Łyżniak, kierownik ostatniego pociągu, pół życia na wąskim torze. Pokazuje, w którym miejscu obetną mu prawą rękę i jak głęboko skaleczą kolejarskie serce. Za godzinę będzie po bólu. Dla Łyżniaka po prawej ręce. Jutro kierownik wyjdzie z domu i poczłapie wąskim torem. Minie paru znajomych, wszyscy zapytają: Dlaczego? A Łyżniak sam nie

wie, czemu jutro nie pojedzie osobowym ósmą dwadzieścia. — I, komu to przeszkadzało? — powtarza ostatni kierownik. „To” składa się z trzech osobowych wagoników doczepianych do rumuńskiej lokomotywy. Czwarty wagonik właśnie wrócił z remontu i pięknie odmalowany stoi na bocznym torze. Ale w drogę już nie wyruszy. Chyba, żeby na ziom albo do muzeum. Albo zgnieje z bezczynności i deszczu w tym swoim pięknym makijażu z farby, bo nie ma jeszcze wyroku.

Tylko nie do muzeum — prosi Łyżniak. — Po co spychać do muzeum całkiem dobry tablor. To tak, jakby zdrowego, chętnego do pracy człowieka siłą wyganiać na emeryturę.

Kolejka jest zdrowa i silna. W pół godziny potrafi przemknąć do Sulejowa. Potrafi sięgać się z podmiejskim autobusem, a zimą nie daje mu szans. Nowa lokomotywa ciągnie jak sam diabeł i dawno już nie trzeba kolejki pchać pod górę. Zimą po lodzie autobus wzniesienia nie sforuje, a wąskotorówka przeskoczy. Kolejka mogłaby nadal skakać po

górkach, ale tej największej nie przeskoczy. Największa góra nazywa się Ministerstwo Komunikacji. Ono każe skończyć z wąskotorówką.

Więc w ostatnią drogę pojedzie tylko trzy małe, zielone wagoniki ze śmiesznie ławeczkami. Starutkie bardzo, lecz wypleszczone kolejarską ręką. Szerokie tak, że otwierając ramiona można dotknąć obu burt jednocześnie. Wysokie tak, że wchodząc trzeba chylić czoło. Bardzo stare i bardzo czyste.

Stare wagoniki pojedą po nowych torach. W zeszłym roku kolejarskie ekipy założyły nowiutkie szyny. Teraz można po nich gnać co sił w maszynie i nie bać się, że koła spadną na zakręcie. Wiele ciężkiej roboty kosztowała ta zmiana i strasznie dużo pieniędzy.

Ośmiu milionów — wylicza stacyjny robotnik. — Psu na budę...

Kiedy prosty robotnik rachuje zrucone w błoto pieniądze, to myśli o grubszym balaganie. I o tym, że można było inaczej. Mądrzej. Po nowych szynach powinny gnać sunąć pociągi. A pojedzie jeden, najwyżej dwa towarowe dziennie, z wapnem i sztucznymi nawozami. Po nowych torach miałyby szybko mknąć osobowe. Tak szybko, żeby wyprzedzić podmiejskie autobusy. Dlatego pasażerskie wagony poszły do remontu, dostały świeżą farbę i nadzieję. A teraz po nowych torach pojedą na własny pogrzeb. Droga przed nimi krótka i wygodna, całkiem inna niż miniony żywot. Ostatnia droga.

Łyżniak chce, żeby było uroczyste. Jak na porządnym pogrzebie. Zakłada odprasowany mundur i konduktorską torbę. Taki z niego kierownik i konduktor w jednej osobie. Pan na wąskotorówce. Dawniej miała kolejka i kierownika, i konduktora. Pierwszy był pierwszym po Bogu, a drugi sprzedawał bilety. Zbierał ziółki i układał w służbowej torbie. Im bliżej Sulejowa, tym torba cięższa. Bilety były po cztery osiemdziesiąt, a w torbie brzęczały dwa tysiące. Lecz konduktorów przegnały autobusy. Zabrały im pasażerów i ziółki. Odjął bilety miał kierownik. A teraz autobus przegania kolejkę. Dlatego pierwszy po Bogu nie cierpi autobusów.

Uśmiecha się tylko Krawczyk. Henryk Krawczyk, szef Piotrkowskiej Kolei Dojazdowej. Bo szef musi mieć rozległą perspektywę, a wąski tor, to wąska perspektywa. Tylko od ściany do ściany, od Piotrkowa do Sulejowa i z powrotem. Raptem piętnaście kilometrów. Szef chciałby zawiłować żelazną drogą, a tutaj ma tylko żelazną drożkę. Jeden tor, parę zakrętów i garstkę karłowatych wagoników. Przyszłość zaś jeździ szerokim torem, ma tysiące zakrętów i armię dumnych wagonów. Więc wąski tor jest jak wąska perspektywa. Dlatego Krawczyk uśmiecha się na pogrzebie.

Kondukt wyruszy o czternastej trzydziści. Poprowadzi go Paweł Jabłoński, maszynista czerwonej lokomotywy. Maszynista powinien być twardy jak gład, bo woz ludzi i odpowiedzialność. Inaczej przewozić się ludzi, a inaczej wapno. Jabłoński woli ludzi. Towarowym ni by jedzie się szybciej i nie zatrzymuje na przystankach, ale jakoś tak pusto. Bardziej na duszy, niż na ładunku. Człowiek maszynistę pozdrowi i podziękuje ładnie, szczególnie gdy go zabrak między stacjami. A wapno nie oddycha. Dlatego Jabłońskiemu żal małych wagoników.

Zegar bezdusznie napocznyna ostatni kwadrans, więc kolejarzom zbiera się na wspomnienie. O tym, że staruszka ma osiemdziesiąt cztery lata i pamięta cara. O tym, że miała zaszczyt wozić tego i owego i jeszcze paru niezjadających. O tym, że szła w zawody z cyklistami, a nawet prześcignęła automobil. I o tym, że w wielkim tłoku bractwo podróżowało na węgłarkach, a pod górę brało ciuchcie na pych. I o tym, że najpiękniejsze bywały majówki, kiedy całutki Piotrków ze śpiewem i muzyką walił kolejka nad Pilicę. I jeszcze o tym, że bardzo szkoda.

To epitafium trafi na antenę, popłynię z milionów głosników. Po to jest reporterka z



radia, która opowie światu, że pod miastem Piotrków Trybunalski na finiszu dwudziestego wieku kursowała wąskotorówka z carskim rodowodem. Może wysłuchawszy radia ktoś się zaduma przez chwilę i poczuje, że jesteśmy ubożsi. O ten mały skrawek sielskiego krajobrazu. Bo gdy odejdzie kolejka i jej ludzie, zaginę wspomnienia.

Radio chce zatrzymać wspomnienia dobre i złe.

Nie, były wyłącznie chwile piękne — twierdzą ludzie o swojej kolejce.

Wszak o umierających nie mówi się źle.

Do Milejówki są dwa kilometry i cztery minuty jazdy. Łagodny zakręt, szlaban na przejeździe i żółte pudelko stacyjki. Drożniczek przegania owce spokojnie pasące się na wąskim torze, czyli fora ruszają ku przeznaczeniu. Jest słynna godzina czternasta trzydziści i wszyscy są w wagonikach. Wszyscy prócz kierownika pociągu. Bez Łyżniaka ciuchcia nie ma prawa ruszyć i kierownik dobrze o tym wie. Patrzy na wskazówki zegara i na telefoniczny aparat. Zegar tyka miarowo, a telefon milczy. Łyżniak chętnie zatrzymałby ten cholerny zegar i rozdzwoniłby telefon. Podniósłby słuchawkę i usłyszał głos z góry: Możecie nie likwidować kolejki! Ale telefon milczy, zaś maszynista niecierpliwie gwizduje odjeżdżającego. Więc Łyżniak wolniutko człapie ku przeznaczeniu, choć powinien iść szybko, bo opóźnia finał. Lecz skoro Łyżniakowi kałecza serce, to on raz może skaleczyć przepisy.

Odjazd — rezygnuje ostatni kierownik.

I kondukt rusza w drogę bez powrotu.

W Milejówce wsiada dziadek z wnuczką i kobieta z pekatymi siatkami. Dziadek codziennie przywozi małą do szkoły i odwozi ją po lekcjach do domu, żeby dziecko samo nie tułało się po dużym mieście i wiejskiej drodze przez las. Dziadek i wnuczkę znają wszyscy wąskotorowi. Wiele zdradziło ciuchcie i przeszło na stronę autobusów, a dziadek został. Najpierw co dzień woził starszą wnuczkę, teraz młodszą. Bo autobusy są dla tych, co mają silne łokcie i mocne gęby. A dziadek jest niemłody, wnuczki zaś kruche jak gałązki. Takim służyła ciuchcia.

Panie, co z nami będzie jutro? — pyta starszy człowiek, co nie ma silnych łokci i mocnej gęby.

Jutro będzie pusty tor. Dziadek poprowadzi małą na ruchliwą drogę, żeby pokornie czekać szczęśliwej chwili, aż jakiś litościwy szofer zabierze tych dwoje słabych. Albo tych dwoje spróbuje wsiąść do podmiejskiego autobusu. Albo...

Panie, co z nami będzie jutro?

Autobusy do Sulejowa są nabite jak autobusy do Sulejowa. Tak o nich mówi się w Piotrkowie. W Sulejowie już nie się nie mówi. Tam się czeka godzinę albo dwie; na lot szczęścia, na okazję, na wąskotorówkę. Czerwone autobusy trzeszczą z nadmiaru, a w niedziale kipią ludzką złością. Wczoraj w potwornym tłoku zemdliała kobieta.

Starostwo wita gwarem wdzięcznych ust. Przystanek Starostwo, drugi postój na szlaku do lamusa. Młodzi wnoszą dziecięce wózki, starzy targowe kosze. Wiele ma w kieszeniach miesięczne na autobus, lecz taki z nich pożytek jak z przepustki do raj. Raj miał postać czerwonego karusa, który przed chwilą ruszył ciężko uwołając piekło słotocznych ciał. Dlatego peron w Starostwie tętni wdzięcznością dla ciuchci.

Na staruszkę zawsze można liczyć — mówi pan z waliżeczką i wyciąga drobne.

Nie trzeba — mówi kierownik. — Dziś jedziemy za darmo.

Chyba na otarcie jutrzejszych łez.

Dalej jest przystanek Bugaj, a jeszcze dalej Uszczyn. Kobieta siedząca przy oknie może zamknąć oczy i opowie wczesniej, co będzie za zakretem, kiedy stukną koła i kiedy maszynista zacznie hamowanie. Opowie to Aleksandra Burgał, całe życie w wąskim torze. Ojciec kolejarz, ona za ojcem, za nią syn też wąskotorowiec. Każda ballada o żelaznej drodze powinna mieć rodzinny wątek. Taką kolejarską sagę, która przekona ludzi, że ballada jest z krwi i kości. Więc Burgałowa snuje balladę o ojcu w kolejarskim mundurze, o Basi Spychałowej z dworcowej kuchni, starym kierownikowi Koprowskiemu, o synu też wąskotorowcu i o sadnym dniu. Przyszła wtedy Burgałowa do pracy, a tu wisi nekrolog. Po znaczy mała kartka z wyrokiem na ciuchcie. Ze od października będzie koniec.

Wtedy powiedziałam córce, żeby nie szła na naszą kolej. Bo córka chciała robić tam, gdzie my wszyscy — na wąskotorówce. A to naprawdę koniec.

Koniec sagi wygląda tak: jedzie Burgałowa ostatnim kursem, no bo jakże ma nie pojechać. A wszystko co pokazuje pachnie historią. Tutaj była mijanka i kawał kolejarskiej tradycji. Tam była przystanek poczekalnia i kwiaty na rabacie. Po lewo było to, a po

prawo tamto. I wszystko w zapomnienie.

Burgałowa opowiada, a pociąg wjeżdża do Przygłowa, gdzie był zawiadowca Sikora, co znał się na swojej robocie, ale skusiła go pensja w Belchatowie. Może i lepiej, że nie doczekał końca. Tutaj wszystko pachnie historią.

Kolejka odchodzi ciuchtko. Z Polanki do Sulejowskiego kresu jednym małym skokiem. Staruszek z ostatniego wagonu mówi, że ma fotografię, pamiątkę narodzin ciuchci. Tysiąc dziewięćset drugi rok. Na tej fotografii są bukiety kwiecica i jest orkiestra. Orkiestra na pewno gra marsza do przyszłości. Ojcowie narodzonej dumnie kroczą peronem, dudnią oklaski, koła dudnią po szynach.

Dzisiaj nie gra orkiestra. Sulejowski peron ziele tępa ciszą. Łyżniak długo nie opuszcza wagoników, chyba żegna się z pocziwiną. Nikt mu w tym nie przeszkadza. Reporterka podsuwa mikrofon pod gwizdek lokomotywy. Ma to być ostatni, smutny i przejmujący gwizd odchodzącej kolejki. Tak nowienni brzmień. Koniec radiowego reportażu.

Koniec prasowego reportażu wygląda nieco inaczej. Rozgrywa się na autobusowym przystanku, gdzie szpetni kłnie umęczony tłumek. Potem wypycha się do przegrodnej ciężarówce, bo następny podmiejski odchodzi za trzy godziny. Asfaltowa droga biegnie obok beznadziejnie pustych szyn wąskotorówki.



Foto: Grzegorz Galasiński

Uśmiejcie się, ale są ustroje społeczne, w których rządzą najmądrzej: tak bywa wśród pawianów".

Konrad Lorenz

Na tytułowe pytanie odpowiem od razu na wstępie, że nie można żyć bez Głupoty. Wszystko bowiem wskazuje na to, że Głupota jest sprawą ludzką i odwiecznie towarzyszy człowiekowi. W życiu społecznym i jednostkowym Głupota jest syjamką siostrą Mądrości, dlatego nie sposób się od niej uwolnić. A skoro zajmuje tak ważne miejsce w ludzkim losie, zasługuje tym samym na szacunek i należy pisać jej imię z dużej litery.

Niekiedy odnoszę wrażenie, że Głupota jakby szczególnie upodobała sobie nasz kraj i naród. Wystarczy rano posłuchać felietonów Krystyny Zielińskiej, a w czasie wolnym podumać nad historią ostatnich stuleci. Warto też zapoznać się z pouczającą książką Aleksandra Bocheńskiego pt. „Dzieje głupoty w Polsce”. Ale zostawmy dawne czasy i przyjrzyjmy się niektórym dzisiejszym zachowaniom naszych rodaków.

Niedawno odwiedził mnie w domu pewien magister ekonomii. Już w przedpokoju spytał, czy znam dobrze Pismo Święte. A następnie gorączkowo polecił, żebym przeczytał odpowiedni fragment Apokalipsy św. Jana, gdzie ewangelista wyraźnie przepowiedział... tragedię atomową w Czernobylu. Sięgnąłem więc po Biblię i we wskazanym miejscu przeczytałem:

I trzeci anioł zatrząsnął:
i spadła z nieba wielka gwiazda,
płonąca jak pochodnia,
a spadła na trzecią część rzek
i na źródła wód.
A imię gwiazdy: zowie się Piolun".

Magister ekonomii wyjaśnił mi zaraz, bo musiałem mieć głupią minę, że nazwa Czernobyl pochodzi od czarnej byliny, czyli inaczej piolunu. Wszystko zatem się zgadza — powiedział — św. Jan dziewiętnaście wieków temu przewidział, że Piolun ergo Czernobyl skażi rzeki i źródła.

Kiedy zacząłem kpić i mówić o wyjątkowej wieloznaczności Apokalipsy, magister wydobyl z teczek jakąś broszurę i odczytał przepowiednię ogłoszoną w 1894 roku. Ma to być, w jego mniemaniu, tylko przekład Wroczni Sybillińskich (Oracula Sibyllina). Z trudem zachowując powagę — usłyszałem między innymi:

„Lecz czarny orzeł wejdzie na rozstaje,
Gdy oczy na wschód obróci,
Krzyżackie szereg swoje obczytuje
Z złamanym skrzydłem powróci.

Krzyż spługawiony razem z młotem padnie,
Zabarcom nic nie zostanie.
Mazurska ziemia Polska znów przypadnie,
A tu Gdańsk! port nasz powstanie!

Zdaniem nawiedzzonego magistra, który jednak żadnego pojęcia nie miał na temat słynnej Sybilli z Kume koło Neapolu, najważniejsze elementy przepowiedni już się sprawdziły, a na resztę musimy spokojnie czekać. Notabene do tej „reszty” należy również taki fragment:

„Powstanie Polska od morza do morza.
Czekajcie na to pół wieku.
Chronicz nas będzie zawsze łaska Boża,
Więc cierp i módl się człowieku!”

W rozmowie z magistrem nie ukrywałem, że zamiast owego „cierp i módl się”, wolełbym już dawne „ora et labora” (módl się i pracuj), a jeszcze bardziej ulubioną w środowiskach protestanckich formułę — „orat qui laborat” (módl się ten, kto pracuje).

Neooczytany magister nie wiedział, że przepowiednię z 1894 roku cytuję w introdukcji do książki „Czterdziesty czwarty” Zbigniewa Żaluśki. Nie wiedział też, że zbiór wyroczni Sybillińskich spłonął w 83 roku p.n.e. podczas pożaru świątyni Jowisza Kapitolńskiego w Rzymie, gdzie był przechowywany. Potem został wprawdzie na polecenie senatu odtworzony, lecz przetrwał tylko do 405 roku. Nie wiedział więc magister, że starożytni Żydzi aleksandryjscy pucili w obieg fałszywe Księgi Sybillińskie,

które później przerabiali i uzupełniali w zależności od własnych potrzeb autorzy chrześcijańscy.

Ale kompletnie zaskoczyłem mojego gościa czymś innym. Otóż przeczytałem mu pewną „proroctwa” wizję losów Europy. I zapytałem — skąd pochodzi i czyjego jest autorstwa? Oto ona:

„Zegnaj Europo! Mam widzenie
Nieprzeliczone wojska depczą ziemię
Widzę pruskich junaków jak zajmują
Kraków

Francja pobije Grecję
Grecja zajmie Szwecję
Szwecja zajmie Irlandię
Irlandia zajmie Holandię
Holandia pobije Bułgarię
Bułgaria pobije Tatarów
Francuzi pobiją Belgów
Belgia pobije Luksemburg
Monaco pobije Anglię
Somali pobije Chińczyka
Hiszpania na ziemię węgierskie
Węgry na holenderskie
Włochy pobiją Szwajcarię
Szwajcaria pobije Bawarię
Zegnaj Europo! Mam widzenie
Nieprzeliczone wojska depczą ziemię”.

Z taką przepowiednią, niestety, znajomy magister jakoś się nie zetknął. A może ktoś z

MARIAN PODLASZEWSKI

Czy można żyć bez Głupoty?

szanownych Czytelników tygodnika społeczno-kulturalnego „Odgłosy” zna imię i nazwisko autora oraz tytuł dzieła. Wśród osób, które odgadną i prześlą prawidłowe rozwiązanie na adres redakcji, rozlosowane zostaną interesujące nagrody książkowe.

Inna osoba, pewna kobieta w średnim wieku — też magister, ale farmacji — ma pretensje do niektórych dziennikarzy „Odgłosów”, że naśmiewają się z rzekomych cudów. Jed zjawieniem, cuda są możliwe i rzeczywiście coraz częściej w Polsce się zdarzają. Jeśli kto nie wierzy, niech przeprowadzi następujące doświadczenie. Należy wziąć obrazek ukrzyżowanego Jezusa i pilnie się wpatrywać w dwa punkty na ciemnowej koronie. A po kilku minutach spojrzeć na czystą ścianę. Podobno nawet osoby niewierzące ujrzą wówczas Matkę Boską.

Nie wiem, czy przy danym eksperymencie niektórzy katolicy mogą mieć takie halucynacje. Ale psychologicznie rzecz biorąc nie jest to wykluczone. Zastanawia mnie natomiast stan mentalności naszego społeczeństwa. Nawet ludzie z wyższym wykształceniem nierzadko wierzą w cudowne objawienia i proroctwa, a równocześnie mają niezwykle ubogą wiedzę religijną. Nie dziwię się już teraz, że jakiś wieść i praktykujący magister był święcie przekonany, iż w skład Trójcy Świętej wchodzi: Ojciec Święty, Matka Boska i Syn Boży...

Naiwne wierzenia i przywidzenia można tłumaczyć nawrotem fałs irracjonalizmu. Na całym świecie mówi się o powrocie sacrum. W wielu krajach obserwuje się renesans religijny i powstawanie nowych sekt. Być może oznacza to, że wkraczamy w nową epokę cywilizacyjno-kulturową. Każdy paradygmat musi przecież kiedyś wyczerpać swe możliwości. Wszystko ma granicę trwania. Antyk ustąpił miejsca mrokom średniowiecza. Średniowiecze zostało zastąpione przez odrodzenie. Potem kolejno nastąpiły odmienne formacje kulturowe: barok, oświecenie, romantyzm, pozytywizm, katastrofizm, racjonalizm doby rewolucji naukowo-technicznej.

Niezależnie jednak od cykliczności procesu dziejowego w życiu ludzkim zawsze było więcej lub mniej irracjonalizmu i więcej lub mniej Głupoty. „Postępowania ludzi — podkreśla Jan Szczepański — nie tłumaczy prawa logiki, lecz psychologia społeczna, gdyż to życie społecz-

nym, w oddziaływaniu na bliźnich i reakcjach na ich zachowanie ludzie rzadko kierują się logiką”. Józef Conrad pisał w 1898 roku, iż nie sądzi, żeby ludzkość była „immanentnie złą. Jest ona tylko głupia i ichorliwa”.

Trudno o lepszy dowód ludzkiej Głupoty niż ten, że w ciągu 5500 lat — jak obliczył pewien uczone szwajcarski — doszło do 14513 wojen, w których poległo aż 3,5 mld osób. Już po II wojnie światowej — według Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badania Pokoju — było ponad 150 wojen, w których zginęło 25 mln ludzi. Psycholog społeczny Elliot Aronson powiada: „Człowiek jest istotą agresywną. Z wyjątkiem niektórych gryzoni, żaden inny kregowiec nie zabija z taką konsekwencją i upodobaniem osobników własnego gatunku”. Niektórzy uczeni sądzą nawet, że takiej dzikości, okrucieństwa i skrajnej „zwierzęcości”, jaką spotykamy w stosunkach międzyludzkich, nie ma nigdzie w naturze.

Pierwszym bodaj myślicielem, który w pełni rozumiał znaczenie Głupoty w świecie człowieka był — zmarły 450 lat temu — Erazm z Rotterdamu. W 1511 roku ukazała się drukarni jego książka pod znamennym tytułem „Pochwała głupoty”. Jeszcze za jego życia 40 razy wydawano to znakomite i przewrotne dzieło.

Erazm z Rotterdamu był księdzem katolickim. Swą najsłynniejszą książkę napisał w formie monologu bogini Głupoty — córki młodego boga bogactwa, Plutosa, i nimfy Neotete, czyli Smarkuli (greckie „neotete” — młodość). Głupota powiada, że naprawdę to właśnie Plu-

tos jest ojcem bogów i ludzi. „Na jego to skienienie — czytamy — kotłuje się, jak niegdyś tak i teraz, raz w górę, raz na dół wszystko, co świeckie, i wszystko, co święte. Jego to wola rządzi wojnami, pokojem, państwami, narodami, trybunałami, sejmikami, małżeństwami, układami, przymierzami, prawami, sztukami, igraszkami i rzeczami poważnymi — uff, ichu mi już brak! krótko mówiąc, wszystkimi ludzkimi sprawami publicznymi i prywatnymi”.

Bezczelna Głupota utrzymuje, że jest początkiem i źródłem życia, że bez niej życie społeczne byłoby wręcz niemożliwe i nie miało by sensu. Interpretując biblijną Księgę Eklezjastes twierdzi, że autor mówił o marności nad marnościami młot na myśl to, co ona głosi, że życie ludzkie jest tylko „igraszką głupoty” i niczym innym. Nie ma zresztą ludzi bardziej szczęśliwych od tych, których nazywamy głupakami, półgłówkami, kapuścianymi głabami, blaznami.

Fortuna sprzyja osobom zuchwałym i niezbyt mądrym. Dlatego? Mądrość bowiem — twierdzi bogini — „odbiera odwagę i dlatego powszechnie widzicie, że owa mądry borykają się z ubóstwem, z głodem, z mrokiem, że żyją w zaniedbanu, w zapomnieniu, w nienawiści, głupcy natomiast opływają w pieniądzu, dostają się do steru państwa, krótko mówiąc: kwitują na wszelkie sposoby”.

Platon uważał, że szczęście w państwie będzie panowało wówczas, gdy rządzić będą ludzie uczeni bądź władcy staną się uczonymi. Głupota jednak nie podziela tego zdania. Powołując się na opinię historyków powiada, że „nigdy nie było zgubniejszych dla państwa władców niż wtedy, kiedy rządy dostawały się w ręce jakiegoś filozofującego gaduły czy mola książkowego”.

Ludzie uczeni są zresztą nie tylko w sprawach politycznych, lecz w ogóle we wszystkich jacyś „niewydarzeni”. Nie nadają się do życia towarzyskiego, zabawy, tańca, handlu. Gorzej sobie radzą w życiu z powodu: wstydu i nieśmiałości oraz poczucia strachu. Natomiast głupcy działają energicznie, bo niczego się nie wstydzą i nie domyślają niebezpieczeństw. Głupota uwalnia ludzi od paraliżujących działań nieśmiałości i strachu, dlatego głupcy chętnie biorą się do wszystkiego, a mądrzy mają skrupuły i przegrzają.

W normalnym społeczeństwie nie znosi się „mądrali”, ponieważ każde wydarzenie wprost jeży się od Głupoty i rozgrywa wśród głupców. Jeśli w historii trzeba było nakłonić masy do zgody społecznej, to skuteczne okazały się nie mądre argumenty, lecz dziecinne bajeczki. Chcąc kierować ludem, lepiej go bałamuć niż logicznie przekonywać. Bluff łatwiej się przyjmuje od prawdy.

Przykładem opanowanym przez Głupotę są ci — czytamy — „którzy się pławią czy to w słuchaniu, czy opowiadaniu o cudach i nadprzyrodzonych bajkach. I nigdy nie są syci takiego bajania o diawotworach, o widmach, upiorach, strachach, złych duchach i tego rodzaju cudownościach, w które tym chciwiej wierzą i na które ich tym bardziej takomnie świeżbią uszy, im dalsze to wszystko od prawdy. A służy to doskonale nie tylko do zabicia czasu i nudy, ale i zysk z tego bywa nie lada jaki, zwłaszcza dla kłechów i mniszyszy habi-tów”.

W kościołach pełno jest „wotów” dziękczynnych, które mają dokumentować rozmaite cuda, lecz jakoś nie zdarzyło się, żeby ktoś został wyleczony z Głupoty. Ludzie bowiem sami się oszukują i lubią być oszukiwani. A prawdziwe szczęście nie polega na takim — czy innym faktycznym stanie rzeczy, lecz na „własnym co do tego złudzeniu”. W rzeczywistości sprawy ludzkie są tak ciemne i zmienne, że nie można tu niczego wiedzieć na pewno.

Blażeńska maska Głupoty pozwoliła Erazmowi bez pardonu zaatakować Kościół rzymskokatolicki. Choć sam był kapłanem, poddał zjadliwej krytyce teologów, papieży, biskupów, księży, zakonników. Były to czasy, jak pamiętamy, żeświeczeni i krancowej wręcz demoralizacji duchowieństwa.

Srodowisko teologów przywróciła Głupota do cuchnącego bagna Kamaryńskiego. Papieży oskarżyła o kupowanie godności i obronienie jej mleczem, trucizną i gwaitem, a zapomnienie o wzorach życia chrześcijańskiego. Zdaniem bogini nie ma bardziej niebezpiecznych dla Kościoła wrogów niż bezbożni biskupi, którzy wydają szachrajskie ustawy, fałszują słowa Chrystusa i zabijają go haniebnym życiem. W ślady swych przełożonych idą księża, i nawet „golony łeb nie przypomina im, że kapłan powinien być wolny od wszystkich żądań tego świata”. Najbardziej dbają dostojnicy kościelni o korzyści materialne i przyjemności doczesne.

W naszej pierwszej encyklopedii z 1745 roku — napisanej przez „Xsiedza Benedykta Chmielewskiego Dziekana Rohatyńskiego. Firlejo-wskiego, Podkamienieckiego Pasterza” — znajdujemy takie oto śmieszne dziś, lecz bardzo sensowne twierdzenie: „Erasmus z Rotterdamu Miasta wielkiego w Hollandii... wiele złych nałóg iaców, które wysiedziały potym Marcina Luter”.

Papież Leon X (1513—1521), protektor Erazma, przeczytał całą „Pochwałę głupoty” i znakomicie się przy tym bawił. Jak to było możliwe? Otóż sprawdziły się następujące słowa zawarte w omawianym utworze: „Ma bowiem prawda urodzoną jakąś moc rozweselania, jeśli się jej nie wypowiada w sposób obraźliwy — tego jednak daru udzielili bogowie jedynie głupakom”.

Leon X, który godność kardynalską uzyskał dzięki znajomościom już w wieku 14 lat, nie wiedział wszak, że w 1518 roku Erazm z Rotterdamu w liście do Johanna Langa napisał: „Widzę, że monarchia papieża w Rzymie, taka, jaką jest obecnie, to duża chrześcijaństwa... nie wiem jednak, czy pożyteczne w publiczny sposób dotykać tego wrzodu”.

Jak z powyższego wynika, już cztery i pół wieku temu żył człowiek, który dobrze rozumiał, że bez Głupoty ludzkość obejść się nie może. Nie powinniśmy więc i my dziwić się, że w każdym aspekcie życia społecznego — od systemu rządzenia do stosunków rodzinnych i spraw najbardziej intymnych — spotykamy monstrualną ilość absurdów. Czasami nie wiadomo nawet czy śmiać się, czy płakać.

Tym zaś, którzy zastanawiają się, kto więcej popełnia głupstw — młodzi czy starsi — dedykuję na zakończenie dość przewrotny aforyzm: „Młodzi myślą, że starzy są głupi, ale starzy wiedzą, że młodzi są głupi”. Autorką owego jest słynna i popularna Agatha Christie, drukowana również w „Odgłosach”.



Rysunki Hansa Holbeina

— Och! przyjacielu, nie znasz osobników, którym usiłujesz stawić czoła — odpowiedział pułkownik wzburzony rodzajem niepokoju którego nie był w stanie opanować — nie ma takiego rodzaju zbrodni, na jaki nie powazyłaby się niegodziwa kobieta, gdy chodzi o pomśzczenie jej uroków zlekceważonych przez kochanka; ta nieszczęśliwa skieruje przeciw nam zatrute postępy swej wściekłości, i zamiast róż, jak to masz nadzieję, Hermanie, każe nam zrywać cyprysy.

Ernestyna i jej ukochany spędzili resztę dnia na uspokajaniu Sandersa, rozwiewaniu jego obaw, obiecywaniu mu szczęścia, prezentując mu bezustannie słodkie obrazy; nie nie jest równie przekonujące jak wymowa kochanków, posiadają oni logikę serca, z którą nie może się nigdy równać logika umysłu. Herman zjadł kolację u swych miłych przyjaciół, i powrócił późno, z duszą odurzoną nadzieją i radością.

Tak minęło około trzech miesięcy. Wdowa nie rozmawiała się z nim, a Herman nie ośmielił się zaproponować odeszcia. Pułkownik dał do zrozumienia młodemu człowiekowi, że zwiłoka ta nie pociąga za sobą żadnej niedogodności; Ernestyna była młoda, a jej ojciec nie był niezadowolony z dołączenia do małego posagu, jaki mogła mieć spadku po niejakej wdowie Plorman, ciotce, która mieszkała w Sztokholmie, i która, będąc już w podeszłym wieku mogła w każdej chwili umrzeć.

Jednakże pani Scholtz, niecierpliwa i nazbyt sprytna, by nie pojąć przyczyny zmartwienia młodego kasjera, pierwszą zaczęła rozmowę, i zapytała go czy przemyslał to, co mu powiedział, gdy ostatnio rozmawiali.

— Tak — odpowiedział kochanek Ernestyny — jeśli chodzi o zwrot rachunków i rozstrzygnięcie, którym chcę, pani, mówić, zgadzam się.

— Wydaje mi się, Hermanie, że wcale nie o to chodziło.

— O co zatem, pani?

— Pytałam cię, czy nie pragniesz się urządzić, czy nie dokonałeś wyboru kobiety, która mogłaby pomóc ci w utrzymaniu domu.

— Sądzę, że odpowiedziałem, iż nim się ożenię, pragnę posiadać już pewną fortunę.

— Mówiłeś, Hermanie, ale nie wierzę w to; a w tym momencie wszystkie uczucia malujące się na twojej twarzy zdradzają kłamstwo duszy.

— Och! nigdy fałsz jej nie splamił, pani, i dobrze o tym wiem. Jestem obok pani od dzieciństwa, zechciałaś zająć miejsce matki, którą utraciłam, nie obawiaj się, by moja wdzięczność mogła zgasnąć czy osłabnąć.

— Zamiast wdzięczności, pragnęłabym, Hermanie, uczucia bardziej czułego.

— Ale, pani, czy zależy ono ode mnie...

— Zdradco, czyż na to zasłużyły me starania? Twoja niewdzięczność oświeca mnie, widzę, pracowałam dla potwora... nie ukrywam już tego, Hermanie, odkąd zostałam wdową pragnęłam ciebie... Porządek, jaki nadałam twoim sprawom... sposób, w jaki starałam się, by owocowały twe zasoby... moje zachowanie wobec ciebie... czy, które mnie niewątpliwie zdradzały, wszystko perfidny, wszystko dość cię przekonało o mej namiętności, i oto jak została ona odplacona? obojętnością i pogardą... Hermanie nie znasz kobiety, którą znieważasz... Nie, nie wiesz do czego jest zdolna... dowiesz się być może zbyt późno... Odejdź w tej chwili... tak, odejdź... przystojny kochanek, Hermanie, chce ci oddać swoje i rozstać się. Tak rozstać się... nie będziesz miał kłopotów z mieszkaniem, dom Sandersa jest już niewątpliwie przygotowany dla ciebie.

Nastroj, jaki objawiła pani Scholtz dał łatwo odczuć naszemu młodemu kochankowi że należało ukryć uczucia, aby nie ciągnąć na pułkownika gniewu i zemsty tej niebezpiecznej kreatury. Herman poprzestał na spokojnej odpowiedzi, że jego protektorka się myli, że on nie chce się żenić nim nie będzie dość bogaty, i że z pewnością nie zdradza żadnych zamiarów co do córki pułkownika.

— Mój przyjacielu — mówi na to pani Scholtz — znam twe serce jak ty sam; to niemożliwe, abyś twoje odsuniecie się ode mnie było równie znaczne, gdybyś nie pałał uczuciem ku innej. Czy sądzisz, że, chociaż nie jestem już pierwszą młodą, nie zostało mi jeszcze dość wdzięku by znaleźć małżonka? Tak, Hermanie tak, kochasz to stworzenie, którego nie nawiądzę, i na którym postawię twe lekceważenie.

Herman zdrżał. Wiele brakowało do tego, by pułkownik Sanders, który wycofał się ze służby i nie ożywał w dostatkach, miał w Nordkoping takie znaczenie jak wdowa Scholtz; jej wpływy były bardzo rozległe, podczas gdy on był już zapomniany, już nie widywany pośród ludzi, którzy w Szwecji jak i wszędzie, poważają innych jedynie z racji zasług lub bogactw traktowanych jedynie jako zwyczajny osobnik którego kredyt i złoto łatwo mogłyby okraszyć i pani Scholtz, jak wszystkie niskie duchy, szybko dokonała tej kalkulacji.

Herman wziął więc wszystko na siebie i to w większym jeszcze stopniu niż czynił dotychczas; rzucił się do kolan pani Scholtz, zaklinał ją, by się uspokoiła, zapewniał że nie ma w sercu żadnego uczucia, które mogłoby zaszkodzić temu, co jej zawiadza, jej, od której doznał tyle dobra i błagał by nie myślała jeszcze o rozstaniu jakim mu groziła. W stanie, w jakim znajdowała się obecnie dusza młodego człowieka, o czym pani Scholtz wiedziała, trudno było oczekiwać czegoś więcej; zawierzyła zatem uprzedowi czasu, mocy swych wdzięków, i uspokoiła się.

Herman nie omieszkiał o tej rozmowie opowiedzieć pułkownikowi, i ów mądry człowiek, wciąż obawiający się intryg i niebezpiecznego charakteru pani Scholtz, usiłował raz jeszcze wnerwać młodemu człowiekowi, iż uczyniłby lepiej uciekać zamiarem swej chlebowadawczyni niż upierać się przy Ernestynie. Lecz dwójce kochanków użyła na nowo wszystkiego, co uważali za najbardziej użyteczne, by przypomnieć pułkownikowi obietnicę, jakie im złożył, i by skłonić go do nieustępliwości.

W takich okolicznościach minęło około sześciu miesięcy, gdy hrabia Oxtiern, ów zbrodniarz, którego widziałeś, panie, w kajdanach, w których cierpił od ponad roku i w których pozostanie przez całe życie, został zmuszony przybyć ze Sztokholmu do Nordkoping, aby odebrać wspaniałe kapitały powierzone pani Scholtz przez swego ojca, którego stał się spadkobiercą. Ta, znając stan hrabiego, syna senatora, także będącego senatorem, przygotowała



Ernestyna

rys. Janusz Szymański-Gla...

D. A. F. DE SADE

mu najpiękniejszy apartament w swym domu i podjęła starania, by go przyjąć z całym luksusem, na jaki pozwalało jej bogactwo.

Hrabia przybył i nazajutrz wirtuozna gospodyni wydała dlań najwspanialszą kolację wraz z baletem, na który miały przybyć najładniejsze dziewczęta w mieście; nie zapomniano też o Ernestynie. Nie obyło się bez pewnego zaniepokojenia, gdy Herman ujrzał ją zdecydowaną udać się tam; czy hrabia, gdy ujrzy równie piękną osobę, nie złoży natychmiast należnego jej hołdu? Herman musiałby obawiać się takiego rywala; czy Ernestyna, zakładając takie nieszczęście, miałaby dość siły, by odrzucić okazję zostania żoną jednego z największych panów Szwecji? Czyż z tego fatalnego układu nie narodził się spisek przeciw Hermanowi i Ernestynie, spisek, którego potężnymi przywódcami byłaby Oxtiern i Scholtz? I jakich nieszczęść winien obawiać się Herman? Czyż, słaby i nieszczerzy, oparłby się przed orzeł takim wrogom spryszczonych przeciw walekiej egzystencji? Podzielił się tymi refleksjami ze swą kochanką; i ta uczciwa, wrażliwa i delikatna dziewczyna, godząc się poświęcić tak frywolne przyjemności uczuciom, jakie nią zawiadły, zaproponowała Hermanowi, iż odrzuciłby zaproszenie pani Scholtz; młody człowiek był tego zdania; ale jako że w tym małym kręgu uczciwych ludzi nie odbywało się bez zezwolenia Sandersa, poradzono się go, a ten daleki był od takiej opinii. Tłumaczył, że odrzucenie zaproszenia pani Scholtz doprowadziłoby niechybnie do zerwania z nią, gdyż tej sprytniej kobiecie nie potrzeba by wiele czasu, aby odkryć przyczynę takiego postępowania, a w okolicznościach, w jakich najważniejsze wydawało się oglednie z nią postępować, tym bardziej by ją to rozgniewało.

Ernestyna ośmiela się wówczas zapytać ukochanego, czego zatem może się on obawiać, i nie ukrywa wcale bólu, w jaki pogrążają ją podobne podejrzenia.

— Och! mój przyjacielu! — mówi ta interesująca dziewczyna ścisnąc dłoń Hermana, czyż wapiasz, że, gdyby na tym zgromadzeniu znaleźli się nawet wszyscy najpotężniejsi ludzie Europy i gdyby wszyscy zapalali uczuciem do twej drogiej Ernestyny, połączenie tych hołdów mogłoby stanowić cokolwiek innego niż jeszcze jeden pokłon oddany jej zwycięstwu? Ach! nie obawiaj się niczego, Hermanie, ta, którą oczarowałeś nie potrafiłaby kochać innego; wolalabym żyć z tobą w niewoli niż zasiać na tronie; czyż wszelkie pomyślności ziemi mogłyby istnieć dla mnie w ramionach innego? Hermanie, bądź sprawiedliwy, czy możesz, podejrzewać, że oczy me dojrzą na balu jakiegoś śmiertelnika, który mógłby znacząco więcej niż ty? Pozostaw memu sercu staranie o uszanowanie ciebie, mój przyjacielu, a będziesz mi zawsze równie miły jak jesteś kochany.

Herman ucałował po tysiącach dłoń swą kochanki, przestał okazywać obawy, choć się ich nie wyżył; W sercu zakochanego człowieka tkwiła pewna przeczuć, które rzadko go zawodzi; Herman ich doznawał, lecz nakazywał im milczeć, i piękna Ernestyna pojawiła się w kręgu pani Scholtz niczym róża w otoczeniu kwiatów. Przywdziała ubiór dawnych kobiet swej ojczyzny; była ubrana na sposób Szwecji; jej dostojne i dumne rysy, osobliwie podkreślone strojem, piękna i gibka talia niezwykle uwytkniona obcisła, pozbawiona fałdy sukni, która rysowała jej kształty, piękne włosy spływające na kołczan, w dłoń luk... wszystko to nadawało jej wygląd miłości przebranej za Belonę, i mówiono że każdy kwiat, jaki niosła z gracją powinien, dotykając serc, ujarzmić je natychmiast w jej niebiańskim imperium.

Jeśli nieszczęsny Herman nie widział Ernestyny wchodzącej bez drżenia, Oxtiern, ze swej strony, dostrzegł ją z wrażeniem tak żywym, że przez kilka minut nie mógł wydobyć z siebie słowa. Widziałeś, panie, Oxtiern, to dość przystojny mężczyzna; ale jakaż duszę ukryła natura pod tą miłą powierzchnością. Hrabia, bardzo bogaty, i od niedawna pan całej fortuny, nie narzucał swym rozruchom pragnieniom żadnych ograniczeń; wszystko, co rozum czy okoliczności mogły mu przynieść jako przeszkodę, stawało się jedynie pokarmem jego potrzeby. Oxtiern, pozbawiony zarówno zasad, jak enoty, zadufany przy tym w znaczeniu zgromadzenia senatorów duma z którego powołała mu walcząc przeciw samemu monarsze, wewnątrz siebie że nie na świecie nie może narzucić hamulców jego namiętnościom; otóż ze wszystkiego, co go rozpałało, miłość była pra-

nieniem najbardziej niepomamowanym; ale uczucie to, niemal cnota w duszy pięknej, musiało stać się źródłem wielu zbrodni w sercu równie zepsutym jak serce Oxtierna.

Ten niebezpieczny człowiek, skoro tylko zauważył naszą bohaterkę, powziął natychmiast perfidny plan, by ją posiadać; wiele z nią tańczył, przy kolacji usiadł obok niej, i w końcu tak jawnie okazywał uczucia, jakimi go natchnęła, że całe miasto nie wątpiło już, iż zostanie ona wkrótce albo żoną, albo kochanką Oxtierna.

Nie sposób opisać okrutnej sytuacji Hermana, podczas gdy działo się to wszystko. Przyszedł na bal, ale czyż widząc swą kochankę w tak jawnych laskach, mógł ośmielić się zbliżyć doń choćby na chwilę? Ernestyna z pewnością nie zmieniła swego stosunku do Hermana, ale czyż młoda dziewczyna może się oprzeć dumie? Czyż może nie ulec chwilowemu odurzeniu publicznymi hołdami, i czyż jej próżność, której schlebiali, że może być adorowana przez wszystkich, mogła nie osłabić pragnienia, jakie miała wcześniej, by być wrażliwą na pochwale jednego tylko? Ernestyna widziała dobrze zaniepokojenie Hermana; ale Oxtiern stał się niewolnikiem jej uroków, całe zgromadzenie ją chwaliło, i dumna Ernestyna nie odczuwała dostatecznie smutku, w jakim pogrążyła swego ukochanego. Pułkownik również był zasypywany honorami, hrabia wiele z nim rozmawiał, ofiarował mu swe usługi w Sztokholmie, zapewniał, że ten, będąc jeszcze zbyt młody, aby się wycofać, powinien przystąpić do jakiegoś korpusu, i nadal ubiegał się o stopnie, do jakich talenty i urodzenie pozwalały mu aspirować, zapewniał, że służyłby mu zarówno w tym, jak i we wszystkim, czego mógłby pragnąć na dworze, zapewniał, że zadbałby o jego korzyści osobiste, namawiał, by tak dzielny człowiek nie oszczędzał go i pozwolił zaoferować sobie wszelkie usługi. Bal skończył się wraz z nastaniem świtu i rozstano się.

Nazajutrz senator Oxtiern poprosił panią Scholtz, by zdradziła mu więcej szczegółów dotyczących młodej Szwecji, której obraz, odkąd ją ujrzał, nie opuszczał jego zmysłów.

— To najpiękniejsza dziewczyna, jaką mam w Nordkoping — mówi kupcowa zadowolona widząc, że hrabia, krzyżując miłośći Hermana, odda jej być może serce młodego człowieka. — Prawde mówiąc, senatorze, nie ma w całym kraju dziewczynę, którą można by z nią porównać.

— W kraju — wykrzyknął hrabia — nie ma w całej Europie, pani... Czym ona się zajmuje? jakie ma zamiary... czyż jest kochanką... kto adoruje to niebiańskie stworzenie? kim jest ten, kto pretenduje, by rywalizować ze mną o posiadanie jej wdzięków?

— Nie powiem ci, panie, nie nowego o jej urodzeniu, wiesz, że jest córką pułkownika Sandersa, człowieka zasłużonego i szlachetnego; ale, o czym być może nie wiesz, i co cię zmartwi, sądząc według uczuć, jakie okazujesz, jest ona bliska poślubienia młodego kasjera z mego domu, człowieka, w którym jest szalenie zakochana, i który kocha ją równie czule.

— Taki związek dla Ernestyny! — wykrzyknął senator. — Ten anioł miałby zostać żoną kasjera!... Nie dojdzie do tego, pani, nie dojdzie do tego, winnaś przyłączyć się do mnie, aby uniemożliwić równie śmieszny związek. Ernestyna stworzona jest, aby błyszczeć na dworze, i chcę ją tam pokazać pod moim nazwiskiem.

— Ale żadnego majątku, hrabio... córka biednego szlachcica... oficera zrzędziennego losu.

— Ona jest córką bogów — mówi Oxtiern nie słuchając — winna mieszkać w ich siedzibie.

— Ach! senatorze, doprowadzisz do rozpacz młodego człowieka, o którym ci mówiłam; niewiele miłości jest równie żywych... niewiele uczuć równie szczerych.

— Rzecz, która najmniej, pani, mnie obchodzi, jest tego rodzaju rywal; czyż tak niskie istoty mogłyby zatrwożyć moją miłość; pomóżesz mi, pani, znaleźć środki, by odsunąć tego człowieka, a jeśli nie zgodzi się po dobroci... Pozwól mi działać, pani, pozwól mi działać, pomóż mi tego gwałtu.

Pani Scholtz godzi się i, daleka od tego, by ostudzać zapał hrabiego, prezentuje mu tylko te przeszkody, które łatwo przezwyciężyć, a triumf nad którymi tym bardziej pobudza miłość.

Podczas gdy wszystko to dzieje się u wdowy, Herman kłęczy u stóp swej kochanki.

— Och! czyż nie mówiłem, Ernestyno — wykrzykuje we łzach — czyż nie przewidziałem, że ten przeklęty bal przysporzy nam wielu trosk? Każda z pochwał, jakich nie szczędzi ci hrabia była ciosem szpilety, który rozdzierał mi serce; czyż wapiasz teraz, że cię adoruje i dostatecznie się zdekłarował?

— Cóż mnie to obchodzi, niesprawiedliwy człowieku — odpowiada młoda Sanders, uspokajając coraz bardziej obiekt swej jedynej miłości — cóż mnie obchodzi pochlebstwo, jakie spodoba się temu człowiekowi ofiarować mi, odkąd me serce należy tylko do ciebie; czyż sądzisz, że schlebiał mi jego hołd?

— Tak, Ernestyno, tak sądziłem, i nie myliłem się, twoje oczy błyszczały z dumy, że mu się podobasz, byłaś zajęta tylko nim.

— Two zarzuty sprawiają mi przykrość, Hermanie, zasmucają mnie, na tyle wierzyłam w twą delikatność, by nie musieć się obawiać. Dobrze, zdradź swe obawy memu ojcu, a ja zgadzam się, by nasz ślub odbył się jutro.

Herman podchwycił szybko ten projekt; wraz z Ernestyną wchodzi do Sandersa i, rzucając się w ramiona pułkownika, zaklina go na wszystko, co ma najdroższego, by zechciał nie stawiać przeszkód ich szczęściu.

Duma, mniej zrównoważona innymi uczuciami, przepełniała serce Sandersa w większym jeszcze stopniu niż serce Ernestyny. Pułkownik, szczerzy człowiek honoru, daleki był od tego, by zapomnieć o zobowiązaniach, jakie powziął wobec Hermana; ale protekcja Oxtierna zakłócała go. Dobrze dostrzegł triumf córki nad sercem senatora; przyjaciele dali mu "do zrozumienia, że jeśliby namiętność ta miała prawne następstwa, jak można by się spodziewać, nęgroda dla stałaby się niezawodnie fortuna. Wszystko to dręczyło go przez całą noc, budował projekty, ulegał ambicjom; jednym słowem, moment został źle wybrany, Herman nie mógł wybrać gorzej. Sanders bronił się jednak dobrze odmawiając młodemu człowiekowi; takie postępowanie dalekie było jego sercu; czyż mógł zresztą budować na piasku? Kto by mu zagwarantował realność chimery, jakimi się karcił? Rzuć się więc na to, co miał zwyciężać twierdząc... młodość jego córki, oczekiwany spadek po ciotce Plorman, obawa przed ściąganiem na Ernestynę i na siebie całej zemsty pani Scholtz, której, wspartej teraz przez senatora Oxtierna, należałoby się tym bardziej obawiać. Czyż zresztą trzeba było wybrać moment, gdy hrabia był w mieście? Robienie przedstawienia wydawało się niepotrzebne, i jeśli naprawdę pani Scholtz mogłaby wytrwać się takim postanowieniem, chwila, w której była ona wsparta względami hrabiego byłaby z pewnością chwilą najbardziej niebezpieczną. Ernestyna nalegała bardziej niż kiedykolwiek, serce czyniło jej wyrzuty z powodu zachowania w przeddzień, cieszyła się bardzo mogąc do wleści swemu przyjacielowi, że niesłusznie posadził ją o chłód. Pułkownik, nieprzewidykly opierał się naleganiom córki, prosił ją tylko, by poczekała do wyjazdu senatora, i obiecał, że potem, jako pierwszy usunie wszelkie trudności, a nawet panią Scholtz, jeśli stanie się to konieczne, aby ją uspokoić, czy też skłonić do rozliczenia rachunków, bez zwrotu których młody Herman nie mógłby przyzwolić zostać się ze swą chlebodawczynią.

Herman wrócił niezadowolony, upewniony jednak w uczuciach swej kochanki, choć potępiany ponurym niepokojem, którego nie nie mógł uśmierzyć. Zaledwie wyszedł, gdy u Sandersów zjawił się senator; przyprowadził go pani Scholtz, a przyszedł, jak mówił, złożyć uszanowanie czcigodnemu żołnierzowi, którego poznał w podróży gratulując sobie, i prosił o pozwolenie powitania miliej Ernestyny. Pułkownik i jego córka przyjęli go uprzejmości tak jak należało. Pani Scholtz, widząc jak rodzą się wszelkie środki służące okrutnym uczuciom jej serca, ukryła swą wściekłość i zazdrość, zaspisywała pułkownika pochwałami, schlebiała Ernestynie, i rozmowa była równie uprzejma jak tylko być mogła w tych okolicznościach.

W ten sposób minęło wiele dni, podczas których Sanders i jego córka, Scholtz i hrabia, składali sobie wzajemnie wizyty, dając u siebie nawzajem, zaś nieszczęsny Herman nie miał przyjemności brać udziału w żadnym z tych spotkań.

W tym czasie Oxtiern nie pominął żadnej okazji, by mówić o swej miłości, i panna Sanders nie mogła już wątpić, że hrabia płonie do niej gwałtowną namiętnością. Ale serce Ernestyny broniło się przed nim, a niezwykła miłość do Hermana nie pozwoliła jej wpaść po raz drugi w zasadzkę dumy; odrzucała wszystko uchylała się od wszystkiego, od uroczystości, na jakie była ciągnięta, a na które szła błagać ojca, by nie ciągnął jej na kolejną, gdy zaś się pojawiała, była zawsze powściągliwa i zamyślona. Nie minęło wiele czasu a Sanders, który, jak to ci, panie, już mówiłem, nie miał tych samych powodów co córka, by opierać się przynętom Oxtierna, pozwolił się łatwo schwytać; doszło do potajemnych rozmów pomiędzy panią Scholtz, senatorem i pułkownikiem; omawiano nieszczęsny Sandersa i sprytny Oxtiern, nigdy się zbytnio nie narażając, nigdy nie obiecując małżeństwa, zauważając jedynie, że pewnego dnia musi do tego dojść, tak oczarował Sandersa, że ten obiecał mu nie tylko odrzucić zabiegł Hermana, ale także zdecydował się opuścić samotną siedzibę w Nordkoping, aby przybyć do Sztokholmu celem skorzystania z kredytu, jaki tamten mu zapewnił i zaszczęty, jakimi miał zamiar go obsypać.

Ernestyna, która w tym czasie rzadziej widywała swego ukochanego, nie przestała jednak doń pisać, ale jako że wiedziała iż jest on zdolny wybuchnąć, i jako że chciała uniknąć scen, ukrywała przed nim starannie wszystko, co się działo; nie była zresztą jeszcze pewna siłowości swego ojca; nim miała o czymkolwiek zapewnienie Hermana postanowiła wyjaśnić sytuację.

Przekład:
BOGDAN BANASIAK

C.D..

Mnożą się ostatnio eksperymenty różne, a co za tym idzie do anarchii się mnoży! Czyha anarchia za biurkami prominentów, w ciałach (że się tak zmyśli) wybrańców wybieralnych i doradczych, w tzw. najszerszych kręgach też, że nie wspomnę o opozycji, co ją generalnie Kiszczak razem z obywatelami Generalnym Prokuratorem zlekceważył i z pudła powypuszczał, nie przyspieszając jak szkolny woźny, co chłopaków z kozy przed upływem godziny lekcyjnej zwolnił.

Najpierw eksperyment niesłychany zęby wyszczerzył w uśmiechu złowieszcym na rynku mięsny: chłopcy sobie mogą do miasta przyjechać i mięsem handlować jak — wstyd powiedzieć — za caratu albo jeszcze gorszego jakiegoś reżimu. Co gorsza, ten niesłychany eksperymentalny eksperyment, to nowatorstwo niebywałe, to nowinkarstwo niebezpieczne się przyjęło! Taki jeden z drugim, zupełnie poza urzędową reglamentacją kupuje sobie a to schabu na kotlety, a to wołowinki na befszytk tatarski! Bez wstydu, rozbuchana konsumpcja, kapitalistyczne wzory, no po prostu pornografia wolnorynkowa i brak solidarności z głodującym ludem pracującym trzeciego świata!

Jakby tej anarchii i rozpasania było mało, to jeszcze władze wojewódzkie w różnych regionach kraju posły na kolejny eksperyment: zlikwidowały rejestrację kartek na mięso w sklepach! Kupuje sobie taki zanarchizowany obywatel parówki w jednym sklepie, wołowinę z kością w innym, a już zupełnie gdzieś indziej szyneczki czy poledwiczki! Zupełnie samopas i bez żadnego dozoru, jakby żył w pustyni i w puszczy, a nie w cywilizowanym kraju środkowej Europy, u schyłku XX stulecia. A władza centralna też jakby tego nie widziała: toleruje tę anarchię, jakby to nie był poważny handel tylko jakiś teatr eksperymentalny, jakiś „Cricot 2” albo i co gorszego jeszcze...

W imieniu własnym i dwóch i innych poważnych i lojalnych obywateli, którzy podzielają mój niepokój, niniejszym stanowczo

Felieton
pe-
symistyczny

Atestacja ci ja...

Szanowny Panie Redaktorze
W pierwszych słowach swego listu jak zwykle przesyłam moc pozdrowień i uścisków dla Sześci i całego Zespołu, dziękując za tę piękną, szarą „kufajkę” i filcowe butki. Faktem jest, że u nas też jeszcze nie grzeją — palacz na razie sieje jakieś polony czy oziminy i nie ma czasu na głupoty...

Poza tym grzecznie, przepisowo i bardzo porządkowo: bez awantur chodzący spać po dzienniku, żadnych krzyków czy fingowanej deliracji, a niektórzy z kolegów nawet rano zęby myją. Wszystko dlatego, że ma być przeprowadzana ta nieszczena atestacja stanowisk! Młodzie, co tu długo miejsca nie zagrali — zagrożenia nie czują, ale my, stare wygi, racydujemy — wiemy czym to pachnie. Dodatkowe rozmowy, testy, jakieś badania i — siup, wypiszą do domu jako zdrowego lub — w najlepszym razie — jako nie zagrażającego społeczeństwu. A tego wielu z nas mogłoby nie przeżyć. Każdy więc czujny, grzeczny, usłuszny, ale też i — schorowany, pilnie co podadzą, lęka każdą pigułkę i o następne prosi.

Wczoraj przyszli nowego. Ni by pacjent, a ponad godzinę i Łysola w gabinecie przesiedział i zza drzwi kawał zalał. I podżamę ma własną. Ciekawe... No, więc siedzi grzecznie w naszej salce telewizyjnej, leci właśnie interesujący wiele koncert z Warszawy. Jestem. A my nie nie przygadujemy, żadnych żartów z tych natchnionych grajków, każdy udaje, że rozumie i szalenie mu się to pitolenie podoba. Nowy — w pierwszym rzędzie, a poza tym ta świadomość atestacji wiszącej nad głową. Bardziej przerażająca niż pozycja faceta z kontrabasem na ekranie.

Przestali na chwilę, pewnie żeby oddechu przed kolejną porcją „muzyki” zacerpnąć, a my, eleganie, spontanicznie — małe brawka. Przemyśle trochę, ale i sympatycznie się jakby zrobiło.

— Pięknie wzięli tę fugę... — westchnął natchniony Nowy.
— Chociaż to fortissimo drugich skrzypiec jakieś nieszczena... — przypalił odważnie kolega Lameta.

— Coś pan! Nieszczeret Lepszego wejścia po kotłach i rożku w życiu nie słyszałem. Nowego aż w krzesło rzuciło. — Słowo honoru budowlanica! No i wyszło sztydo z worka. Bo magister B. miał wczoraj małe wyjście i przyniósł wiadomość, że jakiegoś prezesa od domków czy innej wielkiej płyty mają taktownie na nas skierować. Teraz B., nie bacząc na miecz atestacji, radośnie zarechotał:

— Ależ panie prezesie, bez pustych słów i nic nie znaczących zwrotów!

I zacytował bardzo ładną przysłówkę, jego własną zresztą, z odbioru, bodaj po dziesięciu latach oczekiwań — tak zwanego segmentu, czyli domku własnego, choć z wielkiej płyty. Rarytas był w stanie surowym, czyli wokół betonu, a prezesowi spółdzielni strasznie zależało by magister mu odbiór podpisał, bo się kwartał kończył. Ale ten nie kłep, parę ładnych lat w sanatorium spędził i swoje doświadczenie posiada. A tu: ściany krzywe, drzwi się nie domykają, kaloryfery nie podłączone, a w kuchni — wielka dziura w podłodze. W sumie roboty dla dobrej brygady na parę tygodni. A prezes tłumaczy, żeby magister podpisał, bo jutro wszystkie usterki zostaną usunięte. I on na to daje słowo honoru budowlanica!

Bardzo nam ta opowieść humoru poprawiła, no a poza tym, okazało się, że co znowu Nowy. Któryś z chłopaków odważył się nawet wzięcie na drugi program przetrząść, co sprytnie nasz honorowy budowlaniec wykorzystał i a propos zauważył:

— Teraz w tych szkołach to takie dziwne metody mają... U

mojego chłopaka na przykład to na przerwach dzieciaki trzy mając się za ręce karnie chodzą w koleczko, a pośrodku stoją uczciwie, wesoło plotkując i popalając papieroski.

— I jaka była pańska reakcja? — zaciekałem się.

— Wpadłem do dyrektorki sugerując, że się w szkole marnuje, gdyż na nią i tak ładnie przeszkolony personel oczekują karne obozy pracy. Swojemu chłopakowi zaś kazałem wyjść z tego ogłupiającego kręgu i pobić na dziedzińcu...

— Męska decyzja — przyznał kolega Lameta — już one tam z pańskim chłopakiem zatańczą, z pewnością okaże się mało zdolny i krnąbrny. Moją pierwszą klasistką na lekcji „wuela!” lepsza niespodzianka spotkała: sala zimna, bo nie palił jeszcze, a pani przed szpalierem dygoczących maluchów wykonała godzinny wykład na temat czekających ich zajęć gimnastycznych w roku bieżącym...

— To i tak dobrze, że nie mieli wykładu na dziedzińcu — włączył się zresztą do dyskusji Prezes Szaruga — bo w szkole mojego Janusza to...

Nie zdążył, w progu ukazała się Halinka, czyli siostra przełożona. Elegancka, w swym świeżo wykrechmalonym kitlu, piękna i wyniosła, choć z dozą seksu, bo kitel wszędzie porozchylał i przeświadczał całkiem wyraźnie. Tylko oczy nieczym zimna stał i ten niecierpliw ruch ręki:

— No, chłopcy, chyba wystarczy na dzisiaj? Chyba nie zamierzacie filmu oglądać? Co? — Ależ skąd, droga siostrono... — magister jako wytrawny łuz wyrwał się pierwszy. Krzesło wsunął, telewizor zgasił, kolegów popędzać począł. Karacie, gęsięgo ruszyliśmy do swych sal.

— Łykamy piguleczki, siusiu i lulu. Za pół godziny sprawdzić — Halinka też jakaś nemiła, dziś wyjątkowo. Mrugnęła do mnie nieznacznie, gdy ją mijaliśmy:

— Uwaga, panie Stefanie, jutro ma przyjechać jakaś komisja atestacyjna...

STEFAN ŻYCIOWY

2

Czy Janda zagra Tarę?

Telewizja nasza najukochańsza skrzywdziła nas ogromnie, jak te dziewczynki z zapalnikami zostaliśmy na ulicy — sieroty ofiary niejakiego Trunkwaltera (jego poprzednik nazywał się Walter, ale nie należy z tej różnicy w nazwiskach wyciągać jakichkolwiek wniosków) z otwartymi ustami zostaliśmy i opuszczonymi rękami: nie ma, dalszego ciągu losów naszej ukochanej australijskiej miss Polonia, córki krokodyla i kangurzyca, matki niezłomnej (tylko orientacyjnie ustalonej) liczby pięknych, dorodnych dzieci płci obojga, właścicielki ogromnej ilości biżuterii, futer, kapeluszy i innej konfekcji, niepożądanie panującej nie tylko w Harper's Minning, ale w naszych sercach, obecnie pokrytych kirem, krwawiących i nieutulonych w żal!

Co się stało? Ano, trudności obiektywne, jak zwykle w takich razach. Podobno aktorzy się gdzieś porozkładali i nie sposób ich do kupy skrzyknąć. Bardzo widać, ponieważ podejrzewam, że nie ma ich kto skrzykiwać: producent spłajnotwał i ukrywa się w Ameryce Południowej, autor scenariusza oszalał i w klinice psychiatrycznej wmałwia całemu personelowi bliźsze pokrewieństwo z rozległą rodziną Harperów, reżyser odsiaduje kilkuletni wyrok za znęcanie się nad zwierzętami i telewizorami. We wszystkim jeszcze maczał palec — prezes Australijskiego Komitetu ds. Radia i Telewizji, podejrzany o branie i rozdawanie łapówek oraz o to, że spędzał zupełnie prywatne weekendy w „Edenie”, gdzie się kąpał na golasa z kolorowymi hostessami. A wszystko za społeczne pieniądze, w znacznej części wyciągnięte z katorżniczych prac Papuasów i Aborygenów.

Jednym słowem: król Salomon jest nag i z próżnego też nie należy...

Cóż teraz pocniemy? Ano, nasi znakomici filmowcy, reżyserzy i operatorzy, wsłuchani w powszechny jęk ludu mają nam zrobić na rękę i nakręcić dalszy ciąg! Tak szlachetny cel powinien spotkać się z szerokim społecznym odzewem, wywołując wypróbowaną ofiarność naszego społeczeństwa i pociągając za sobą falę czynów społecznych i dobrowolnych składek, najlepiej w walutach wymiennalnych, mogą być funty australijskie. Jako jednostka pozbawiona wyżej wymienionych walut, a chcąc też przyłożyć rękę i dać — komu trzeba — swoją cegiełkę, postanowiłem w czynie społecznym, całkowicie bezinteresownym (kierownictwo redakcji prosi, żeby nie potraktowało tego tekstu jako darowizny) odstąpić kilka pomysłów na scenariusz zakończenia, razem z propozycjami obsady. Rzucam pomysły, a Wy Panowie reżyserzy, łapcie je i czerpiecie — rzecz można — pełnymi garściami.

Oto pomysł pierwszy, jeśli za reżyserię wzięliby się laskawie sam książę polskiego filmu, Andrzej Wajda: Oto okazuje się, że Stefania Harper nazywa się naprawdę Stefania Harperska, była legendarną wręcz łączniczką w podziemiu w latach czterdziestych w Polsce. Następnie, skazana za zamach na sekretarza PPR w prowincjonalnym mieście wojewódzkim odsiaduje wyrok. Krótko, bo ucieka na białym koniu (Duma Tary), osiada w Australii i adoptuje całą masę wojennych sierot. Tak naprawdę, to ma tylko jedno dziecko naturalne, niejakiego Dana Marshalla, które urodziła po krótkim, ale burzliwym romansie z generałem amerykańskim, autorem planu Marshalla. W Australii znana jest szeroko jako „kobieta z marmuru”. W roku 1980 wraca potajemnie do Polski, podejmuje pracę w Stoczni Gdańskiej — wiadomo, czego dokonuje...

Obdarzona Nagrodą Nobla i Złotą Palmą w Cannes, już pod nowym przydomkiem „kobieta z żelaza” znów znajduje się w Australii. Demaskuje się, przeznacza znaczną część majątku na pomoc dla głodującej inteligencji polskiej i u miara opatrzoną świętymi sakramentami.

Stefania zagra oczywiście Krystina Janda, Marshalla Sylvester Stallone, a ciocięzkę Jilly (przebranego agenta SR) Bronisław Cieślak. Konia zagra koń, który w ostatnim ujęciu będzie samopas przemierzał puste ulice Sydney.

Reżyser Krzysztof Zanussi, jeśli podejmie się ekranizacji dalszych przygód Tady, zaangażuje do jej roli Małę Komorowską, natomiast rolę Jilly odda zapewne aktorce francuskiej Leslie Caron. Siostry pogodzą się, pod wpływem zamaskowanego franciszkanina oca Dana, forę zapiszą Kościółowi i w habiatach notyfikszek pojedają na pielgrzymkę do Rzymu. W ostatnim ujęciu ujrzymy obie uśmiechnięte na audyencji generalnej u Ojca Świętego. Amen.

W filmie reżysera Poręby również (jak u Wajdy) wystąpią akcenty historyczno-polityczne związane z Polską. Stefania, cudem uratowana w wypadku samolotowym córka generała Sikorskiego, prowadzi chytrą wywiadowczą grę z niejakim Amalem, krypto-Arabem, w rzeczywistości agentem wywiadu izraelskiego i CIA. Demaskuje go, wraca do kraju, gdzie jest owacyjnie witana. Gigantyczny wiec na jej cześć odbywa się na polu bitwy pod Grunwaldem. Wystąpią mało znani aktorzy krajowi i bulgarescy.

Reżyser Franciszek Trzeciak skupi się na postaci Angeli — chłopaka z nizin, wspaniałego boksera. Popisowa rola Ryszarda Filipskiego, a może nawet samego Trzeciaka? Posiadają Tarę, a także Netto i Brutto oraz wszystkie inne dziewczyny. Zbogaci się, wykupi Eden i będzie kręcił filmy. W Australii na szczęcie!

W Polsce natomiast będzie kręcił znów Jerzy Passendorfer. Wróci z placówki zagranicznej! Może, dla utrzymania równowagi, wysłać znów na placówkę któregoś z reżyserów? Może do Australii, albo jeszcze dalej? Jak najdalej od kamery!

T. LEWITZ

3

Sport

Nie pomogą gwizdy

W Bydgoszczy kibice gwizdali. Nie podobają się im gra naszej reprezentacji. Nie podobają się im debiut trenera Wojciecha Łazarka i jego chłopców. Trenerowi też to się nie podobalo. Każdemu by się nie podobalo.

Najdowcipniej ujął to sprawozdawca „Expressu Wieczornego”. Swoją korespondencję z Bydgoszczy zatytułował: „21 piłkarzy na... 11 i jeszcze nie dali rady”. Wojciech Łazarek może długo i wyczerpująco tłumaczyć, że musiał wszystkich wypróbować, sprawdzić, jak są zgrani, kto jak spisyje się na takiej czy innej pozycji, ale kibic widzi to, co widzi i zgrzyta zębami lub gwizda. Tylko że gwizdaniem niczego się nie zmienia.

Prawdę trzeba spojrzeć śmiało w oczy. Reprezentacja, która miałaby wygrać eliminacje do Mistrzostw Europy nie istnieje. Jest dopiero w trakcie budowy. Wojciech Łazarek musi ją stworzyć. Nie robi tego do 15 października, kiedy to w Poznaniu nasi powinni wygrać z Grecami. Nikt nie ma pewności, czy ich na to stać. Boję się, że Wojciech Łazarek też nie ma takiej pewności.

Jeśli nasi przegrają jednak z Grecami w Poznaniu, to muszą później wygrać, aby wyjść na swoje, czyli znaleźć się na czeluście eliminacji tabeli. Czy nasza reprezentacja jest już na tyle silna i ukształtowana, aby zadanie to mogła wykonać? Wszystko wskazuje, że nie.

„Życie Warszawy” zrobiło bardzo ciekawe zestawienie. Porównano zdobyte i stracone gole przez polskich piłkarzy pod rządami różnych trenerów. Za czasów Kazimierza Górskiego rezultat był korzystny — 94 gole więcej. Pod wodzą Ryszarda Kułesy nasi piłkarze strzelili 26 golów więcej niż stracili, za czasów Jacka Gmocha — 20 więcej, a kiedy drużyną opiekował się Antoni Piechniczek przewaga wyniosła tylko 3 bramki. Zestawienie pokazuje to, co każdy kibic może zobaczyć na własnym meczu. Nasi odczytali się strzelali gole. Ostatnio, co jakby zmieniło się w tej dziedzinie, ale to jeszcze mało, aby na tym budować optymistyczne wizje. Natomiast nasi zawodnicy, którzy grali w zagranicznych klubach strzelają z powodzeniem. Nasuwa się ślad prosty wniosek. Władze do reprezentacji zawodowców, skoro stali się tak dobrymi strzelcami. Ale Wojciech Łazarek jest jakby niezdeterminowany. Chciałby budować reprezentację tylko z krajołców, ale nie bardzo może na nich polegać.

Zbigniew Boniek w Wywiadzie udzielonym Ryszardowi Żyryńskiemu ze „Sztandaru Młodych” rzeczył ujął trafnie. Powiedział mianowicie: „Trzeba pytanie sformułować inaczej, CZY CHCECIE BY BONIEK JESZCZE W REPREZENTACJI WYSTĘPOWAŁ? Mówię „chcecie” nie dlatego, bym oczekiwał ukłonu i namów w styl: „PANIĘ BONIEK, NIECH PAN BĘDZIE ŁASKAWY”. Mówiąc czy chcecie, pragnę zapytać wszystkich, którzy myślą, kibicują i pracują z reprezentacją, czy widzą w niej miejsce dla mnie”. Jest to zatem pytanie o koncepcję reprezentacji.

Przeciw zawodowcom wysuwa się taki argument, że oni wpadają na dwa dni przed meczem i nie mają czasu na zgranie się z resztą drużyny. Ale w innych krajach też tak się dzieje i nie są to jakoś złe reprezentacje. Z tego, co często widzę na boisku chodzi zupełnie o coś innego. U nas przywiązuje się dużą wagę do treningu, ale na boisku nasi szybko się meczą. Dużo trenują, mało umieją, mają lichą kondycję. W innych krajach więcej uwagi przywiązuje się do techniki gry. I później okazuje się, że nasi zawodowcy, którzy nauczyli się już inaczey grać, nie mogą zgrać się z zespołem. Ale wcale nie dlatego, że późno przyjechali, tylko że poziom gry jest inny. Zmiany trzeba wprowadzić w klubach. Na obozach nie naprawi się tego, co psuje się w klubach.

Może zatem — proponuję — śmiało — nie przywiązujemy tak wielkiej wagi do eliminacji do Mistrzostw Europy, których do tej pory nigdy nie udało się nam wygrać i zacinamy dobre i planowo przygotowywać się do Mistrzostw Świata.

Powołanie Włodzimierza Smolarka do reprezentacji — o czym donosił „Dziennik Łódzki” — dowodzi, że Wojciech Łazarek nadal nie może się zdecydować na rozwiązanie dylematu: czy reprezentacja tylko z krajołców, czy mieszana? Zobaczyć jak ten brak zdecydowania odbije się na grze piłkarzy w Poznaniu.

BOGDA MADEJ

Wybieramy doktorów!

i z naciskiem stwierdzam, że daleko w ten sposób nie zajdzie. Historia zna liczne przykłady całych państw i narodów, które upadły na skutek braku dyscypliny społecznej, wzmożonej konsumpcji i absurdałnego przerosu praw jednostki, która to jednostka do zbyt daleko idącej wolności nie przywykła i od nadmiaru swobód w głowie jej się przewraca.

Ale co pomogą nasze protesty i ostrzeżenia? Eksperymentatorstwo się pieni i anarchia triumfuje, nie bacząc na przestrogi i głosy rozsądku. Oto w Łodzi znów wyklikował anarchiczny i wielce niebezpieczny pomysł eksperymentatorów — pacjenci w uspołecznionej służbie zdrowia mogą sobie iść do lekarza, który im się podoba a nie do tego, który im przypada z rejonizacji! Świat się wali! Nijakiego porządku i poszanowania dla usług Eskulapa i zdobyczy społecznej, jaką jest niewątpliwie uspołeczniona i przyzwolona zrejonizowana służba zdrowia. Na szczęście eksperymentatorzy odrobnie wyobraźni widzą jeszcze mają, bo tego całkiem wolnego wyboru jednak nie wprowadzili, chwala Bogu. Na szczęście jeszcze nie można tak, jak w jakimś kapitalistycznym kraju iść sobie do jakiegokolwiek lekarza ze swoją grypa czy przepukliną i żądać bezcełnej zbadania, diagnozy, recepty i druku L-4. Tak że jeszcze nie jest. Kto chce sobie przebieierać w doktorach jak w uległościach, musi najpierw iść do przychodni w swojej dzielnicy i tam się zadeklarować, że życzy sobie być stałym pacjentem doktora Iksńskiego, który łagodny jest człowiek, zwolnienie da, a nawet zagraniczny lek zapisze, a nie do tej zolzy, dr Igrkowej, która zwolnienia daje niechętnie, zabrania pić i palić, każe się gimnastykować i zadaje alie to żadnej troski o pacjenta nie objawia. Pacjent wybiera. Jeden pacjent, drugi, trzeci — wszyscy sympatycznego doktora Iksńskiego. Aż pani rejestratorka powie: — Stop! Limit na dr Iksńskiego mam wyczerpany, reszta do pani doktor Igrkowej!

To właśnie mi się to podoba. Prawo wyboru? Owszem, proszę bardzo, ale w granicach rozsądku! Porządek musi być... i dlatego właśnie różne panie w wieku balzakowskim i postbalzakowskim nie mogą sobie wybrać doktora Kildare ani doktora Marshalla. różni dwojgonie nie będą mieli okazji spotkań z sympatycznym dr Strossmayerem przyjmującym w „Szpitalu na peryferiach”, a koleżanka red. Agata nie zapisze się ze swoją arcyrasową suką do doktora Doolittle. A figo! Do wyboru mamy tylko tych z naszej przychodni.

Nasuują się tu różne wątpliwości. Pierwsza, to taka, że każdy lekarz ma określoną specjalność. Dajmy na to obywateli pacjent skarży się na reumatyzm. Wybiera odnośnego specjalistę, a tu mu wątroba wysiada albo nogę złamie. I co wtedy? Z wątroba i złamaniem też będzie chodził furt do tego samego reumatologa? Druga wątpliwość jest jeszcze poważniejsza. Chodzi bowiem o przynależność do państwowego dokumentu pt. dyplom ukończenia studiów medycznych. Ja się pytam, czy po to poważni profesorowie, nierzadko członkowie najróżniejszych akademii i towarzystw naukowych, niejednokrotnie odznaczani wysokimi orderami państwowymi i resortowymi położyli na tym dokumencie podpis, żeby teraz, w wyniku anarchizacyjnego eksperymentu, były lachudra bez podstawowego wykształcenia albo nawet jednostka karana sądownie i kryminalnie mogła sobie powiedzieć: Ja się u tego lekarza leczę i nie będę, tamten mi odpowiada jak najbardziej!

Osobiście nie wybierałem żadnego lekarza. Mam nadzieję, że zajmie się mną troskliwie, kiedy przyjdzie na to czas, wysoko kwalifikowany anatomicznym... Póki co, mam takiego jednego już upatrzonego, staram go sobie zjeżdżać na placzkę z towarzyszką. Co do chirurgów, kardiologów, gastrologów, psychiatrów i onkologów to zawiadamiam uprzednio kogo trzeba, że sobie nie życzę...

Jeśli już przy doktorach jesteśmy, to pozdrawiam serdecznie doktora Grzegorza Gazdę i doktora Edmunda Lewandowskiego z redakcji Odgłosów. Tych wybieram, bo mnie Bóg przed innymi, nawet przed niedoszłym medykiem red. J.K. (nazwiska nie podam, oszczędzę mu wstydu), który to dzięki młodzieńczej lekomyślności i karygodnemu lenistwu nie ukończył był w swoim czasie studiów na Akademii Medycznej i teraz musi pisać recenzje teatralne...

Clarki po grzbiecie maszerują, kiedy się pomyśli, że taki eksperyment można przenieść na inne dziedziny życia: wybierać sobie listonosza, milicjanta, który wrzuci mandat, sędziego, co ma posadzić i wałnąć grzywnę, nauczyciela itp. A może nawet żony i mężów zmieniać według własnego widzimisie? Jak wolność to wolność! Tę, anarchia i tyle. Jakby wyborów miss było mało.

ANDRZEJ KAROL

PS. Skoro już jest „tyń trynd” na wolne wybory to ja skończam: Zawiadamiam niniejszym moich wszystkich wierzycieli, że długi będę oddawał po uprzednim dokonaniu wyboru — wierzyciele naczalni, nieustannie przypominający mi o terminach płatności, zostaną skreśleni z listy i długi wobec nich zaciągnięte uznaję za umorzone na mocy amnestii.

A. K.

Agonia w błysku stu słońc

Jacek Sawaszkiewicz

(21)

I zdanie po zdaniu, choć nikt jej nie wypytawał, nikt jej do zwierzeń nie zmuszał — może pod naporem tego, co od południa w niej tańczyło, a teraz wezbrane cisnęło się do krtani — zaczęła opowiadać o swoich snach. I o swojej matce. I o Eliście.

— Trochę muzyki? — zawołał kierowca. Wiozł ich od Evansville; rano przejeżdżał tam kierownicę od mrukiwego mężczyzny, który prowadził autobus tak, jakby pilotował ciężki bombowiec nad terytorium wroga. — Hej, ma ktoś ochotę na trochę muzyki?

Ira pochylała się w stronę Nicholasa. Chaotycznie i z dygresjami opowiadała mu o okresie, kiedy budziła się ze strachem, że jest w ciąży, o przebytym w serii snów porodzie cesarskim, o czarnym noworodku, o jego tajemniczym zniknięciu, o wniesionym przeciwko niej oskarżeniu o morderstwo, o toczącym się procesie poszlakowym.

— Te sny tworzą logiczny ciąg — wyjaśniła — jak rozdziały powieści. Nie, raczej jak odcinki serialu, bo każdy następny rozpoczyna się krótkim streszczeniem poprzednich.

Potem opowiedziała mu o swojej matce, która w jej snach przedzierała się z postaci w postacie, występując w roli ginekologa, akuszerki, współzinciera zbrodni, prokuratora.

— Leżała w szpitalu nieprzytomna, leżała tam jak pień drzewa wyrwany od środka przez termity, ale w moich snach była pełna życia. Nadal jest, chociaż już dawno trzasnęła kopytami. Nie się nie zmieniło po jej śmierci, teraz nawet energicznie prowadzi to prywatne śledztwo. „Opiekuję się tutaj” — mówi — „twinim czarnym dzieckiem. Chłopczyk poznaje coraz więcej słów i bliski jest dzień, kiedy wyjdzie nam prawdę o twojej zbrodni, o tym, jak go zabiłaś”. Skończyła mi się whisky.

Nichol sięgnął za siebie po butelkę.

— Ty masz dzieci? — spytał z wahaniem.

— Ależ skąd! Nigdy nie byłam bodaj w ciąży! — Jej głosny wybuch sięgnął na nich spojrzania współpasażerów.

— Och, przepraszam... Oczywiście, że miałam dziecko, musiałam mieć, ale... Och, pomyślisz, że jestem kopnięta.

— Mów dalej, Ira, proszę.

— Po prostu musiałam je mieć. Nie teraz, ale w poprzednim wcieleniu. Jestem kopnięta, co?

— Wcale tak nie uważam.

— Ja naprawdę miałam to dziecko. Wiem o tym. Wiem, że w poprzednim wcieleniu byłam dziewczyną z dużym temperamentem. Mój chłopak służył w wojsku. Jego jednostka stacjonowała gdzieś w Europie, czy na Błędach. Właśnie, przytłaczał do krawa, żadko, więc znalazłam sobie kochanka. Murzyna. Zaszłam z nim w ciążę, ale byłam przekonana, że nie on jest ojcem tego dziecka. Dopiero po jego urodzeniu. Rudziec wysłał mnie na południe, do jakichś krawych, do i właśnie tam z tym czarnym bachorem...

zobliła koniec.

Nichol z namysłem wypilił kłokociej.

— Wierzę, że tak mogło być — powiedział.

— A ja wiem, to na pewno — odparła Ira.

Zobaczyła, że on powoli kręci głowę.

— Nikt tego nie wie na pewno.

— Eliście.

— Eli? A co on ma z tym wspólnego?

Znowu podsunęła mu kubek i poczęła, aż naleje jej whisky.

Tydzień temu — odrzekła — oglądałam Eliasa w tv. Wyglądał jedno ze swoich kazań. Telewizor był ściszony i nie mogłam zrozumieć. No, podniosłam się żeby nastawić go głośniej, tylko się podniosłam i wtedy nagle usłyszałam je-

go głos. Głos Eliasa. Mówił szeptem, ale ten szept rozlegał się w całym pokoju, dochodził zewsząd i czułam, że nikt poza mną go nie słyszy. „To dotyczy ciebie” — mówił.

— „Wiem, że cierpisz i znam przyczynę twojego cierpienia. Przyjdź do mnie, a ja ci pomogę”.

— On to mówił zawsze — zauważył Nichol. — Może twój sąsiad zza ścian miał telewizory ustawione na ten sam kanał.

— Nie, Nichol. Ja potrafię odróżnić głos przytłumiony od szeptu. A w dodatku on powiedział jeszcze coś, co było przeznaczone wyłącznie dla mnie. „Tutaj jest twój mały synek i tutaj znajdziesz ukojenie”.

Ira wyciągnęła przed siebie nogi i odgarnęła włosy z czoła, rozczesując je spocnymi palcami.

— No więc, Nichol, ja jadę tam do niego. „Tam znajduje ukojenie”.

Sierżant Chip Dennis, który na terenie „Trójkąta” leżał w cieniu transportera, blisko dolka wygrzebanego w ziemi, także potrzebował ukojenia.

— Mamuniu — powiedział do swoich żołnierzy, chromolonych rypaczów — pomóż mi rozsadza. Jak nie pojedę do miasta, sperma mi padnie na mózg.

— I mógłbyś przywieźć kilka butelek — zawołali ci rypacy jeden przez drugiego.

Z „EWANGELIARZA ELIASA”

Do trzydziestej drugiej sekundy, po godzinie „G”.

50 kilometrów od punktu „0”.

Pioniera pani Leinster w pionącym samochodzie ostatni raz zachęcała z braku powietrza i z nadmiaru dwutlenku węgla, ostatni raz kopnęła nogami w przedmiernych drgawkach, po czym uciła na wieki wieków. Nadajnik, którego funkcję pełniła, pozabawiony został dopływu energii i zamilkł.

Stacje przekaznikowe działały jednak nadal. Panowało wśród nich rozprężenie, bo każda pracowała teraz według własnej koncepcji, na własnym paśmie, śląc w eter własne błagania, apele, zaklęcia, jakby to właśnie ona, tylko ona była czymś najważniejszym we wszechświecie, jakby to właśnie ją, tylko ją należało ocalić. Tymczasem ta, którą rzeczywiście należało ocalić i której dane będzie przeżyć ten nuklearny konflikt, zachowywała umiar i skromność w mowie i w czynach. Florence klęczała w zaroślach pod kępą drzew, wstrząsana urywaniem spazmami, patrzyła na obłoczki pary wodnej dobywające się z porów ziemi. Jako nadajnik wciąż była sprawna, ale zamiast stać w eter błagania, apele i zaklęcia, stała coś, co można by ująć za jej indywidualny sygnał rozpoznawczy zawarty w jednym słowie. Słowo to brzmiało tak:

— Kur-de!

A powtarzane nieustannie, w regularnych odstępach czasu, z jednakową determinacją i rozpaczą, tworzyło sygnał ciągły, który brzmiał tak:

— Kur-de! Kur-de! Kur-de!

— i tak dalej.

W tym też brzmieniu sygnał ten dotarł do Światłistej Postaci wiodącej duszę pana Leinstera i wskroś wspaniałości Królestwa Bożego i wywołał na Jej Świętym Obliczu uśmiech dobroliwy, bo rzadko słyszała.

Ona słowa równie niewinne i bezinteresowne. O ile częściej dochodziły do Niej wyrachowane modlitwy, obłudne pochwały, niskie prośby, chwiejące żądania oraz ziorzenia i obelgi.

— te ostatnie przynajmniej szczere. Niebo było we wszechświecie miejscem najbardziej ze wszystkich miejsc wynoszącym i pociągającym, błogosławionym i przeklinanym, adorowa-

ny i pogardzanym, wielbionym i nienawidzonym.

— Bóg z tobą, moje dziecko — rzekła Światłista Postać, ale wypowiedziane głosem przepojonym stodołą życzenia to nie przeniknęło do umysłu Florence.

Stalo się tak dlatego, że Florence była zbyt oszołomiona, zbyt pochłonięta sobą, własnym strachem i cierpieniem. Nadal klęczała w zaroślach, zziębnięta, ze zwieszoną głową, szlochając i pokliwując z cicha, drząc na całym ciele. Piekła ją twarz, piekło brzuch, piekły ramiona i uda, nawet to miejsce, dokąd wieczorem miałby prawo sięgnąć Murray, i w jej myślach panował zamęt. Poza tym Florence życzenie Światłistej Postaci podświadomie odrzuciła ze względu na jego formę, której w żadnym razie nie mogła zaakceptować. Bo przecież nie jest już dzieckiem, jest prawie osiemnastoletnią panną. Jest pełnoletnia i ma dzisiaj randkę, ale...

— Och, kur-de!

...do krwi otarta sobie ręce i kolana, wszystko ją boli i jest poparzona...

— Kur-de! Kur-de!

...opalona jak indyczka. Ten wybuch, to coś, co tam wybuchło, pionęć przysnęło aż tutaj i od tego wybuchu zapalił się jakiś gaz w powietrzu, jakiś składnik powietrza, bo powietrze wokół niej miało wibracje od gorąca i mieniło się różnokolorowym światłem...

Szlochając Florence otarła wierzchem dłoni wilgotny czubek nosa i spojrzała za siebie. Daleko stąd i wysoko nad miastem skrytym za krawcem widnokręgu wisiała gigantyczna kula żaru, pomarańczowo-żółta, opuchła i niekształtna.

Po jej powierzchni bez przerwy spływały w dół bуре plamy zacięków i gineły w jej podstawie, a ona po wessaniu ich w swoje wnętrze, tłoczyła je z powrotem do góry i wypychała na zewnątrz, znów na powierzchnię — utrzymując w cyklu zamkniętym.

Była to kubistyczna wizja słońca.

I taką nazwę pięcioletni Powell nadał temu czemuś, gdyż był gotów do działania. Wy-specjalizowanym i wyszkolonym i wyposażonym w nowoczesny sprzęt jednostkom służb

strzegawczym i trzeźwo patrzącym na świat, ponadto — dzięki telewizji — obytym z działaniem broni termojądrowej, nie z jedną bombą, którą akurat przypadkiem wspomnieli, ale z całym arsenałami prawdziwych, najprawdziwszych bomb zrzuconych, podkładanych, wystrzeliwanych, sterowanych i naprowadzanych w trakcie rpsunkowych wojen międzyplanetarnych, międzygwiazdnych, międzygalaktycznych i międzywszechświatowych. Wypada więc przypuszczać, że nie rozpuściłyby wódzów wyobraźni i nie zrobiłyby użytku ze zdobytej wiedzy artystycznej nawet wtedy, gdyby posiadali tę wyobraźnię i wiedzę; raczej tak jak teraz szybko by zauważył swoją pomyłkę i w tym słońcu, które przed pół minutą tak efektownie i błyskawicznie weszło, zobaczyłoby to, czym ono naprawdę było: pracą po nieboskłonach, napeczniałą i klebiącą się kulę rozżarzonych gazów, zaczynającą już przysuszać.

— Rany kogo! — szepnął — a mama tam pojechała. Tam.

Podobnie jak Florence klęczała na parującej murawie, piekła go twarz, piekły ręce i nogi, a przed oczyma fruwały mu rzeźbie białe i różowe platy, dzielnie jednak zachowywał hart ducha. Będąc wytrawnym znawcą skutków rażenia broni jądrowej, wiedział, jakie go mamie grozi niebezpieczeństwo i zdecydował się przysięść jej z pomocą. Schowany za podwójną gardą przed tym ciągle jeszcze gorącym promieniowaniem kuli ognistej, w figurkowych skretach wstał z klęceczek i niepewnie ruszył przed siebie, roztrąpnie wzgardziwszy elektrycznym pistoletem Smith i Wesson, zupełnie nieprzystającym do czekających go zadań. Nie domyślał się, że idąc dyszy i pojekuje — z bólu, z powodu trapiących go obaw i rozpięzany własną odwagą. Wiedział tylko, że jest gotów do działania. Tak, był gotów do działania.

Nieprawdopodobnie!

Pięcioletni Powell już po trzydziestu sekundach od wybuchu bomby termojądrowej był gotów do działania.

Wy-specjalizowanym i wyszkolonym i wyposażonym w nowoczesny sprzęt jednostkom służb

ratownictwa technicznego, służb odkażania i dezaktywacji, służb medyczno-sanitarnych, służb przeciwpożarowych i służb porządkowo-ochronnych nie wystarczy całego dnia, żeby się jakoś zorganizować i wejść na teren RPBjadr, czyli na teren Rejonu Porażenia Bronią Jądrową, którego sama nazwa rozpętuje chwał generalską w sztabach wojskowych. Nie starczy im na to dnia, nie starczy nawet miesiąca, ponieważ sytuacja jest wyjątkowo trudna i skomplikowana, ciężka do beznadziejności i nie sprzyja podejmowaniu jakichkolwiek akcji ratunkowych, przeprowadzanych na ćwiczeniach zawsze przecież na piątce. Pracownicy tych służb po atomowej dezintegracji nigdy nie zdołają na nowo się zintegrować: skrzyknąć, zgromadzić i zjednoczyć we wspólnym, krzepiącym działaniu. Cholera jasna, nie ma takiej siły, która by ich rozdarła, zgrupowała i spalone resztki pozbiierała z powrotem do kupy, od-tworzyła ich biologiczną strukturę, zwiatlizowała i tchnęła w nie ducha.

38 kilometrów od punktu „0”.

Jak to kobieta — one zwykle wykazują przesadną nerwowość przed pierwszą randką, śpieszą się i łatwo wpadają w panikę z powodu byle głupstwa. Natomiast ci, z którymi mają tę randkę, przeważnie nie tracą spokoju, aż do ostatniej chwili. W każdym razie masywny ulomek metalowej rury umówiony z Lucy opodał motelu, nie zdradzał przed tym spotkaniem żadnych oznak zdenerwowania. Jeszcze go zresztą w ogóle nie było; stanowił — jak się mogło wydawać — nierozrwalną część masywnej telewizyjnej anteny. No tak, ale kiedy za przyczyną Atomowej Stworzycielki zaczęły już istnieć, kiedy nadejdzie jego pora, wtedy...

Uuuu! Wtedy ruszy z prędkością początkową przekraczającą sto osiemnaście kilometrów na godzinę.

Jak to kobieta — Lucy stęskając z wysiłku i pośpiechu, przewlokła wreszcie sukienkę przez głowę i machinalnie sięgnęła ręką do włosów, by poprawić fryzurę, przy czym jej wzrok tak samo machinalnie przemknął po ścianach w poszukiwaniu lustra, czegoś, w czym mogłaby się przejrzeć, choćby szyby w oknie ustawionym pod dogodnym kątem. Szyb w oknach jednak nie było. Och, a to światło wpadające tu przez smużki dymu nabrało innej barwy. Jest teraz szkarłatne i filuje jak odbłask pożaru szerzącego się gdzieś tam na zewnątrz. No, ale nad czym tutaj dumać? Jeszcze tylko turebka, bo bez butów można się obejść... i bez majtek, bez tego biustonosza od De-walapa. „Wychylenie dla ciebie i pokusa dla niego” także, i trzeba wiać stąd jak najszybciej.

Z dekoltem uroczo pogłębionym o dwa nie zapięte guziki, z turebką, której długa, wiotka rączka chlastała ją po tydkach, Lucy wyskoczyła na korytarz i zbiegła na parter. Przy głównym wejściu rósł zgiełkliwy tumult. Dwaj mężczyźni otoczeni gromadką wystraszonych gości hotelowych przepychających się hałaśliwie: ten tyczy grubas o głowie jak nadpsuty melon, i ten ze stacji benzynowej, który właśnie wpadł do hallu, dymiąc nierzemniaki wyturany z ogniska — uwijał się w balecie egzotycznym.

— Jaki wybuch? — pytał wrzaskliwie tyczy grubas. Na powierzchni ograniczonej z jednej strony murem ludzkich ciał, a z drugiej — zamkniętymi drzwiami z laminowanej płyty, dreptał on w kółko, porządkując wałkami tłuszcza na brzuchu wystającym mu spod rozpiętej koszuli i naśladował ruchy szamana z buszu, który wykonuje taniec przed wypra-

wą łowiecką członków szczepu.

— Co za wybuch? To gdzie się w końcu pali, do diabła? U pana był ten wybuch? Tam, to znaczy gdzie?

Wrzaskliwe te pytania cisnęły w tłum jak garscie ryżu w nowożeńców. Tworzący z nim baletowy duet mężczyzna ze stacji benzynowej, wydając z siebie krótkie ryki i przylupując skocznie, naśladował tymczasem ruchy czerwonoścokiego czarownika, który płaża za pomysłowość wojowników wkraczających na wojenną ścieżkę.

— Przepuście mnie! — pisała Lucy. — Chcę stąd wyjść! Ale jej wzięty dyszkan zgiął w powszechnym wrzawie. Otaczająca obu tych mężczyzn publiczność, pokrzykując, szarpiąc butami i kasząc w szkarłatnej zawieszce rzadkiego dymu, kołysała się w niestęszalnym rytmie wybijanym przez plemienne dębny.

Brakowało tu tylko ogniska. Atomowa Inszenizatorka zadba jednak i o nie, tyle że zamiast wewnętrznej, roznieci je na zewnątrz kregu tańczących. Zarzewie już powstało.

— Chcę stąd wyjść! Chcę stąd wyjść! — zapiszczała znów Lucy.

Raz i drugi szarpnęła za o-dzież tych, którzy oklokali jej dostęp do drzwi, raz i drugi przestąpiła z nogi na nogę, a potem mimowolnie zaczęła się kołysać w niestęszalny rytm razem z innymi.

26 kilometrów od punktu „0”.

— Okay, Eddie.

Sapając ze swistem pułkownik Dowd wyjęty wzrok, by prze-bić kleistą, przylatującą ciemność, i w tej ciemności, gdzieś na krańcach pola widzenia, dostrzegł nieśmiałą jasność jutrzni, fioletowoczerwona, chybliwa, pulsującą w takt uderzeń jego serca.

Po omacku odszukał na półce z narzędziami latarkę, zapalił ją i topazowy stożek światła przeszył wiszące w powietrzu popielate falbanki dymu, przywracając temu pomieszczeniu właściwe wymiary i kształty i nadając mu znajomy wygląd.

Mały Eddie znów chlupnął, po-ciągnął nosem i na chwileczkę wstrzymał oddech.

— Co to jest? — zapytał.

W świetle latarki wirujące mu przed oczyma łęczowe koła przybliżyły, a betonowy strop, posadzki, ściany i kontury sprzętów widział niewyraźnie i rozmyślane. Odnosił wrażenie, że od świata odgradza go gruba szyba, brudna i splukiwana deszczem.

Cztery przecznice od tego schronu takie samo wrażenie odnosił kapitan wojsk lądowych Norman McMorren. Nie był już ani ruchomą Syreną Alarmową, ani Żywą Pochodnią. Był ciężko poszkodowaną Istotą Ludzką. Chociaż o tym nie wiedział, w ciągu niespełna trzydziestu sekund stał się wrakiem człowieka. Teraz czynił przygotowania do kolejnej przemiany — o pielgrzymo o śmiertelnie nadwątłym zdrowiu Kaszka, rżące i plując, kluczące wśród iskieł i rozkwitających ogni, spuścił łazienkę, wyłoczył się do hallu a stamtąd — na szczytną, zadymioną werandę. Po drodze ściągnął z wieszaka wilgotny płaszcz kąpielowy.

Za chwilę, szczególnie opatulony tym płaszczem, wyjdzie przed dom i pokuszy się chwileczką dalej, która przez następnych dwadzieścia sekund zabiegnie będzie o miano Alei Pożarowej opatrzonej — dla odróżnienia od reszty tutejszych Alei Pożarowych i Ulle Pożarowych — numerem identyfikacyjnym, czyli o miano Dwieścieczestnastej Śiódmej Wschodniej Alei Pożarowej. Jako cel wędrówki patniczej o-bierze on sobie Świętymie Przeciwnatomową Pułkownika Dowda.

C.D.N.

Tytuł pochodzi od reakcji tytułu autora „Sian zagrożenia”



Rys. Janusz Szymański-Glanc